

Gabriel Jehuda ibn Ezra

**Chrześcijańskiego Żyda
wspomnienia - lzy i myśli**

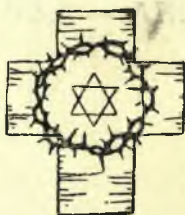
DOM KSIĄZKI POLSKIEJ — WARSZAWA

<http://rcin.org.pl>

**CHRZEŚCIJAŃSKIEGO ŻYDA
WSPOMNIENIA — ŁZY — I MYŚLI**

גאב'רעל יעסעסאן און עזרא

אמערעאנישע סאקאלאגישע
און ארכעאלאגישע פארשונגען



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
20-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 71
Tel. 26-68-62

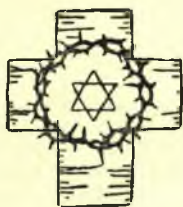
און פארשונגען - 1929

Egz. archiwalny IBL

GABRIEL JEHUDA IBN EZRA

CHRZEŚCIJAŃSKIEGO ŻYDA

WSPOMNIENIA - ŁZY I MYŚLI



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 79
Tel. 26-68-63

POZNAŃ — 1929



22.057

Nakładem autora — pierwszych 3000 egzemplarzy wybito
czcionkami Drukarni Polskiej Tow. Akc. w Poznaniu
Oddział Bydgoszcz.

„...*To powiesz domowi Jakóbowemu i oznajmisz synom Izraelowym:*

Wyście sami widzieli, com uczynił Egipcyanom, i jakom was nosił na skrzydłach ortowych, i wziął sobie.

Jeśli słuchać będziecie głosu mego, i strzedz umowy mojej, będziecie mi własnością ze wszech narodów; albowiem moja jest wszystka ziemia.

A wy będziecie mi królestwem kapłańskim i narodem świętym“...

(Exod. XIX, 3, 4, 5, 6.)

„*Mówił tedy Jezus, do tych, co mu uwierzyli, Żydów: Jeśli wy trwać będziecie przy mojej, prawdziwie uczniami moimi będziecie:*

I poznacie prawdę, a prawda was wyswobodzi.

.....

A przetoż jeśli was Syn wyswobodzi, prawdziwie wolni będziecie“.

(Ewang. św. Jana VIII, 31, 32, 36.)

Ilekroć biegą myśli moje ku dniom dzieciństwa, owiewa mnie zapach choinki, płonącej świecami różnej barwy, w Noc Bożego Narodzenia. I na odwrót: Ponieważ zbliża się oto czas wigilijny i Boże drzewko niebawem oświecę światłami dla dzieci moich — wspominam czasy dzieciństwa. Że było sielskie i anielskie, dzięki Ci Boże, dzięki Wam Rodzice moi: Tobie ojcze, któryś tak młodo stanął na tamtym brzegu, Tobie matko, która jeszcze żyjesz na ziemi. Bo za prawdę, piękne daliście mi czasy chłopięce, które słonecznym wspomnieniem idą za mną przez życie.

Widzę oto mój dom rodzinny przy głównej ulicy małego miasta. Dwadzieścia lat upływa od kiedy opuściłem ten dom i to miasto, a jednak wystarczy, że przymknę na chwilę powieki, bym dokładnie oglądał oczyma duszy każdy kąt w tym domu, przedmiot każdy. I zdaje mi się, że wszystko musi tam być po dawnemu, że nic się nie zmieniło, tak jak nie zmieniło się we mnie.

Białe, szeroko rozsiadłe, skromny a przestronny dom parterowy, patrzy szeregami okien

poprzez wąski ogródek ozdobny na czystą ulicę, wysadzoną szeregiem odwiecznych drzew i na starszy od nich klasztor i kościół Franciszkanów.

Zielonym pluszem wybijany salonik, zawsze zimny, cichy, zamknięty, tajemniczy, przepelniony dziwną wonią jakby choinki, którą tam stawiano raz do roku, a której urok aż do następnego święta drzemał w tym posepnym, niedostępnym saloniku.

Uchylałem czasem z trwogą drzwi do tego pokoju, lecz kazano mi je szybko zamykać, aby nie gniewał się ów młody, piękny i milczący brat ojca, który na olejnym portrecie stał smutnie uśmiechnięty w wizytowym stroju, w cylindrze i żółtych rękawiczkach, z przygaszonym cygarem w palcach prawej ręki. A nie wolno było go martwić, bo i tak umarł młodo jako student medycyny.

Za sypialnią rodziców ciężką, rzeźbioną, duży pokój jadalny, który całe światło czerpał z olbrzymiej, oszklonej werandy, gdyż nie miał okien. Za to weranda była jak gdyby bajecznym okrętem słonecznym, który lada chwila miał się oderwać od reszty domostwa i popłynąć w nieskończoną zieleń ogrodu kilkumorgowego, pełnego starych drzew owocowych, gniazd ptaków przedziwnych i porośniętych chwastem ścieżek, a to w poprzek szerokiej, wysypanej piaskiem drogi ogrodu kwiatowego i jarzynowego, obok pralni i starego gołębnika.

Gołębnik... Ileż to razy wylatywał zeń biały, czubaty gołąbek, najbardziej wśród innych umiłowany, by usiąść na ramieniu lub głowie mej matki, gdy ta przed lustrem weneckiem na toaletowym stoliku ustawionem, czesała swe długie jasnoblond, na ziemię spływające włosy.

Liczyłem wówczas lat cztery.

Beztroska radość rozsadzała mi pierś chłopięcą, gdym uganiał wśród klombów kwiecistych, uwalniał z kojca drób, lub chwycił różnobarwne motyle. Stara służąca Basia, dobroduszna córka Szwabji i służący Piotr nie spuszcza mi z oka. Ten szczególnie umiał sporządzać przepyszne korony królewskie z żółtej blachy i ozdabiać kolorowymi kamykami, które wydobywał z specjalnie w tym celu nabytych pierścionków jarmarcznych.

Bo chciałem mieć koniecznie królewską koronę.

O królach i królewnach nasłuchiłem się z bajek Basi, z wierszyków, które czytała mi matka, a które umiałem zaraz powtórzyć z pamięci.

O koronowanych władcach krajów dalekich opowiadał mi ojciec, gdy wczesnym rankiem wołał mnie do siebie na poranne pieszczoty. Kochający a surowy ojciec, którego uwielbiałem i bałem się zarazem, piękny, smukły, śniady mężczyzna o hebanowym włosie i takimż dużym wąsie, z oczyma podobnemi dwu czarnym djamentom, kończył zazwyczaj swe opowieści przyrzecze-

niem, że gdy będę grzeczny, pojedziemy razem do tych pięknych, ciepłych, dalekich krajów, gdzie władają owi monarchowie w złocistych koronach.

A Piotr tak pięknie śpiewał o tem, jak trzej królowie, monarchowie z wschodnich krajów niosą dary...

Dlaczego ojciec mój marzył zawsze o tych dobrych, dalekich krainach, dokąd mieliśmy się chronić — nie wiem. Pamiętam, że te marzenia nosiły zawsze i w późniejszych latach owo znamię exodu, ucieczki, gdzieś, przed czemś.

A z pobliskiego klasztoru, a z klasztornego kościoła płynęły pieśni nabożne, szły procesje z światłem i chorągwiami, zaś patrząc z frontowego ogródka, można było dostrzec światełko płonące przed głównym ołtarzem.

Obok domu naszego, w naszym ogrodzie, zwrócona ku ulicy, stała stara kapliczka z figurą jakiegoś Świętego, który pieścił krzyż na ręku i w fałdzistej, czarnej sukni z biretem na głowie, wśród morza róż papierowych, dumał zda się nad tym krzyżem swoim.

Piotr, poczciwy Piotr mówił mi, że to święty Jan Kanty. Ku niemu także raz do roku szła procesja z klasztoru, a jakaś starsza pani zazwyczaj przedtem przychodziła, by w miejsce starych, nowe róże papierowe położyć u stóp Świętego.

Dlaczego nigdy ani ojciec mój, ani matka, ani ja sam, nie szliśmy do tego rozśpiewanego

kościola, a gdy procesja doroczna nawiedzała naszego Świętego, nie braliśmy w niej udziału? Było mi to trochę dziwne, ale nie pytałem o przyczynę nikogo, ani mnie też nikt jej nie tłumaczył.

Skończyło się z niepodzielnem władztwem mojem w domu, w ogrodzie, w sercach rodziców i u służby. Dostałem braciszka. Pamiętam, jak zamknięto mnie w osobnym pokoju z zabawkami pod opieką Basi i mimo kategorycznych żądań nie chciano puścić do matki. Potem, gdy mnie puszczono do niej nareszcie, pokazał mi ojciec braciszka i powiedział, że mam go kochać. Wydawał mi się czarny i brzydki i czułem żal do niego, bo z jego powodu wszystko mnie opuściło. Uciekłem w najdalszy zakątek ogrodu i siadłszy na pniu, płakałem długo i serdecznie. Słyszałem jak mnie wołano i szukano wszędzie, lecz nie odzywałem się.

W tem wszedł do ogrodu mój dziadek, ojciec matki; przybył w odwiedzinę tegoż dnia z sąsiedniego miasta i siedząc dotąd przy jej łożu, mało troszczył się o mnie. Szedł wolnym krokiem w swym długim, czarnym żakiecie i białej kamizelce. Wysoki, dostojny, błękitnooki starzec, który w ruchach miał zawsze coś młodzieńczego, mimo sześćdziesięciukilku lat, blondyn, o bujnych kędzierzawych włosach i dużym wąsie, z rzadka tylko przyprószony siwizną.

Bez wezwania wyskoczyłem z ukrycia, by paść w jego objęcia. On tulił mnie, gładząc po głowie i prosząc, bym nie martwił rodziców i starał się podobać Bogu Ojców moich.

Dziadek był bardzo pobożny. Widziałem go nieraz, gdy do nas zjechał, jak modlił się żarliwie spowity w białą chustę, do stóp opadającą, naczerniową długimi pasami, obramowaną u góry jak gdyby kołnierzem, kapiącym od srebrnego haftu. Dziadzio wówczas na rękę i skroń nakładał po małej, czarnej skrzyneczce wielkości dziecięcej piąstki, umocowanej na czarnych rzemykach i pochylając się z lekka, zawodził w niezrozumiałym mi języku. Widywałem to, gdy był u nas, przez dziurkę od klucza, bo gdy dziadzio się modlił, nikogo nie wpuszczał do siebie.

Dlatego zapytałem dziadka o to, co wtedy po raz pierwszy wypowiedziałem ustami:

— Gdzie jest ten Bóg Ojców moich?

Wszędzie — odparł dziadzio — i w Niebie, dokąd, daj nam Boże, wszystkim dostać się kiedyś.

— A to On pewnie jest królem w złocistej koronie i włada w tych krajach cudnych, o których mówił mi tato...

Pan Bóg nasz jest Królem całego świata — odparł uroczyście dziadek mój — trzeba Go kochać, czcić i do Niego się modlić.

W tej chwili przyszło mi na myśl, że nauczono mnie przecie pięknej modlitwy do Anioła-

Stróża, którą codzień odmawiałem rano i wieczorem i pochwaliłem się tem przed dziadkiem.

Dobrze, dobrze, odparł, wzywaj pomocy Anioła Pańskiego, dopóki nie nauczysz się językiem twoich przodków chwalić Boga naszego.

Chciałem jeszcze wyjaśnić sprawę pobliskiego kościoła, procesji, kapliczki w ogrodzie... Pytałem więc, biegnąc obok dziadka po puszystej murawie.

Wysłuchał mnie cierpliwie a potem rzekł:

Każda wiara prowadzi ludzi do Boga. Ty jednak jesteś innego wyznania. Urodziłeś się Żydem. Kiedyś chwalić będziesz Boga naszego wspólnie z resztą twego narodu, w naszych świątyniach.

— Ach, to ci wszyscy ludzie, modlący się w klasztorным kościele, mają innego Boga, a my znów innego? — zapytałem.

Nie, dziecko, wszyscy wierzymy w jednego Boga. I my i ci inni, którzy modlą się w pobliskim kościele i nawiedzają tę ogrodową kapliczkę, lecz każdy po swojemu, inaczej...

Ale za młody jesteś, abys to dziś zrozumiał — zakończył dziadek mój — i wzięwszy mnie za rękę poprowadził ku domowi.

W kilka dni później zebrało się w domu naszym więcej osób niż kiedykolwiek, bo przyjechali krewni, zeszli się goście, było dużo ruchu i gwaru, nagotowano wiele słodczy i przyszedł jakiś siwobrody człowiek w futrzanym kołpaku

i długiej czarnej kapocie o jedwabistym połysku. Starsi zamknęli się z moim braciszkiem w stołowym pokoju, zabrzmiały jakieś słowa w niezrozumiałym mi języku, usłyszałem żalosne kwilenie braciszka, poczem ów stary człowiek wyszedł na werandę trzymając coś, jakby nóż, w ręku. Za nim wyszedł mój ojciec i powiedział mi, że bratu memu na imię Feliks.

Byłem jako dziecko samotny. Nie miałem towarzysza zabaw. Stan ten stawał się tem nieznośniejszy, że cała służba zajęta była moim małym bratem. Zabawki, dotąd ulubione, przykryły mi się, pozostały jedynie różnokolorowe kamienie, z których w samotności mogłem wznosić sobie pałacyki, klocki drewniane, z których układać można było obrazy zwierząt, moja dumna korona królewska, z której poczęły wypadać ozdobne kamyczki (a Piotr nie miał już czasu złemu zaradzić) — i myśli coraz to dziwniejsze.

Matka, czasem przypomniawszy sobie moją smutną degradację, odrywała się na krótko od małego braciszka, szła ze mną na spacerów niedalekie, lub czytała mi piękne książki, przeważnie wiersze. Czasami otrzymywałem duży, ilustrowany rocznik ciekawego pisma i wolno mi było oglądać obrazki.

Był na szczęście jeszcze ktoś niedaleko, który jak ja samotny siedział sobie w oszklonej wnęce nad bramą pobliskiego klasztoru. Głowę wsparł

na chudem ręką, głowę, na której miał coś w rodzaju korony, lecz jak dostrzec mogłem przez szerokość ulicy, była ona poczerniała i pełna kolców, co widoczny ból sprawiać musiało tej dziwnej postaci, odzianej w płaszczyk z czerwonego sukna, z pod którego poźółkle nogi, skrzyżowane bezwładnie, sterczały wśród kilku wątych, papierowych kwiatów.

W stosownej chwili pociągnąłem za rękaw poczciwego Piotra ku sztachetom ogrodu od strony ulicy i wskazując tę postać, zapytałem, kto to jest.

— To Pan Jezus, objaśnił mnie Piotr — ubiczowany i ukoronowany cierniową koroną.

A kim jest Pan Jezus? zagadnąłem.

— Bogiem, dziecko —

Któż go tak umęczył? pytałem dalej — przecież Bóg jest Królem świata...

— Umęczył go wódz rzymski na prośbę Żydów —

A przecież dziadzio mówił mi, że Żydzi, jak i wszyscy inni ludzie, wierzą w Jednego Boga, który mieszka w Niebie.

— Bóg przyszedł na ziemię w ludzkiej postaci, aby odkupić naród żydowski i całą ludzkość, ale Żydzi Go nie poznali — ciągnął w smutnej zadumie stary sługa.

W tem zawołano Piotra i urwała się nasza rozmowa, ale długo jeszcze patrzyłem w stronę

oszkłonej wnęki klasztornej i bardzo, bardzo było mi żal tego Pana Jezusa, umęczonego Króla w koronie cierniowej i ubogim płaszczyku...

I odtąd często myślałem o Nim.

Przyjechał z daleka kuzyn matki mej, na wypoczynek po długich studjach. Błady, nieduży młodzieniec, o zapadłych policzkach i marzyielskiem spojrzaniu.

Izydor było mu na imię. Przywiózł z sobą dużo ksiązek i dużo nigdzie nie widzianych owadów i motyli, na szpilkach w oszkłonych pudełkach umieszczonych, nadto umiał wycinać z tekury saneczki, wózki i rysować przepiękne krajobrazy, ledwie dostrzegalnym, małym ołówkiem. Mówiłem do niego „ty“, nazywając go po imieniu, bo mimo znacznej różnicy wieku, nie wyczuwałem jej wówczas między nami: On miał duszę dziecka. To też jak rówieśnicy bawiliśmy się z sobą, a najbardziej cieszyłem się na nasze naukowe, przyrodnicze wyprawy w głąb olbrzymiego ogrodu. Tam Izydor wtajemniczał mnie w gwarę ptactwa, zwyczaje owadów i motyli, uczył ich nazw i zwracał uwagę moją na przeróżne rodzaje roślin i kwiecia.

Zaroilo się też w moim dziecinnym pokoiku od ptactwa, motyli, żabek zielonych i kwiatów, aż żdziwiona i zda się rozgoryczona do żywego z powodu tych inowacji, Laura, wielka, czerwona pa-

puga, na werandzie siedząca w swej klatce, podniosła niebywały dotąd wrzask, trzepiąc skrzydłami. Mój mały braciszek przeraził się do tego stopnia tym przykrym skrzekiem, że zdawało się to zagrażać jego zdrowiu, zaczem mimo moich łez i protestów wydano papugę z domu, jak się to mówi, w dobre ręce. Podobno krótko potem zdechła.

Od przyjścia na świat mego małego braciszka, czuła się matka niezdrową, piła jakieś bardzo słodkie i gęste wina, sprowadzane w skrzyżniach z daleka i siedząc w głębokim fotelu, twarzą ku ogrodowi zwrócona, czytywała książki. Ojciec wychodził z domu dopiero około godziny pół do dziesiątej z rana, przychodził na obiad około pierwszej, a wieczorem tak późno, że śpiąc, nie widziałem już jego powrotu. Matka robiła mu czasem z tego powodu wymówki, lecz ojciec mój niecierpliwie pokręcał czarnego wąsa i twierdził, że mały Feliks jest krzykliwym i niespokojnym dzieckiem, a on, ojciec mój, po całodziennej pracy chce zażyć spokoju i dlatego wraca do domu w późniejszej porze. Gdy wymiana zdań stawała się coraz żywsza, chwycił mnie Izydor za rękę i biegł ze mną w głąb ogrodu, zabrawszy siatkę na motyle i zieloną puszkę na owady, którą przewieszał sobie przez ramię. Raz jednak, obudził mnie w łóżeczku mojem nad ranem jakiś szmer

i usłyszałem urywaną rozmowę rodziców. Ojciec stał zupełnie ubrany i jakby onieśmielony, tłómaczył matce powody tak późnego powrotu do domu. Mówił o jakimś przyjacielu swym kapitanie, który odwiedził go w pracowni i udawszy się z nim do kawiarni, nie chciał ojca puścić przed świtem. Ojciec mój uśmiechał się dobrodusznie, całował matkę, zapewniał, że nigdy więcej tego nie uczyni, a ja — usnąłem w następnej chwili twardym snem.

Izydor nietylko był znawcą i miłośnikiem przyrody. On bardzo kochał ludzi, biednych ludzi. Zauważyłem, że za sztachetami ogrodu kręcą się od pewnego czasu jacyś biedacy, którym on podawał zawiniątka, czasami pieniądze. Lubił, jedząc, odstawiać przeważną część swych porcji „na potem“, bo chwilowo nie miał apetytu. Obiecywał wszystko to zjeść w stosownej chwili, gdyż zazwyczaj — jak twierdził — odczuwa głód między właściwymi porami posiłku. A potem te zawiniątka, ci żebracy.

Wstępował do nas od pewnego czasu z dużą, czarną puszką pod fałdami peleryny, człowiek stary, wychudły w długiej sukni z twardego, brązowego sukna, zakończonej u góry kapturem, a przepasanej powrozem, jeden z mieszkańców pobliskiego klasztoru. Brat Gabryel — wo-

łała Basia — gdy on ciągnął za sznur dzwonka u ogrodowej furtki. Lubił zbierać motyle jak Izydor, kochał zioła i kwiaty jak on, a musiał kochać i Boga i ludzi, bo wszakże by chwalić Go, a służyć ludziom, zamieszkał w murach tego rozmodlonego od świtu do zmierzchu, klasztoru. Z czarną puszką w ręku chodząc po mieście zebrał na jego potrzeby. Polubili się obaj z Izydorem i często — zapomniawszy o kweście — chodził brat Gabryel z nim po naszym ogrodzie, nie zważając na mnie, który biegłem po trawnikach i zdmuchiwałem puchy mleczków, płosząc ważki, unoszące się na niewidzialnych skrzydłach nad kielichami kwiatów.

Mówili o Bogu.

Brat Gabryel opowiadał Izydorowi to samo mniejwięcej, co mnie Piotr o Panu Jezusie z nad klasztornej bramy. Tylko brat Gabryel mówił bardzo uczenie, powoływał się na Księgi święte, z których cytował na pamięć całe ustępy. Izydor mówił mało, żałośnie uśmiechnięty, gładził rzadki zarost młodzieńczy na swej pociągłej twarzy i powtarzał jakby z uporem:

— Gdzie jest prawda? Gdzie jest prawda?...

Brat Gabryel niecierpliwił się ku końcowi dysput i dowodził, że Żydzi mają w swem Piśmie Świętem dowody niezbite, iż prawdę wyznają jedynie chrześcijanie.

Mówił brat Gabryel o żydowskich Prorokach, których Żydzi nie chcą zrozumieć i tłómaczą ich sobie opacznie.

Raz znowu, pamiętam, jak Izydor przekonywał brata Gabryela, że Żydzi wogóle zapomnieli, że są Żydami, że muszą się skupić i pracować nad sobą, a może z czasem zrozumieją i swoich własnych Proroków.

Izydor opowiadał bratu Gabryelowi, że Żydzi zaczęli nawet pod tym względem iść ku lepszemu, że chcą założyć sobie zpowrotem własne państwo tam, daleko, na Wschodzie, skąd wyszli przed setkami lat. — Tu mimowoli przypomnieli mi się królowie ze Wschodu. —

A on, Izydor, wiedział o tem lepiej niż kto inny, bo był długi czas sekretarzem tego, który zapoczątkował ów ruch, ową pracę.

Z kolei brat Gabryel kiwał z niedowierzaniem głową, ale nie sprzeczał się nigdy, rozmawiali jak przyjaciele.

Zegar, który, zanim przyszedłem na świat, wisiał już w jadalni domu mych rodziców, wydzwania teraz właśnie w mojej pracowni tę samą godzinę, którą wskazywał w on czas, gdy ja, mając lat sześć, zaczynałem naukę czytania i pisania.

Nauczycielka, która udzielała mi lekcji w domu, bo do szkoły posłano mnie dopiero w trzy lata później, była biedną, znużoną i brzydką starą panną. Nudziły mnie jej nauki, a często pojmując je dość łatwo, udawałem coś wręcz przeciwnego, byle jej zrobić na przekór, za to, że odrywała mnie

na kilka godzin dziennie od mej słonecznej swobody wśród ścieżek i klombów cudnego ogrodu. Jakże mogłem bowiem spokojnie odrabiać lecje, gdy Basia z bratem moim Feliksem na rękę, wyspiewywała na werandzie pieśń o Napoleonie w Austrii, lub trzech grenadjerach wracających do Francji. Mój duży, drewniany koń, prawdziwą skórą obciążany, zdawał się kołysać rozkosznie poprzez pokraczne litery abecadła i tajemnicze wywijasy cyfr. Biedna panna Klara doprowadziła mnie do drugiej klasy szkół powszechnych, a egzamin zdałem w miejscowej szkole ludowej. Nie czuła się na siłach uczyć mnie dalej, bo byłem złośliwy i uparty. (Dziś ogarnia mnie wstyd z tego powodu i chętnie przeprosiłbym biedną pannę Klarę za moją ówczesną niesforność. Nie wiem tylko, czy już kiedykolwiek spotkamy się z sobą w życiu).

Rozpoczęły się wakacje, a temperament mój był tak żywy, że ojciec zadawał mi całe ustępy z książki dla drugiej klasy na pamięć, obiecując mnie surowo egzaminować, gdy wróci do domu. Wyuczałem się za każdym razem tych strasznych zadań, mimo, że ojciec nie pytał mnie nigdy.

Wyjechaliśmy do pobliskiego miasta w odwiedziny do rodziców ojca. Spiętrzone miasto kamienic, o wywrotnych brukach, nie przerzy-

nane zielenią, jak moje miasto rodzinne, lecz za to przedzielone potężną rzeką i okolone murem lasów, na tle których maluje się stary zamek książęcy.

W jednej z takich kamienic dwupiętrowych, z krzykliwym podwórzem, bez ogrodu, szarych, smutnych, o dużych sklepionych sieniach i korytarzach (gdzie z nienacka lubią przebiegać drogę jakieś duże, obce koty) mieszkali rodzice mego ojca.

Dziadek — krępy, barczysty, energiczny, — o orlim nosie, na który wciskał co chwila, to znów zdejmował złote binokle, by dopomóc niemi poczciwym swym niebieskim oczom w patrzeniu na świat i ludzi, z siwym włosom, krótko przyciętym i takąż szpiczastą brodą, oraz poważnie nad nią spływającym wąsem, zawsze czarno ubrany, błyskał dużą, brylantową szpilką czarnego krawata ku słońcu, gdy witając go, usiadłem na jego kolanach.

Babka — pamiętam, zawsze uśmiechnięta, starsza na pierwszy rzut oka od swego małżonka, miała gładką fryzurę z przedziałem, ręce jak do modlitwy złożone, nigdy nieunosząca się gniewem i małomowna. Wypytywała ojca mego o zdrowie, prosiła, by je szanował, upominała, by pilnie się modlił. Ojciec mój jednak zdawał się tych słów nie słyszeć, całą uwagę poświęcał dziadkowi, rozmawiając z nim o kwestjach dotyczących ich wspólnego zawodu.

Wówczas babka, kładąc tajemniczo palec na ustach, zaprowadziła mnie z matką do mrocznego saloniku, gdzie drepcąc po puszystym dywanie, wśród starych, dużych, wygodnych foteli, podszedłem do staroświeckiego łoża, przysłoniętego kotarami, a gdy je babka uchyliła ujrzałem na śnieżnej białości pościeli — staruszkę o pięknej, dobrej twarzyczce, jakby wyciętej z kości słoniowej. Leżała sobie pogodnie uśmiechnięta, w białym koronkowym czepeczku na głowie, z pod którego żaden włos się nie wychylał.

Na nocnym stoliku przy niej, stała szklanka mleka.

Matka moja kazała mi ucałować bielutkie, pomarszczone ręce staruszki, a babka szepnęła mi tajemniczo:

— To prababka twoja, a moja matka. Jest bardzo, bardzo stara, doczeka może w krótkie stu lat. Trzeba do niej zbliżać się cicho, bardzo cicho. Prababka uśmiechała się, gładziła mnie po głowie, także matkę moją, lecz nie przemówiła ani słowa. Pamiętam tylko, że babka tłumaczyła mi, iż prababka zawsze czciła ojca swego i matkę i dlatego tak długo żyje na świecie.

Potem wyszliśmy na palcach z jej pokoju i już nigdy więcej nie widziałem jej w życiu.

Ojciec mój wyjechał tegoż samego dnia do domu, my z matką pozostaliśmy jeszcze kilka dni u dziadka. Smutno mi było bez mego ogrodu,

bez swobody, bez kochanego rodzinnego domu, choć zbliżała się wiosna, i miło było wszędzie.

A i rodzice ojca mego byli inni, niż rodzice matki.

Nie widziałem, by ten dziadek z rana otulał się w białą chustę z srebrzystym kołnierzem, naczernioną długimi pasami, nie widziałem, by wiązał u ręki i czoła owych tajemniczych skrzyneczek na czarnych rzemykach, jak ojciec mej matki. Na moje zapytania wyjaśnił mi dziadek, że on nie potrzebuje robić tych rzeczy, że je uważa za zbyteczne, a mimo to wierzy w Boga i czi Gożyciem i uczynkami.

Radził mi też, abym się temi sprawami zbytnio nie interesował. Za to babka poczęła dziadkowi robić wymówki i długo coś mu tłomaczyła językiem, którego nie słyszałem nigdy w domu moich rodziców.

Babka mianowicie lubiła gorliwie się modlić, codziennie w oznaczonej porze rozdzielala jałmużnę ubogim, którzy snuli się ku niej owym długim, szarym, sklepionym korytarzem, zawożdząc i jęcząc. Wydała im nawet raz nowiutki materiał na suknię, za co dziadek robił jej wyrzuty, twierdząc, że musi przecież sama także przyzwoicie się ubrać.

Raz widziałem, jak babka — a było to zdaje się w piątek pod wieczór — stojąc modliła się przy lichtarzu złocistym, rozjarzonym blaskiem świec.



Babka modliła się cichutko, tak, że niczego dosłyszeć nie mogłem, a tylko rękoma czyniła kilkakrotnie nad światłami taki gest, jakby coś niewidzialnego chwyciła w objęcia, poczem dłońmi zakrywała twarz.

Byłem przekonany, że babcia przyzywa i tuli do serca — Boga Ojców naszych — swego Boga...

Ogród mego dzieciństwa z lekka zaczął pokrywać się zielenią. Surowy, w miejsce panny Klary przyjęty nauczyciel, przychodził codziennie popołudniu, by odrabiać lekcje i zadawać mi dużo, bardzo dużo na dzień następny. Izydor wyjechał już przed kilkoma dniami, było mi czegoś smutno i nieswojo, bo do ogrodu nie wolno było jeszcze wychodzić dla chłodu i błota, a nawet ulicą wzdłuż klasztornej muru, przemykali się tylko nieliczni przechodnie.

Z jaką radością uderzyło moje serce, gdy zjechała do nas matka mojej matki na przeciąg kilku miesięcy.

Słodka babunia, która umiała wypiekać znakomite ciasteczka i opowiadać jeszcze znakomitsze historie. Bo babunia była córką dzierżawcy rozległych dóbr, w domu ojca jej — jak opowiadała — trzymano kucharza słynnego na całą okolicę, bracia zaś babuni mieli własne winnice, z których zapewne pochodziło owo słodkie, gęste wino dla matki mojej.

To wszystko było bardzo, bardzo dawno i było jeszcze wówczas dobrze i miło na świecie.

Ale cóż? Nadeszły złe czasy, mord i pożoga szerzyły się po dworach pańskich, nie oszczędziły też dzierżawców, u których kryły się po kominach dzieci pańskie w jedwabnych koszulkach.

Babcia pamiętała dobrze te czasy i na ich wspomnienie oczy jej, szeroko rozwarte, zdawały się szukać czegoś w wiosennym mroku, aż znajdowały dwie duże łzy, które staczały się w takich chwilach po policzkach jej.

Potem babunia wyszła zamąż za dziadzia i po ślubie siedziała płacząc w zimnym pokoiku, gdzie były szyby powybijane i wicher dobijał się do drzwi, szarpiąc równocześnie ramy okienne.

A owa długa podróż dyliżanssem do stolicy, bo nie było jeszcze kolei żelaznych, do owych braci, rozsiadłych po złocistych winnicach.

Tam jednak oczekiwał ją znowu smutek, bo najlepszy z nich zamordowany został przez zbójców, gdy powozem jechał przez las w odwiedzin. Był to wuj mojej mamy, który nie pozostawił w prawdzie po sobie majątku, ale za to dużo kajetów, pełnych przedziwnych powieści, które po jego śmierci ukazały się w druku i podobno rozchwymano je z półek księgarskich. Babunia jednak na pamiątkę zabrała sobie kilka takich kajetów i przechowuje je w domu. Tych do druku nie oddano, a te właśnie miały być najpiękniejsze; przynajmniej najlepiej podobały się babuni.

„I będziesz ofiarował Phase Panu, Bogu Twemu z owiec i z wołów na miejscu, które obierze Pan, Bóg Twój, aby tam mieszkało imię jego.

Nie będziesz w nie jadł chleba kwaszonego: siedm dni będziesz jadł bez kwasu, chleb utrapienia; boś w strachu wyszedł z Egiptu, abyś pamiętał na dzień wyjścia twego z Egiptu, po wszystkie dni żywota twego.“ (Deut XVI,2,3).

Nadszedł czas, gdy dzwony klasztornej kościoła zaczęły nabierać jakiegoś szczególnie potężnego, uroczystego tonu i odzywały się częściej. Zauważyłem wielki napływ ludu do kościoła, a brat Gabryel natomiast, z swą czarną puszką, nie wychylał się poza mury klasztoru.

Zbliżała się Wielkanoc.

Babunia rozpoczęła przeprowadzać radykalne porządki w domu, w szczególności zauważyłem, że uprzęta najdrobniejsze odrobiny chleba, które gdziekolwiek znalazła, gdy tymczasem jacyś brodaci, nieznanymi mi ludźmi, przynieśli duży kosz cieniutkich, wielkich jak talerze placków, które, jak pouczała mnie babunia, miały zastąpić przez czas świąteczny — chleby i że Pan Bóg tak przykazał na pamiątkę ucieczki praojców naszych z Egiptu, gdy w skwarze słonecznym na pustyni, wypiekali na prędcie takie placki.

Nie przeszkadzało to jednak matce mojej, wypiekać równocześnie w dużej, sklezionej ku-

chni, wspaniałych bab i lukrować tortów, które ojciec mój pasjami lubił, podczas gdy Piotr, całe masy jaj kurzych, ozdabiał pięknymi malowidłami. Piotr mówił, że jaja te zanieśie do kościoła, gdzie zostaną poświęcone. Objaśniał nadto, że zbliża się święto obchodzone na pamiątkę Zmartwychwstania Pana Jezusa. Opowiadał mi też Piotr, jak to było, gdy umęczonego na krzyżu złożono w grobie nowym, wykutym w skale, zamknionym olbrzymim kamieniem, że strzegli Go rzymscy żołnierze w hełmach i zbrojach z tarczami i mieczami w ręku i jak potem Pan Jezus nagle powstał z martwych, kamień odwalił i trzymając w ręku chorągiew czerwoną, wznosił się ku Niebu w oczach oślepionych blaskiem strażników.

Pamiętam, że z okazji świąt, postarał się ojciec mój o sporo wybornych wędlin i wszelkiego mięsiwa i te wszystkie dobre rzeczy spożywaliśmy z radością w to piękne święto, nie gardząc także owymi smutnymi, cieniutkimi plackami wielkości talerza, które Pan Bóg przykazał spożywać na pamiątkę ucieczki praojców naszych z Egiptu.

„... Wyniosłem, co jest poświęcono,
z domu mego, i dałem to Lewitowi,
i przychodniowi, i sierocie, i wdowie,
jakoś mi rozkazał...” (Deut XXVI,13.)

Mając lat ośm, zacząłem uczęszczać do szkoły, zdawszy egzamin do klasy czwartej. Fakt ten

poprzedził jednak następujący, doniosły wypadek. Oto pewnego dnia przybyła do nas pani z towarzystwa dobroczynnego, prosząc o udzielenie stałych obiadów dla biednego chłopca, który utracił rodziców i pozbawiony jest wszelkich środków do życia a mieszkanie, śniadania i kolacje zapewnione już ma gdzieindziej.

— Uczycie chłopca zebrać — oświadczył ojciec mój — to niedobrze.

— Jakże mamy więc postąpić? — zawahała się owa dobroczynna pani.

— Przysłać chopaka do mnie -- zadecydował ojciec. A skoro będzie mi odpowiadał, może pozostać w moim domu i zasiąść przy moim stole. Może też uczęszczać z synem moim do szkoły i być mu towarzyszem.

Istotnie zgłosił się blady, szczupły blondynek i pozostał w naszym domu. Nazywał się Józef. Ponieważ przypadek zrządził, że i on ukończył trzecią i przeszedł do czwartej klasy ludowej, przeto razem rozpoczęliśmy naukę w tejże klasie.

Zaczęły się tedy codzienne marsze do dość odległej szkoły, dużego, jednopiętrowego budynku, którego kurytarze zawsze pełne tupotu nóg młodych, sale pełne słońca a nauczyciele poczciwości i dobroci.

Szybko mijały w tej szkole dnie, tygodnie, miesiące, nauka szła łatwo i składnie, czuliśmy się wszyscy chłopcy równymi bez różnicy kolegami, tylko jedno dzieliło mnie, Józefa i kilku

jeszcze chłopców od reszty klasy: Nauka religii i szkolne pacierze.

Religji klasie caalej udzielał siwiuteński kapłan o twarzy dziecka, odziany w czarną sutannę, nas kilku zaś pobierało tę naukę od młodego pana nauczyciela, który obojętnie odczytywał nam ustępy z historii biblijnej.

Nadto cała klasa odmawiała na początku i na końcu nauki chóralną modlitwę, gdy nas kilku stało, milcząc, w przykrem odosobnieniu. Słyszałem od kolegów, że uczestniczą co niedziela w pięknych nabożeństwach i kazaniach, podczas gdy moja niedziela upływała na spacerach z Józefem i czytaniu książek.

Czytaliśmy z Józefem o dalekich podróżach, o krajach zamorskich, czytaliśmy dużo.

Józef pokazał mi jednak jeszcze książkę, której dotąd nie widziałem nigdy, książkę w skromnej, czarnej oprawie, która zaczynała się tam, gdzie wszystkie dotąd znane mi książki, kończyły się. Litery jej duże i dziwne, biegnące od prawej ku lewej... Był to modlitewnik żydowski.

Odmawiałem wprawdzie, jak zwykle, rano i wieczorem ową dziecinną modlitwę do Anioła Stróża, przypomniałem sobie jednak słowa dziadka mego, przed laty słyszane, że kiedyś nauczę się językiem przodków moich chwalić Boga ich.

Prosiłem tedy rodziców, by dali mnie nauczyć tego języka, tego pisma, abym nareszcie i ja mógł

odczytywać owe tajemnicze modlitwy i brać udział w nabożeństwach naszego wyznania.

Zdziwił się ojciec mój, że coś podobnego przyszło mi do głowy. Tłómaczył, że Pan Bóg rozumie każdy język i że mogę wzywać Go własnymi słowy, lecz wreszcie zezwolił. Przywołany przez Józefa rozpoczął ze mną naukę hebrajskiego języka, specjalny nauczyciel, który w tym celu przychodził do mnie trzy razy tygodniowo.

Nauka szła ciężko, jako tako przyswajałem sobie jednak znajomość czytania hebrajskich liter i łączenia ich w słowa, lecz o zrozumieniu treści — czułem to dobrze od razu — wogóle mowy być nie mogło. Myśl ta stawała się dla mnie istną męczarnią i zadawałem sobie nieraz potajemnie pytanie, dlaczego wszyscy rówieśnicy moi modlić się mogą do Boga swego zrozumiałą dla siebie mową, ja zaś muszę Go wzywać odczytywaniem niezrozumiałych mi wyrazów.

Te wątpliwości odkryłem raz nauczycielowi hebrajskiego języka. Wpatrzył się we mnie zdumiony, z pod gęstych krzaczastych brwi, swemi piwnymi oczyma, pogładził długą, czarną brodę, westchnął a potem tłómaczył mi długo, że język hebrajski, to język święty, którym Bóg przemawiał sam do przodków naszych, że choć chwilowo nie rozumiem treści modlitw, które wszakże już czytać umiem, to jednak, odczytując je pięknie i głośno, chwałę oddaję Panu Bogu

Izraelskiemu, który mi to poczyta za zasługę i utworzy wokół mnie jakby delikatną, niewidzialną sieć, chroniącą mnie od wszystkiego złego — przez samo wymawianie owych świętych wyrazów .

Tłómaczył mi mój nauczyciel, bym jeno dalej pilnie przykładał się do nauki, a z czasem i treść tej świętej mowy będzie mi dostępna i coraz bardziej podobać się będę Bogu Abrahama, Izaaka i Jakóba.

Czułem, że oczy zachodzą mi łzami, widziałem jak towarzysz mój Józef kiwał z przekonaniem głową, zagłębiając palce w pukle swych długich, jasnych włosów.

— Widzisz — ciągnął dalej mój nauczyciel, gdy będziesz czynił postępy w nauce naszej, doczekasz radosnej chwili, gdy za lat kilka nałożysz po raz pierwszy tfilim...

— Tfilim — powtórzyłem — co to jest?

Dwie maleńkie, czarne skrzyneczki, zawierające Dziesięcioro Przykazań w swem wnętrzu. Jedną ubiera się na czoło, drugą na rękę, na czarnych rzemykach.

— Wiem, wiem, zawołałem, bo przypomniałem sobie ojca mej matki, którego niegdyś widziałem przez dziurkę od klucza pogrążonego w modlitwie.

— A potem wolno mi będzie narzucić na ramiona ową do stóp spływającą białą chustę w czarne pasy z szerokim kołnierzem, kapiącym od srebrnego haftu?...

— Tales — objaśnił mój nauczyciel z dziwnym blaskiem w oczach — ale to znów później, znacznie później... To dostojna chusta modlitewna mężów izraelskich — w której za życia rozmawiają z Bogiem, a która po śmierci otula ich w grobie.

I uczyłem się odtąd z zdwojoną pilnością języka Ojców moich.

„I wrócił się Mojżesz z góry, niosąc dwie tablice świadectwa w rękach swoich, pisane z obu stron. I uczynione robotą Bożą: pismo też Boże było na tablicach wyrzeżane. (Exod. XXXII 15,16).

„I będą te słowa, które ja dziś przykazuję tobie, w sercu twojem I będziesz je powiadał synom twoim, i będziesz w nich rozmyślał siedząc w domu twoim, i idąc w drodze, śpiąc i wstając. I przywiążesz je jako znak do ręki twojej, i będą, i ruszać się będą między oczyma twemi“.
(Deut VI. 6,7,8).

Przedziwne litery hebrajskie, nabierały w oczach moich, coraz to innego, nauczycielowi memu nawet niepojętego znaczenia, w miarę nauki historii biblijnej.

I tak dostrzegłem w jednej podobieństwo korabia Noego, który bezpiecznie płynął sobie po

falach potopu, inna wyglądała mi jak brama świątyni, którą wybudował król Salomon, inna smukłała mi w oczach do postaci arcykapłana, nawiedzającego Świętego Świętych, wreszcie inne znów, króciutkie, urwane, jakby w powietrzu zawisłe — zdawały mi się językami płomieni, unoszącymi się nad krzem Mojżeszowym. Pochwaliłem się tem memu pocziwemu nauczycielowi hebrajskiego, ale ten nie tylko że się nie ucieszył, ale oświadczył mi wręcz, abym myśli takie gnał daleko od siebie, bo nam wolno tylko to widzieć w naszych Księgach świętych, co tam jest istotnie napisane i co od wieków widzieli i rozumieli w nich ojcowie nasi.

Zrobiło mi się żal, lecz chciałem być posłuszny i odczytując głośno święte słowa modlitw czcigodnych, starałem się nie widzieć tego, co samo rzucało mi się w oczy: Korabia Noego, bramy świątynnej, arcykapłana i ogni krza Mojżeszowego.

Siliłem się napróżno. Dostojne głoski przemawiały zawsze jednako do mnie, jeno na skutek pouczeń nauczyciela zdawały mi się jakby smutniejsze.

Więc korab zdawał się mknąć pochyło po czarnych wodach, brama Salomonowej świątyni zdawała się chwiać, jakby trzęsła się pod nią ziemia, arcykapłan zgrzybiały skłonił na pierś głowę, niezdolny do składania ofiar, a płomienne języki krza Mojżeszowego błyskały i gasły, tańcząc mi przed oczyma.

„... synom Aaronowym szaty lniane poczynisz, i pasy i czapki, ku czci i ku ozdobie“. (Exod. XXVIII. 40).

Szczególnie utkwiał mi w pamięci dzień, gdy po raz pierwszy wolno mi było udać się do synagogi. Z czarnym modlitewnikiem w rękę, szedłem sam słonecznymi ulicami miasta ku rynkowi, skąd wąską, starą ulicą, pośród szarych, odrapanych kamienic, dostałem się nareszcie do naszej świątyni.

Poszedłem sam, bo ojciec mój zasadniczo do synagogi nie uczęszczał, wiedziałem tylko, że wyjątkowo w to wielkie święto, na galerji pierwszego piętra, dla niewiast przeznaczonej, siedzi moja matka.

(Mimo to jednak ojciec mój, jak i my wszyscy razem, pościliśmy tego dnia). Wszedłszy do synagogi, ujrzałem po obu stronach postacie, otulone w owe modlitewne chusty, w które spowijał się ojciec mej matki, niektórzy z modlących się odziani byli nadto w długie, białe szaty i także czapki; pochylali się ci, modlący się głośno mężczyźni, w jakimś chóralnem, nierównem zawodzeniu, z którego wyrwały się pojedyncze, rozplakane głosy.

Aż zabrzmiał prześliczny, niezapomniany, chwytający za serce śpiew od rozjaśnionego mnóstwem świec, ołtarza.

Jakiś starszy pan, obok którego stałem, spostrzegł widocznie, że przewracam karty mego modlitewnika, nie wiedząc gdzie szukać sto-

sownych, odmawianych w danej chwili modlitw, bo skinął na mnie łagodnie i wzięwszy modlitewnik z moich rąk, wskazał mi odnośne miejsce, zaczem gdy chóralne modlitwy na nowo się ozwały, przyłączyłem i ja głos mój po raz pierwszy w życiu do ogólnej modlitwy w świątyni.

Potem kilkudziesięciu ludzi, odzianych w owe białe, do stóp sięgające szaty, wyszło przed ołtarz i wzniosłszy w górę obie ręce, które zetknęli następnie dziwnie rozłożonymi palcami rąk, zaczęli odmawiać jakieś osobne modlitwy, a mnie kazał ów starszy pan obrócić się plecami do ołtarza, co uczynili także inni, modlący się, bo, jak mówił, kapłani mieli błogosławić lud, a kto się zwróci twarzą ku ołtarzowi — oślepie.

Nie wiedziałem jak zbiegł mi dzień, a gdy na niebie zabłysły pierwsze gwiazdy, ozwał się w synagodze głos rogu.

Ów starszy pan objaśnił mnie, że tak będzie trąbił Anioł w Dzień Ostateczny.

Z ustami spierzchłemi od postu i głośnej modlitwy, z uczuciem błogości w sercu, powróciłem do domu.

To było wielkie święto. ——— Sądny Dzień.

„Te imiona synów Aaronowych, kapłanów których pomazano, i których ręce napełniono i poświęcono, aby kapłański urząd sprawowali“.

„Przywiedź pokolenie Lewi i postaw przed oczyma Aarona kapłana, aby mu służyli, I strzegli i pilnowali,

cokolwiek należy do służby zgromadzenia przed przybytkiem świadectwa.

I niech strzegą naczynia przybytkowego, służąc na posłudze jego. I darujesz Lewity, Aaronowi i synom jego, którym dani są od synów Izraelowych: a Aarona i syny jego postanowisz nad służbą kapłańską.

Obcy, któryby ku posługiwaniu przystąpił, umrze“. (Numeri III. 3, 6, 7, 8, 9, 10).

„A z wami będą książęta pokolenia i domów w rodzinach swych...“ (Numeri I. 4). I rzekł Pan do Mojżesza: „Każde książę każdego dnia niech ofiaruje dary na poświęcenie ołtarza. (Numeri VII. 11).

Nazajutrz opowiadała mi matka, że ojciec jej, ów słodki, uroczysty dziadzio, w ono święto ubiera także białą szatę i w synagodze swego miasta również błogosławi ludowi.

Bo dziadzio pochodzi z rodu kapłańskiego i przodkowie jego niegdyś ofiarowali Bogu naszemu w Ziemi Świętej.

— A tato, a ojciec taty, z jakiego rodu my pochodzimy?

— My, Żydzi — objaśniała dalej matka, dzielimy się na Kapłanów, tj. tych, którzy ofiarowali Panu Bogu w Świątyni, na Lewitów, którzy im w tem pomagali i na resztę ludu — Izrael.

Nadto są jeszcze takie rody, które nie należą do żadnego z tych rodzajów a jednak górują nad nimi, bo niegdyś rządzili całym ludem — to książęta.

— Więc do którego rodzaju należy tato i ojciec taty i ja — naprzykrzałem się.

Matka moja podeszła ku mnie i całując mnie w czoło, szepnęła zaledwie dosłyszalnym głosem:

— Do książąt...

W tej chwili wbiegł do pokoju mój braciszek Feliks i domagał się, by mu przyniesiono małych karzełków, których widział na polu z glorjетки ogrodu, zaczem matka zaczęła mu perswadować, że to prawdziwi, wielcy ludzie, którzy z daleka wyglądają tacy mali i rozmowa zesłała na inny temat.

Udałem się jednak natychmiast na strych, gdzie odnalazłem moje królewskie korony blaszane, sporządzone ongi przez starego sługę. Własnoręcznie powprawiałem w nie kamienie, które z nich powypadały i jedną ofiarowałem bratu.

A ten — po drugiej stronie ulicy, w oszkłonej wnęce nad bramą klasztoru, ukoronowany kolczastym cierniem, Pan Jezus — zdawał się uśmiechać smutnie.

Jasne, niepamiętnej mi barwy, krwią nabiegłe oczy, siwa, długa broda, długa kapota i te dwa nieodstępne kosze owoców pełne, znamionowały Icka.

Siadywał przy owej szerokiej, czystej niegwarnej ulicy, w cieniu prastarych drzew i zachęcał uśmiechem przechodniów, by kupili u niego cokolwiek z zapasów jego. Chwytał przy tej okazji w obie ręce rumiane jabłka, lub soczyste pomarańcze, ruchem głowy wskazując jeszcze smakowite wianki fig.

Do pracowni ojca mego zachodził czasami; kupowano u niego bardziej z litości, niż z potrzeby. Pracownicy ojca, młodzi ludzie, brali nieraz towar na kredyt, a potem ciężko było Ickowi wydość od nich pieniądze.

Obiecywał tedy udać się na drogę sądową, choćby mu przyszło skierować sprawę do najwyższej instancji.

Na odchodnem nie omieszkał jednak opieszalym płatnikom udzielić dalszego kredytu i pozostawić dalszych partji towaru.

Gdy siedział sobie starowina w skwar południa na ławce ulicznej, nietylko oferował i zbywał owoce. Musiał czasem opędzać się chłopcom ulicznym, którzy usiłowali bezpłatnie zmniejszyć zawartość jego koszów.

Udawał Icek srogi gniew i śmiał się, nastraszywszy wyrostków. Zdarzyło mi się jednak spotkać raz Icka w innej zgoła sprawie. Wyniosły, poważny, niemal dumny, stąpał z rękoma w tył założonemi, w powłóczystej, atlasowej kapocie, przepasanej czarnym sznurem jedwabnym; zaś z pod kapoty widniały, nie jak codzień, długie buty i pasiaste spodnie, lecz delikatne meszty

i białe pończochy. Na głowie miał lisi kołpak z denkiem aksamitnem. Pierwszy raz zobaczyłem tak Icka, bez koszów z owocem, odświętnie ustrojonego, nie goniącego za zyskiem codziennym.

Mimowoli przystanąłem, a chcąc ukryć zdumienie, zagadnąłem go — nie wiem czemu — o jego wyborowe owoce.

Icek potrząsnął przecząco głową:

— Dziś nie mam, dziś nie sprzedam ani za miliony — wyszeptał w radosnej zadumie i ruszył dalej powolnym, uroczystym krokiem, gędząc półgłosem jakąś niezrozumiałą piosenkę.

Było to w piątek pod wieczór.

Brat mego ojca, stryj Jakób, stracił był cały swój bardzo duży majątek na wynalazki, które się nie powiodły i dalekie podróże. Gdy przyjechał do nas, wydawał już ostatnie swe pieniądze.

Był mężczyzną pięknym, w sile wieku o rumianych policzkach, dziarskim, w górę podkreconym wąsie złoto blond i takichże krótko przystrzyżonych włosach. Spalał mnóstwo papierosów dziennie, chodząc nerwowymi krokami godzinami całymi po pokoju, tam i z powrotem.

Widziałem, że o czemś myślał, coś rozważał. Lubił także kłaść się na kanapę i chciwie czytać przeróżne książki.

Wieczorem siedział do późna z rodzicami i tylko z daleka dobiegały do dziecinnego pokoju urywane słowa rozmowy.

Stryj twierdził uparcie, że wszystko go opuściło, że żona własna jest mu wrogiem, że szpiegują każdy jego krok jacyś obcy, dziwni ludzie.

Ojciec mój i matka, starali się uspakajać go.

Stryj przeczył. Wierzył jeszcze tylko w miłość swej matki.

To też gdy babcia przyjechała — zapewne zawezwana przez rodziców moich — uspokoił się nieco. Gdy zbyt wiele zapalał papierosów, babcia wyjmowała mu je z ust lub ręki, jak niebezpieczną zabawkę dziecku, a gdy za długo chodził pogrążony w swych dumaniach po pokoju, babcia brała go za rękę i wówczas stryj uśmiechał się do niej tak, jak do nikogo i posłuszny jej woli, siadał i słuchał, a ona opowiadała mu dziwne historie o jakimś bardzo uczonym i bardzo świętobliwym starcu, który już wielu ludziom dobrze poradził i z pewnością i jego nie zawiedzie.

Uśmiech niedowierzania wykwitał na twarzy mego stryja, lecz słuchał. A babcia opowiadała, że ów człowiek jest bardzo bliski Boga, że chodzi w szacie z białego atlasu i w sobolim kołpaku na głowie, ma długą siwą brodę i uśmiech anielski.

Cuda opowiadała babcia o jego białych, dziewiczych rękach, których dotknięcie leczy chorych.

Ów starzec trwa w ciągłej modlitwie, sypia krótko na twardej desce i gości w swym domu całe mnóstwo ubogich ludzi, którzy zasiadają z nim do wspólnego stołu.

Babcia prosiła, by stryj z nią do tego starca pojechał, a on wskaże mu dalszą drogę.

Stryj Jakób zgodził się i pojechali.

Zamknięta zda się księga niezapomnianych chwil dziecięcych; zabawki i książki z obrazkami, korony królewskie, wszystko to spakowane troskliwie rękoma wiernej Basi leży na strychu białego, rodzinnego domu.

Idę naprzód. Jestem już uczniem szkoły średniej, złożywszy z dobrym postępem egzamin do pierwszej klasy realnej. Dlaczego realnej? Bo ojciec mój radby widział mnie inżynierem.

Żegnając, ściskają mi rękę nauczyciele owej radosnej szkoły powszechnej i nie mówią już do mnie przez „ty“.

Obaj z Józefem rozpoczynamy odrabianie trudnych lekcji. Mało czasu na rozrywki pozostaje, ścieżki ogrodu naszego, puste, wiją się ku mnie z daleka kusząco; cóż stąd? Poważna nauka szkoły średniej nie pozwala już na beztrioskie spacerki, zwłaszcza, gdy jeszcze przybyła nauka muzyki. Marzyłem o fortepianie, palce rąk moich zdawały się tęsknić do białych klawiszy. Ojciec jednak kazał mnie uczyć gry na skrzypcach. Uczyłem się lata całe — i dziś mają dla mnie akordy fortepianu ten sam urok co dawniej, lecz w grze na skrzypcach mało uczyniłem postępów.

Podobnie wykazały późniejsze lata, że powinienem był raczej kształcić się w szkole huma-

nistycznej, w gimnazjum, bo nauki ściśle przemawiały do mnie podobnie, jak gra na skrzypcach. Stało się jednak inaczej i błęd trzeba było po latach naprawić. Towarzysz mój Józef, był jednak w każdym calu realistą, był ulubieńcem tych wszystkich nowych i mądrych nauczycieli, którzy nas otaczali. Mówię nowych, bo tylko jeden dotychczasowy przeszedł z nami do tego wielkiego, dwupiętrowego gmachu państwowej szkoły realnej, z słonecznej szkółki powszechnej. Nauczyciel religji.

Dłubiąc w zębach, lub wyjadając cukierki z papierowej torebki, czytał nam, kilku chłopcom mojąszowego wyznania, dalej wyjątki z historii biblijnej, apatycznym swym, ochrypłym nieco głosem.

Przepiękną, dwupiętrową kamienicę zbudował sobie ojciec mój z myślą, że na zawsze w niej zamieszka.

Bogata w rzeźby fasada, misterny balkon, brama na której wśród girland dębowych liści wplecione były monogramy rodziców rzeźbiarską sztuką, schody u dołu marmurowe, zaś na piętra wiodące, wykładane dywanami, okna klatek schodowych zdobne w szybki z amorkami matowymi, jak tafle zwierciadeł, parkietowe posadzki pokoi.

Ojciec mój przez szereg miesięcy osobiście doglądał budowy i niczego nie szczędził. Chciał

wszakże w domu tym pozostać na zawsze i po śmierci przekazać go synom.

Cóż, kiedy nie było przy tej wspaniałej kamienicy owego rozkosznego, tajemniczego ogrodu mego dzieciństwa, jeno maleńkie, czyściutkie, wybetonowane podwórko, okna patrzyły w także przeciwległe okna długiego rzędu kamienic, nie widać było klasztornego kościoła i klasztornych murów, nad którymi zwieszały się jak sztandary zielone gałęzie drzew, nie było widać smutnego Pana Jezusa nad bramą w oszklonej wnęce, uko-ronowanego cierniową koroną, brata Gabryela nawet zacząłem widywać bardzo rzadko, chyba, że wstąpił do nas po kweście czasami.

Gdzie spojrzeć, ganki, kamienice, domy, gwar.

Gdy opuszczaliśmy kochany, biały dworek rodzinny, rad byłem wcisnąć się w każdy kąt, pożegnać każde drzewo, ścieżkę każdą, a już nade-wszystko posąg świętego Jana Kantego w staro-żytnej kapliczce naszego ogrodu.

Śmiał się i dziwił towarzysz mój, Józef, gdy ja, nakupiwszy dużo różnobarwnych kwiatów, uścieliłem z nich dywan cały pod stopy Świętemu na pamiątkę, na pożegnanie.

A na biało lakierowanych drzwiach pralni odbijanka moją ręką nalepiona, przedstawia-jąca chłopczyka w białym ubranku marynar-skim, łowiącego ryby w błękitnym strumieniu, miała również pozostać po mnie niemą pamiątką.

Pragnąłem koniecznie, by tam, w tym domku rodzinnym, w tym ogrodzie, pozostał po mnie po wsze czasy jakiś trwały znak.

I byłem pewien, że te kwiaty w kapliczce Świętego, że ta odbijanka na drzwiach pralni, pozostaną tam na wieki.

Liczyłem wszakże wówczas dziesięć lat życia.

Zamieszkaliśmy więc w nowej, wspaniałej kamienicy, a do kochanego białego domu ściągnęli lokatorzy, którym ojciec mój posiadłość tę wynajął.

Odtąd czasami tylko, idąc na przechadzkę, rzucałem w tamtą stronę tęskne spojrzenia, jak na pałacyk zaczarowany z bajki.

Została tam bowiem dusza moja dziecięca • i długo jeszcze w snach bawiłem się na oszklonej werandzie i płaśałem — niewidzialny — po ścieżkach porośniętych chwastem, w nieskończoność ciągnącego się, ogrodu.

I nie wiem, czy przypadkiem, czy też umyślnie pozostawiłem tam na strychu — w tajemniczej skrytce, sporządzonej swego czasu przez Piotra, której nikt odnaleźć nie jest w stanie — moje zabawki dziecięce, książki z obrazkami, szopkę betlejemską z złocistą gwiazdą i korony królewskie z żółtej blachy.

Czułem bowiem, że niepodobna, bym już nigdy miał niepowrócić do tego domu, do tego ogrodu i dlatego zapewne nie chciałem wyprowadzać się ze wszystkim.

Z okazji przenosin naszych do owej wielkiej, pięknej kamienicy, zjechali pospraszani członkowie rodziny naszej, prócz rodziców ojca. Przybyli tedy rodzice matki, stryj Jakób i drugi brat ojca mego, stryj Ignacy, który był sędzią okręgowym i przywiózł młodą małżonkę z sobą i bardzo krzykliwego, rudego synka, przyjechała także ciocia Augusta, siostra ojca, żona miejskiego lekarza. Gwarno było i wesoło, tylko stryj Jakób zakłócał ogólną harmonję tem, że absolutnie wstrzymywał się od spożywania mięsnych potraw, nie palił papierosów i był bardzo, bardzo poważny i spokojny. Dlaczego tak się zmienił? Oto ów bogobojny starzec w białej, atlasowej kaptocie i sobolowym kołpaku, włożył na niego swe magiczne ręce, wyszeptał nad nim jakąś modlitwę i polecił mu nigdy nie jadać mięsa, nie używać alkoholu i tytoniu a nadewszystko przestrzegać Bożych Przykazań i przepisów Zakonu. Stryj Jakób poddał się jego woli, bo tej — jak opowiadał — oprzeć się było niemożliwością — i uczuł się nowym człowiekiem.

Wszyscy obecni śmiali się z niego, ale on po kiwał tylko głową i powiedział, że wie swoje, a oni swoje.

Tylko dziadzio i babunia nie śmiali się z stryja Jakóba, a dziadzio wręczył ojcu memu jako prezent zawiniątko, pełne małych rurek szklanych, zamkniętych po obu końcach metalową blaszką, a kryjących w sobie jakieś ruloniki, jakby starego pergaminu.

Dziadzio objaśnił mnie, że w tych rurkach zamknięto Dziesięcioro Przykazań Bożych i że trzeba je umieścić na wszystkich drzwiach kamienicy, a wchodząc i wychodząc dotykać ich dwoma palcami i palce te następnie całować. Tak każe stary obyczaj. Ojciec mój z wdzięcznością przyjął podarunek, obiecał umieścić Przykazania na wszystkich drzwiach kamienicy swej, lecz o ile pamięć moja sięga, nie uczynił tego.

Natomiast po obiedzie zapukał do nas brat Gabryel i wysuwając przed siebie dużą, czarną puszkę, w którą wszyscy obecni ochotnie rzucili jałmużnę, zawołał:

— Niech wam błogosławi w waszym nowym domu Pan Bóg Abrahama, Izaaka i Jakóba — poczem ręką zakreślił znak Krzyża w powietrzu, a z pod fałdów sukni wyjął małe, oszklone pudełeczko, w którym na szpilce umieszczony był motyl wspaniały i głaszcząc mnie po twarzy, ofiarował mi go uśmiechnięty.

Niedaleko naszej kamienicy wznosił się biały, milczący kościół. Krzyż miał na szczycie wieży, jak kościół klasztorny, lecz nieliczni tylko ludzie doń wchodzili raz jeden w niedzielę, bo przez resztę tygodnia stał zamknięty. Na zewnętrznej ścianie tego kościoła wisiał olbrzymi, nadnaturalnej wielkości obraz, przedstawiający Królową w koronie z Dzieciątkiem na ręku, stojącą na sierpie księżycy. Koledzy moi objaśnili mnie, że to

obraz Matki Pana Jezusa, czyli jak Ją nazywali Matki Boskiej lub Panny Najświętszej. Kościół ten jednak — jak mi powiedziano — nie należał do tego samego wyznania, co klasztor, nie był on świątynią katolicką, lecz protestancką.

Zacząłem interesować się różnicą i nazwą, lecz nie wiele umieli mi moi młodociani koledzy wyjaśnić. Stało na tem, że wierni uczęszczający do tego kościoła, protestują przeciw nauce, głoszonej w kościele klasztor, pod wieloma względami, przedewszystkiem przeciw czci, oddawanej owej słodkiej Królowej z Dzieciątkiem, której obraz widnieje mimo to na ścianie zewnętrznej ich zboru. Nie mogłem zrozumieć, jak owi dziwni ludzie łączą swoje zapatrywania z wywieszeniem obrazu Tej, której nie czczą.

Ale koledzy moi zapewniali mnie, że obraz ów wisiał ongi, przed wiekami we wnętrzu kościoła, gdy tenże był jeszcze katolickim. Zaś kiedy stał się następnie protestanckim, obraz usunięto.

Wobec tego wierni, którzy uczęszczali do klasztor, zabrali obraz do klasztoru, ale w niewytłómaczony sposób wracał on już następnej nocy na ścianę kościoła protestanckiego, co kilkakrotnie się powtarzało. Tak więc wisiał sobie przez stulecia, a u stóp jego zapalono czerwoną latarnię, która płonęła bezustannie. Widziałem, że z budynku szarego tuż obok kościoła położonego, wychodził czasami jegomość w starszym wieku, o siwiejących bokobrodach, lecz z ogolonym wąsem, w czarnym płaszczu z pele-

ryną, który miarowym krokiem, z rękoma w tył założonemi, szedł na samotną przechadzkę, na nikogo nie patrząc i przez nikogo niepozdrawiany.

Pan pastor.

Jakże inaczej wyglądał poczciwy ksiądz katecheta z ludowej szkółki, lub gołębiego serca brat Gabryel.

Skoro pan pastor był duchownym ludzi, którzy protestowali przeciw temu, w co wierzyli ci dwaj drudzy, to serce nakazywało mi mimo woli tego protestu nie uważać za słuszny, tem mniej, że wobec onej Królowej, otoczonej Aniołami i tulącej Dzieciątka na ręku, szli w Noc Wigilijną pokłonić Mu się, ze Wschodu Trzej Królowie, o czem niegdyś zapewniał mnie Piotr.

Siedział obok mnie na szkolnej ławie w drugiej klasie realnej. Narzucał mi się jako towarzysz przechadzek na pauzach, udawał, że podpowiada mi, gdy byłem pytany, choć umiał mniej odemnie, zjadał mi drugie śniadania, przynoszone z domu, uśmiechał się słodko, okazując zielonkawę zęby w ustach, bezwstydnie rozchylonych od ucha do ucha. Najgłośniej wydziełał się przy chóralnym pacierzu szkolnym, gonił po korytarzu za katechetą, by ostentacyjnie całować go w rękę, ścigał profesorów, by im się uklonić. Niski, krępy, uczesany na jeża, o rybich, bezmyślnych oczach niezdecydowanego koloru, z rękoma o krótkich palcach, z brudem za paznokciami.

Zdołał mi nawet ukraść parę książek, a ja udawałem, że nie domyślam się tego. Ogarniał mnie za niego wstyd. Nazywał się Tomasz.

Odpowiednie imię, bo wszystkiemu przeczył, wszystkiemu się przeciwstawiał. Nawiązywał po to rozmowy, by się kłócić, lub przerywać ciągłymi pytaniami od rzeczy, by rozmówcę zniecierpliwic.

Lubił nadzwyczaj tematy religijne.

Nibyto wypytywał mnie o zasady religii żydowskiej, a de facto zdawał się wiedzieć więcej odemnie w tym względzie, bo odpowiadając sam na swoje pytania, wygłaszał zdania, od których powstawały mi włosy na głowie.

— Słuchaj — zagadnął mnie raz Tomasz — wy, Żydzi, wszakże używacie do wypiekania wazszych placków wielkanocnych, krwi chrześcijańskiej...

Uczułem, jak moja krew własna, falą nabiega mi do głowy. Po raz pierwszy obity mi się o uszy takie potworne przypuszczenia. Przypomniałem sobie słodką babunię, oprzątającą każdy kąt z okruszyn chleba, na powitanie owych smutnych, cieniutkich placków, które Bóg przykazał spożywać na pamiątkę wyprowadzenia przodków naszych z ziemi Egiptu, z domu niewoli.

— Wierutne kłamstwo ! — uniosłem się oburzeniem. Któż coś podobnego ci nagadał ?

— Ty może nie wiesz, a może udajesz, że nie wiesz, jak to zaciągają Żydzi młodociane dziewczęta w swoje zaułki, jak szpilkami je nakłówiają

i krwi, z nich w ten sposób wysączonej, używają do swoich placzków wielkanocnych.

Zapewniłem raz jeszcze Tomasza, że nigdy nic podobnego nie słyszałem. Tomasz nie wierzył i wysuwał coraz to nowe argumenty, którym ani na chwilę nie dawałem wiary, a których treść sama wstrząsała całym moim wnętrzem.

Po raz pierwszy uczułem jak serce zaczyna mi bić jakimś przyspieszonym, nierównym tętnem.

(W późniejszych latach doznawałem częściej tego uczucia — tak, że zacząłem się doń przyzwyczajać.)

Ogłuszony owem tętnem krwi, bijącym jak dzwony na trwogę, nie pamiętam już jak potoczyła się dalej nasza rozmowa.

Wiem tylko tyle, że nazajutrz zawołano mnie do dyrekcji zakładu, na skutek doniesienia Tomasza, iż wyrażałem się w sposób obelżywy o wierze chrześcijańskiej.

Oślupiałem.

Dyrektor zaś cytował mi najhaniebniejszy stek niecnych wyrazów, jakoby przezemnie do Tomasza wyrzeczonych, które nigdy nie przeszły przez moją myśl, ani usta.

Z oczyma nabiegłymi łzami, tłumaczyłem całe zajście dyrektorowi. Notował sobie pilnie to, co mówiłem i oświadczył, że po południu zbierze się konferencja profesorów w tej sprawie. Nie tań, że grozi mi wydalenie ze szkoły.

Pamiętam, że w tej chwili zatrzepotało się we mnie znowu serce, jak ptak spłoszony i poczułem bijące na trwogę wszystkie tętna.

Za co ? ! Za co ? !

Z rozpaczliwą pewnością uchwyciłem się mojej dziecięcej modlitewki do Anioła-Stróża, bez końca ją powtarzając — bez słów.

Następnego dnia zawołano mnie ponownie do gabinetu dyrektora. Prócz niego, zastałem tam mego gospodarza klasy, kilku innych profesorów i księdza katechetę.

Ten ostatni w uroczystych fałdach swej czarnej sutanny, patrzył mi w oczy dobrodusznie uśmiechnięty. Nie zapomnę nigdy tego uśmiechu.

Dyrektor przemówił nareszcie.

— Chłopcze, wiedz, że konferencja profesorów domagała się twego wydalenia, nie mając powodu wątpić w prawdziwość zeznań twego kolegi. Miałeś tedy zostać wydalonym nie tylko z naszego zakładu, ale wstęp do jakiegokolwiek uczelni w kraju, byłby dla ciebie na zawsze zamknięty. Dyrektor pogładził czarną brodę, przerwał na chwilę i spojrzał po obecnych.

— Jeden głos — ciągnął dalej dyrektor — zawążył na szali, jeden głos uratował cię tym razem od zasłużonej kary. Obecny tu ksiądz katecheta wstawił się za tobą. Jego zdanie wpłynęło decydująco na kolegjum profesorów.

— Pan Jezus kazał odpuszczać winy tym, którzy nie wiedzą co czynią — przemówił łagodnie ksiądz katecheta. —

— Dostajesz zatem surowe upomnienie —
kończył dyrektor — i pamiętaj, aby podobna
rzecz nigdy się już nie powtórzyła.

Wybuchnąłem niepohamowanym płaczem.

Gdym, szlochając, wychodził na korytarz,
wysunął się za mną także ksiądz katecheta.

Pogładził mnie po głowie swą dziwnie białą
ręką i zapytał:

— Chłopcze, powiedz mi, czemuś to uczynił?
Jesteś dzieckiem jeszcze, musiałeś takie wyrazy
słyszeć od kogoś starszego. Nie powtarzaj ich już
nigdy.

Zanosząc się łkaniem tłumaczyłem księdzu,
że nigdy zarzuconych mi słów nie wypowiedziałem,
że to jakaś straszliwa pomyłka, lub może
złośliwość.....

— Bóg jeden wie, jak było — szepnął, bio-
rąc mnie za rękę, kapłan. — Jeśli mówisz pra-
wdę — a czuję, że tak jest — to ty z kolei wybac
twemu złemu koledze i módl się za niego, módl
jak umiesz, jak cię nauczono. A przekonasz się,
że tak postąpiwszy, doznasz większego zadowole-
nia, niżlibyś szukał zemsty i satysfakcji. Wierzaj
mi. A teraz otrzyj łzy, wracaj do klasy a ja posta-
ram się, aby cię posadzono w innej ławce, dalej
od twego kolegi.

Chciałem jeszcze coś odpowiedzieć, ale
ksiądz katecheta już odszedł. Usłuchałem go
jednak. Nie szukałem zemsty na Tomaszu, jeno
schodziłem mu z drogi. Modląc się zaś, prosiłem
Boga po mojemu, jak umiałem, o wszystko dobre
dla Tomasza.

I to przyniosło mi wielką ulgę i zadowolenie.

Nikommu też nie opowiadałem o tem zajściu. Po raz pierwszy od tylu lat myślałem o niem dzisiaj, gdy wspomnienia przesuwają się przedemną, a postanowiłem nie opuszczać żadnego.

Incydent ten podziałał na mnie głębiej, niżby się zdawało. Bezradność moja wobec przewrotności Tomasza, ślepy wymiar sprawiedliwości ziemskiej i przepojona Bożą Miłością postać księdza, dotknęły mnie do żywego. To też pewnej nocy, zerwałem się z nużącego snu, z gwałtownem biciem serca i brakiem tchu, z bezwzględną świadomością, że umieram. Nerwowe, nieznane dotąd dreszcze, potęgowały uczucie lęku i bez nadziei. Wyskoczyłem z łóżka, wołając o pomoc, pragnąc z drogimi się pożegnać. Wybladły z przerażenia ojciec mój, stał niemy, z dziwnym błaskiem w swych czarnych oczach, w świetłokręgu lampy, na prędcie zaświeconej, podczas gdy matka zaprowadziła mnie zpowrotem do łóżka, kładąc na serce okład zimny. Następnie podszedł do mnie mój surowy, groźny ojciec i począł z niezmierną czułością całować mnie po twarzy. To było dla mnie najlepszem lekarstwem. Przywołany z drugiego domu lekarz, przyjaciel ojca, wpadł do mego pokoju. Na pół senny poddałem się jego badaniom i usypiając z uczuciem ulgi, słyszałem jeszcze urywaną rozmowę rodziców z lekarzem.

— Więc to samo co u mnie — szeptał ojciec, to samo co u mego ojca: wadę serca zdaje się mieć i mój syn...

— Skąd taka choroba u młodego chłopca — łkała matka.

— Uspokójcie się, państwo — odpowiadał lekarz — Wady serca jako organicznej nie dziedziczy się. To zupełnie co innego. To przykry stan neurozy, wywołany jakąś zewnętrzną przyczyną, przy wrodzonej wrażliwości. Czy nie spotkała dziecka jaka nadzwyczajna przykrość?

Rodzice przeczyli.

— Coś takiego musiało się stać koniecznie. Stany takie nie przychodzą same z siebie. Chłopiec potrzebuje spokoju. Bezwzględego spokoju. Ma też bardzo czułe, delikatne serce. Żydowskie serce — zakończył lekarz z naciskiem, westchnąwszy ciężko. Serce takie bywa poniewierane od lat najmłodszych, a że jest bardzo wrażliwe, więc cierpi....

Przez sen już słyszałem tę rozmowę i nie wiem czemu, przyszły mi na myśl słowa, jakiejś wśród kolegów chrześcijan słyszanej modlitwy: „Serce Jezusa, zelżywościami nasycone“...

A potem śnił mi się Pan Jezus w cierniowej koronie, siedzący w wnęce oszklonej nad bramą klasztoru. Bardzo biedny Pan Jezus.

„... on zapytał: Co za robotę macie? odpowiedzieli: Pa-sterze owiec jesteśmy, służymy twoim, i my, i ojcowie nasi.“
(Mojż. I. XL VII, 3).

Ojciec mój widocznie nie mógł, mimo wszystko, znaleźć zadowolenia, ni spokoju. Nie pamiętam go inaczej, jak tylko tęskniącego za czemś nieokreślonym i dalekim.

To też wzniósłszy wspaniałą kamienicę, przez czas krótki jakgdyby przestał być sobą. Zaczynał nabierać cech człowieka osiadłego. Zdawał się troskać ustawicznie o lada drobnostkę w kamienicy, martwił się o każdy gzyms uszkodzony ulewą, bolał go każdy rys na tafli parkietów. Trwało to jednak krótko.

Pewnego rana, wszedłszy do sypialni ojca, zastałem go leżącego w łóżku na wznak, z rękoma pod głową. Był bardzo zamyślony. Spojrzał na mnie djamentami swych czarnych oczu, jak człowiek, który powraca z daleka i powiedział:

— Źle zrobiłem, synu, że zbudowałem kamienicę. Zostałem niewolnikiem murów. Duszą mi w tym domu, w tym mieście.

Uradowałem się. Zabłysnął mi promyk nadziei, że ojciec chce zpowrotem sprowadzić się do kochanego białego domku, opartego o bajeczny sad...

— Źle zrobiłem — ciągnął dalej ojciec — już znowu zapatrzony gdzieś w dal i mówiący bardziej do siebie i myśli swoich, niż do mnie.

— Mnie się nie wolno tu zatrzymywać. Ja muszę iść dalej, naprzód, do bardzo wielkiego miasta. Tam przewiozę pracownię moją i po pracuję jeszcze kilka lat. Tam ocenią moją pracę, synowie będą mieli na miejscu uniwersytet, odpowiednie otoczenie, a gdy oni oddadzą się wyższym studjom, ja poszukam sobie bardziej odpowiedniego zajęcia, które będzie właściwie dla mnie wypoczynkiem i przyjemnością: Nabędę mały folwarczek i będę żył na roli. Muszę jednakże przedtem kilka lat jeszcze popracować. Niema co długo się zastanawiać, trzeba się spieszyć.

— Jesteś jeszcze młody, synu, ale powinienes mnie już zrozumieć.

— Tu ojciec znowu spojrział na mnie i mówił dalej. Zawód mój niszczy mnie i pożera. Wiesz, że nie mam zdrowego serca. Lecz tych parę lat, czuję, że wytrzymam a potem rozpoczniemy inne życie. Rodzice ojca mego, a twego dziadka, pracowali na roli. Byli szczęśliwi, zdrowi i spokojni. Ja urodziłem się już w mieście i nie mogę powiedzieć, by ojciec mój dobrze postąpił, że nie szedł śladami swych rodziców. Młodość moja była smutna, wczesnie opuściłem dom ojcowski, by stanąć na własnych nogach. Osiałem potem w tem mieście, w którym ty i brat twój przyszliście na świat. Jest tu dużo ogrodów, szerokie wysadzone starymi drzewami ulice, bliskość pól i łąk. Oto co mnie zwabiło. I dziwnym

trafem nabyłem biały dworek z pięknym sadem, gdzie mieszkaliśmy tak długo. A teraz czuję, że zbudowawszy tę kamienicę, zbudowałem sobie więzienie.

Ojciec miał zwyczaj nie radzić się nikogo, iść za głosem własnego rozumu, a raczej serca i dlatego, już po upływie kilku miesięcy, uczynił co zamierzał: Sprzedał nową, piękną kamienicę i marząc o zacisznym folwarczku, przeniósł się z nami do miasta o wiele większego, niż moje miasto rodzinne. Miałem wówczas lat trzynaście i zaczynałem naukę w klasie czwartej realnej.

„... Ziemia, którąśmy obesзли, bardzo dobra jest. Będzieli nam Pan miłościw, wprowadzi nas do niej i da nam ziemię mlekiem i miodem płynącą“. (Num. XIV. 7, 8.)

I oto owiało mnie urokiem swym miasto stu kościołów i kaplic, miasto, które ongiś było potężną stolicą narodu, wśród którego żyłem, z zadumanym nad minioną chwałą zamkiem królewskim, kryjącym w katedrze sarkofagi wspiane z prochami królów tej ziemi, nad błękitną wstęgą szerokiej, rozlewnej, z wolna płynącej

rzeki. Ulicami staroświeckimi, gdzie każdy dom, każdy kamień bruku, zdawały się świadczyć przeszłości pięknej i szlachetnej, przemyskałem się często ku bastjonom zamku, snułem się po chłodnym, uroczystym, nabijanem złotem wnętrzu katedry, gdzie żywa tradycja otaczającego mnie narodu, przemawiała do mnie sarkofagami królów, posągami rycerzy ze spiżu, grobowcami biskupów, którzy w stroju pontyfikalnym spoczywali wykuci w czerwonym marmurze, snem dumnym i pięknym.

W jednej z bocznych kaplic, wisiał na ołtarzu nadnaturalnej wielkości krzyż, z rozpiętą na nim postacią Chrystusa, cały wykuty ze srebra, poczerniałego przez wieki, obwieszony dokoła cennymi darami, złożonymi rękami królów tego kraju.

Dłgie godziny trawiłem wpatrując się w postać Ukrzyżowanego, cudami słynącą i nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że czasami pierś srebrna Jego podnosi się głębokiem westchnieniem, że drżą powieki, że szepcą coś poczerniałe usta...

Na ławie szkolnej miałem kolegów szlachetnych, o przewrotnym Tomaszu dawno zapomniałem, nauczyciele byli pełni powagi i ojcowskiej wyrozumiałości. Przyłgnałem tedy sercem do narodu, wśród którego żyłem, do jego doli, umiłowań i tradycji. Legendarne niemal nici, łączące mnie dotąd z współwyznawcami moimi, zaczęły rozpywać się w mgle, bo, dla odległości miejsca, przestał nas odwiedzać uroczysty dziadunio,

obie babcie, krewni, wogóle ci wszyscy, którzy świadczyli dotąd duszy mojej na korzyść tradycji z przed tysięcy lat, tradycji mego pochodzenia. Bardzo rzadko brałem już do ręki ów czarny modlitewnik żydowski, którego litery tak dziwnie przemawiały do mnie niegdyś.

A jeśli zaglądałem doń czasem, to tylko dlatego, bo jedna z liter przemawiała do mnie nowym, utajonym kształtem: Wyglądała mi, jak Pan Jezus, siedzący w wnęce klasztornej z głową na ręku opartą, zafrasowany w cierniowej koronie, którego wspomnienie szło za mną, z rodzinnego miasta. Ta postać przyćmiewała i on korab potopu, arcykapłana, bramę świątyni i ogień krza Mojżeszowego, zaczęła przemawiać do mnie coraz bardziej, a czytałem wówczas „Quo vadis“, Sienkiewicza i „Fabjolę“ Wiesemanna, dające świadectwo prawdzie, życiu pierwszych chrześcijan, którzy w ogień i kły zwierząt szli radośnie uśmiechnięci i promienni — dla Chrystusa.

Czemże były owe godziny religji, oschłe i pełne sceptycznych rozważań, udzielane przez poważnego doktora teologii starozakonnej w szkole naszej. Uczony ów nie wahał się raz objaśniać w czasie lekcji, że Żydzi byli narodem wybranym nie dlatego, że sobie Bóg ich wybrał z pośród innych narodów, lecz, że Żydzi wybrali sobie Boga pośród bogów czczonych gdzieindziej...

W tym kierunku prowadzone wykłady, odzierające wiarę z wszelkiej cudowności objawienia, a chcące tłómaczyć wszystko ludzkim ro-

zumem i po ludzku, zaczęły odpychać mnie od uczęszczania na nie.

Otoczenie — czytane książki — pragnienia serca i jakieś mgliste wspomnienia słów, słyszanych w zaraniu dzieciństwa, od starego sługi Piotra i — już teraz nieboszczki — Basi, wiodły mnie ku Kościołowi Chrystusowemu, a zarazem zacieśniały węzły, łączące mnie z narodem, wśród którego urodziłem się i żyłem, tak, że nadszedł dzień, gdy poczułem się jednym z tym narodem i postanowiłem zarazem usunąć ostatnią, dzielącą mnie odeń zaporę — wyznanie.

Józef zaczął oddalać się odemnie, zaczął stąpać własnymi drogami. Jak zwykle o świcie, modlił się żarliwie z czarnego modlitewnika, a pod wieczór wybiegał do synagogi z woreczkiem aksamitnym pod pachą, kryjącym w swem wnętrzu tfilim i książkę do nabożeństwa.

Ubolewał nademną skrycie, gdy ja — z natury otwarty — nie tailem przed nim mych zapatrywań.

Gdy pewnego wieczora szliśmy wyjątkowo razem na przechadzkę, zagadnął mnie Józef z nienacka:

— Co się z tobą dzieje? Jesteś wszakże Żydem...

— Jestem jeszcze chwilowo, na papierze członkiem tego wyznania — odparłem, pozatem

zaś czuję się przynależnym duszą i sercem do narodu, który mnie otacza, wśród którego urodziłem się i wzrosłem.

Józef przystanął i położywszy mi rękę na ramieniu, rzekł jakimś dziwnie przytłumionym głosem:

— Słuchaj, a gdybyś był urodził się na morzu, na okręcie, płynącym z Europy naprzykład ku wyspom Malajskim, czem byłbyś wtedy? Odpowiedz...

— Matka moja, która powiłaby mnie na pełnym morzu, na okręcie płynącym, jak chcesz, ku wyspom Malajskim, przemówiłaby do mnie jakąś mową, tuliłaby mnie nucąc jakąś piosenkę, którą się dzieciom śpiewa. Potem, dobiwszy do brzegu, śpiewałaby mi dalej stare kołysanki, mówiła do mnie w tym samym języku, opowiadałaby baśnie i szukała mi otoczenia, tą samą władającą mową. Oto tajemnica języka ojczystego, który jest sprawdzianem narodowości.

W tej chwili, rozkołysały się dzwony kościołów hymnem przepotężnym, a ja wiedziałem już o tem, że głos ich przypomnieć ma światu chrześcijańskiemu, że „Anioł Pański zwiastował Panie Marji“....

W słodki rytm uderzało tętno serca mego — tym dzwonom do wtóru — ku nowej budzącej się wiosnie. Zmierzch począł otulać bastjony Zamku, mury kościołów, prastare ulice i dyszące wonią budzącej się ziemi, ogrody miejskie.

Józef chmurny nastawił kołnierz płaszcza i wsadziwszy obie ręce w kieszenie, siedł obok mnie z głową na pierś pochyloną, nie mówiąc ni słowa.

A dzwony bily, bily...

Gdy po raz pierwszy przestąpiłem próg celi Ojca Jana, zastałem go siedzącego przy biurku, pochylonego nad stosem ksiąg i papierów.

Człowiek młody, o twarzy Napoleona. Orli nos, pośród dwu błękitnych toni prześwietlonych ogniem wewnętrznym ócz, nadawał obliczu Ojca Jana rysunku niepospolitej energii i nieugiętej woli.

Usta zwarte, jakby na znak upornego wytrwania na drodze obranej, mimo uludnych gwarów świata, który mętną swą falą zdawał się hućać poza oknem celi zakonnika. Czarna suknia zakonna, przepasana takimż pasem, z którego spływał szemrząc nabożnie — różaniec.

Spojrzał na mnie Ojciec Jan swym przedziwnym wzrokiem i zdawało mi się w tej chwili, że pociągnięty jakąś nieznaną mocą, lecę na oślep w te dwie jasne tonie oczu jego, w których przeglądało się niebo jego duszy.

Oznajmiłem lękliwie i trwożnie cel przybycia:

— Chcę przyjąć chrzest i wniść do Kościoła Chrystusowego.

Ojciec Jan podał mi rękę, którą ucałowałem, gdy on z kolei złożył pocałunek na mojem czole.

Zaczął wypytywać, co mnie ku temu krokowi skłoniło, czy wiedzą o tem i zgadzają się rodzice moi.

Ośmielony anielskim uśmiechem zakonnika, zacząłem opowiadać szczegółowo o mojem dzieciństwie, z którym zrósł się ów smutny Pan Jezus ukoronowany cierniem nad bramą klasztoru w rodzinnem mieście, o starym słudze Piotrze, który pierwszy mówił mi o Nim, o kapliczce św. Jana Kantego w ogrodzie naszym, o choince w Noc Bożego Narodzenia, której blask rozświetlał mroki snów dziecięcych, o niezapomnianym bracie Gabryelu, o gołębiego serca księdzu katechecie, który uratował mnie mimo, że byłem innowiercą od wydalenia z zakładu i rzucił pierwszy w serce moje ziarnko Chrystusowej Nauki każąc wybaczać nieprzyjaciółom i za nich się modlić, wreszcie o cudownym wpływie „Quo vadis“ Sienkiewicza i „Fabjoli“ Wiesemanna.... I że to wszystko, połączone razem, pociąga mnie ku Chrystusowi w tem mieście niezliczonych kościołów i kaplic, gdzie uczułem się jednym z narodem, wśród którego żyję, a od którego dzieli mnie jeszcze formalnie wprawdzie już tylko, odmienne wyznanie. Rodzice moi nie wiedzą o niczem, nie znają moich zamiarów, ale nie sprzeciwiają się na pewno, wiem o tem.

Ojciec Jan pytał dalej:

— Jesteś ty naprawdę Mojżeszowego wyznania? To znaczy — uzupełniał Ojciec Jan — czy znasz Naukę Starego Testamentu, a więc poza Pięcioksiągami Mojżesza, Księgi Proroków, Psalmi Dawidowe, jednym słowem wszystkie te przez Boga natchnione Księgi, których treść daje świadectwo Nauce Chrystusowej, których treść stwierdza tę niezbitą prawdę, że Mesjasz, na którego czekają Żydzi, już przyszedł, że tym Mesjaszem jest Jezus z Nazaretu, a dla nas Chrystus, i Syn Boży? — Musiałem przyznać ze wstydem, że nie wiele prócz historii biblijnej i to bardzo pobieżnie, poznałem.

O Prorokach wiedziałem jeno, że byli, znałem Ich imiona, nie znałem natomiast Ich Proctw.

To, co wiedziałem o Odkupicielu świata, to były jedynie wiadomości pochwytnane w najrańszem dzieciństwie z ust starego sługi, jakieś mgliste reminiscencje rozmów brata Gabryela z Izydorem i to wszystko, co z ksiązek świeckich, czytanych chciwie, a osnutych na tle tradycji chrześcijańskiej, podziałało na uczucie, na serce.

Lecz Ojciec Jan tłumaczył:

— Wiara nasza nie śmie polegać na samem uczuciu, bo ono jest zmienne. Jesteśmy istotami rozumnymi. Wiara nasza musi być także rozumną. Trzeba zatem koniecznie poznać najpierw choćby najważniejszą treść Nauk Starego Zakonu, trzeba, że tak powiem w znaczeniu duchowem, stać się najpierw Żydem, by módz na-

stępnie zostać chrześcijaninem. Bo na Starym Zakonie oparty jest Nowy Testament Jezusa Chrystusa, bo bez Starego, nie masz Nowego Zakonu.

I wiedz, że zostając chrześcijaninem, nie wypierasz się ani jednej litery Zakonu Mojżeszowego, że dopiero zaczynasz rozumieć Jego Naukę i cel, ową tęsknotę za Mesjaszem, za Odkupicielem świata, bo Stary Testament to tęsknota za Nim, to oczekiwanie. Nowy zaś — przyjście Jego, dopełnienie.

Zacznijmy tedy od Starego Testamentu.

„Proroka z narodu twego i z braciej twojej jako mnie, wzbudzi tobie Pan, Bóg twój: tego słuchać będziesz.“ (Deut. XVIII. 15.)

I Ojciec Jan przez długi szereg miesięcy, troskliwie i pilnie, wszczepiał w duszę moją preczyste ziarna Nauki Kościoła. Rozpoczął, jak przyrzekł, od Ksiąg Starego Zakonu, ukazując mi równocześnie między wierszami Biblii, one słoneczne przebliski, dotyczące Osoby i dziejów Mesjasza.

Te ustępy Ksiąg Starego Testamentu, jak drobne tabliczki mozaiki, składały się razem na świetlaną Postać Zbawiciela.

Ojciec Jan tłumaczył mi wszystko to tak jasno, tak przejrzysto, że wierze mojej, która

uczuciem opanowała serce, nadał trwałe, granitowe fundamenty rozumowych przesłanek.

I przeto wiara moja trwa.

„Nie mniemajcie, abym Ja was oskarżać miał u Ojca: jest, który was oskarża, Mojżesz, w którym wy nadzieję macie. Bo gdybyście wierzyli Mojżeszowi, podobno byście i mnie wierzyli; bowiem on o mnie pisał. Lecz jeśli jego pismom nie wierzycie, jakoż moim słowom uwierzycie?

(Ewang. św. Jana. V. 45, 46, 47.)

Rzucił — bo Bóg na nieskończony ekran wieków owe linje ogniste, błyskawicowe, dające monumentalny rysunek Chrystusowej Postaci.

Już pierwsi grzesznicy w rajach wiedzieli o tem, że przyjdzie Zbawiciel, a w kilka tysięcy lat później, wiedział Abraham, Izaak i Jakób, że Zbawiciel ten z rodu ich pochodzić będzie.

„Nie będzie odjęty scepter od Judy, ani wódz z bioder jego, aż przyjdzie który ma być posłan, a on będzie oczekiwaniem narodów.“ (I. Księga Mojżesza Rozdz. XLIX, 10.)

Na tysiąc lat przed Chrystusem coraz wyraźniej zaczynają wieścić Go Prorocy.

Daniel, który żył 600 lat przed Nim podaje dokładnie czas Jego przyjścia:

„Gdym ja jeszcze mówił w modlitwie, oto mąż Gabryel, którego widział w widzeniu z początku, prędko lecący, dotknął się mnie czasu ofiary wieczornej.

I nauczył mnie a mówił ze mną i rzekł: Danielu! terazem wyszedł, abych cię nauczył, ażebyś zrozumiał.

Od początku modlitw twoich wyszła mowa, a jam przyszedł oznajmić tobie; boś mąż pożądaną jest: ty tedy obacz mowę a zrozumiej widzenie.

Siedmdziesiąt tygodni ukrócone są na lud twój i na miasto święte twoje, aby się dokonało przestępstwo, a grzech aby wziął koniec, ażeby nieprawość była zgładzona, a przywiedziona sprawiedliwość wieczna i aby się spełniło widzenie i prorocstwo, a był pomazany Święty Świętych.

A tak wiedz a obacz: od wyjścia mowy, aby zaś było zbudowane Jeruzalem, aż do Chrystusa wodza, tygodniów siedem i tygodniów sześćdziesiąt i dwa będą, a znowu będzie zbudowana ulica i mury w ciasności czasów.

A po tygodniów szesćdziesiąt i dwa będzie zabit Chrystus, a nie będzie ludem jego, który się go zaprzy. A miasto i świątynię skazi lud z wodzem, który przyjdzie, a koniec jego spustoszenie, a po skończeniu wojny postanowione spustoszenie.

A zmocni przymierze z mnogimi tydzień jeden: a wpół tygodnia ustanie ofiara i ofiarowanie, i będzie w kościele obrzydłość spustoszenia, i aż

do skończenia i końca będzie trwać spustoszenie.“ (Proroctwo Daniela Rozdz. IX, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27.)

O wielkim kaznodzieji, Janie Chrzcicielu, poprzedzającym Mesjasza mówi Izajasz:

„Głos wołającego na puszczy: Gotujcie drogę Pańską, proste czyńcie na puszczy ścieżki Boga naszego“ (Proroctwo Izajasza Rozd. XL. 3.)

Urodzi się w Bethlehem, skąd nigdy nie oczekiwano Zbawiciela świata: „A ty, Bethlehem, Ephrata! malutkiś jest między tysiącami Judzkimi, z ciebie mi wynijdzie, który będzie panującym w Izraelu, a wyjścia jego od początku, ode dni wieczności.“ (Proroctwo Micheaszowe Rozdział V. 2.)

Jeremjasz i Izajasz zgodnie świadczą, iż porodzi Go Dziewica z rodu Dawidowego:

„Oto dni przychodzą, mówi Pan, a wzbudzę Dawidowi płód sprawiedliwy, a będzie królował król, i mądrym będzie: i będzie czynił sąd i sprawiedliwość na ziemi.

W one dni zbawion będzie Juda, a Izrael bezpiecznie mieszkać będzie: a to jest imię którem go zwać będą: Pan sprawiedliwy nasz. (Proroctwo Jeremiasza Rozdz. XXIII, 5, 6).

„Przetoż da wam sam Pan znamię. Oto, panna pocnie i porodzi syna, i nazowią imię jego Emanuel“. (Proroctwo Izajasza Rozdz. VII, 14).

Obcy Królowie przyniosą mu podarunki, On zawładnie światem na wieki:

„Królowie Tarsys i wyspy przyniosą dary:
Królowie Arabscy i Saba przywiozą upominki.

I będą mu się kłaniać wszyscy Królowie
ziemscy: wszyscy narodowie będą mu służyć“.
(Psalm Dawidowy LXXI. 10, 11).

„I będzie panował od morza aż do morza:
i od rzeki aż do krajów okręgu ziemie.“ (Psalm
Dawidowy LXXI. 8.)

A przyście Jego będzie ciche....

„Znidzie jako deszcz na runo: a jako krople
na ziemię kapiące.“

Będzie niósł przebaczenie...

„Przepuści ubogiemu i niedostatecznemu;
a dusze ubogich zbawi.“ (Psalm Dawidowy
LXXI. 6, 13.)

Będzie Wiekuisty...

„I będzie trwał z słońcem i przed księżycem,
na pokolenie i pokolenie“.
(Psalm Dawidowy LXXI 5).

Rzeź niewiniątek, wymordowanych w poszu-
kiwaniu dziecięcego Zbawiciela widział Jere-
miasz.

„To mówi Pan: Głos na wysokości słyszany
jest narzekania, płaczu i żalości: Rachel płaczą-
cej synów swoich, a nie chcącej przyjąć pociesze-
nia nad nimi, że ich nie masz.“ (Proroctwo Jerem-
iasza XXXI, 15).

Dziecię będzie musiało uciec do Egiptu i zno-
wu powrócić.

„Brzemie Egiptu: Oto Pan wsiedzie na obłok lekki i wnidzie do Egiptu, i poruszą się bałwany Egipskie od oblicza jego, i serce Egipskie zemdleje w nim“ (Proroctwo Izajasza XIX, 1).

Mesjasz na źrebięciu oślice wjedzie do Jeruzalem.

„Raduj się wielce córko Syon! wykrzykaj córko Jeruzalem! Oto król twój przyjdzie tobie sprawiedliwy i zbawiciel, on ubogi, a wsiadający na oślicę i na źrebię, syna oślice.“ (Proroctwo Zacharjasza Rozdz. IX. 9).

Będzie działał niebywale cuda.

„Tedy się otworzą oczy ślepych i uszy głuchych będą otworzone. Tedy wyskoczy chromy jako jeleń, i otworzony będzie język niemych;“... (Proroctwo Izajasza Rozdz. XXXV, 5, 6).

Będzie sprzedany za 30 srebrników i za te pieniądze zakupioną będzie rola garncarza.

„I rzekłem do nich: Jeśli jest rzecz dobra w oczach waszych, przynieście zapłatę moję, a jeśli nie, niechajcież. I odważyli zapłatę moję trzydzieści srebrników.

I rzekł Pan do mnie: Porzuć to do garncarza, piękną zapłatę, którąm jest od nich oszacowan. I wziąłem trzydzieści srebrników i porzuciłem je w domu Pańskim do garncarza.“ (Proroctwo Zacharjasza XI, 12, 13).

Będzie wyszydzony i oplwany, ubiczony i ukoronowany cierniem, na krzyżu napojony żółcią i octem, wylosowaną będzie suknia Jego i przebite będą ręce i nogi.

„A jam jest robak a nie człowiek: pośmiewisko ludzkie i wzgarda pospólstwa. Wszyscy którzy mnie widzieli, naśmiewali się ze mnie: mówili usta i kiwali głową:

Nadzieję miał w Panu, niechaj go wyrwie: niechaj zbawi, ponieważ chce go.

Wylanym jest jako woda: i rozsypały się wszystkie kości moje: stało się serce moje jako wosk topniejący w pośród żywota mego.

Wyschła jako skorupa siła moja, a język mój przysechł do podniebienia mego: i obróciłeś mnie w proch śmierci.

Albowiem obścąpili mnie psi mnodzy: Zbór złośników obległ mnie: przebodli ręce moje i nogi moje: policzyli wszystkie kości moje. A oni przypatrywali się i patrzyli na mnie, rozdzielili sobie szaty moje a o suknię moją los miotali. (Psalm Dawidowy XXI, 7, 8, 9, 15, 16, 17, 18, 19.)

Ciało Jego nie zniszczeje.

„Albowiem nie zostawisz dusze mojej w piekle: ani dasz świętemu twemu oglądać skażenia.“ (Psalm Dawidowy XV, 10).

Powróci do Nieba.

„Grajcie Bogu, który wstąpił na niebo nad nieby, na wschód słońca: oto da głosowi swemu głos mocy“. (Psalm Dawidowy LXVII, 33, 34.)

Co więcej, Prorocy głosili, że Zbawiciel będzie Bogiem samym.

„Rzeczcie bojaźliwym: Zmocnijcie się a nie bójcie się: oto Bóg wasz przywiedzie pomstę odpłacenia: Bóg sam przyjdzie i zbawi was.“ (Proroctwo Izajaszowe Rozdz. XXXV, 4).

Nauka Jego obejmie świat cały, wszystkie narody, ofiary Starego Zakonu ustaną a miejsce ich zajmie Ofiara nowa, czysta.

„Pójdą też wiele ludzi, i rzekną: Chódźcie, a wstąpimy na górę Pańską i do domu Boga Jakóbowego, a nauczy nas dróg swoich, i będziemy chodzić ścieżkami jego; bo z Syonu wynijdzie zakon, a słowo Pańskie z Jeruzalem.“ (Proroctwo Izajasza II. 3).

„Kto jest między wami, któryby zamykał wrota, i zapalał na ołtarzu moim darmo? Nie mam chęci do was, mówi Pan zastępów, i daru nie przyjmę z ręki waszej. Bo od wschodu słońca aż do zachodu wielkie jest imię moje między narody, a na każdym miejscu poświęcają i ofiarują imieniowi memu ofiarę czystą; bo wielkie jest imię moje między narody, mówi Pan zastępów.“ (Proroctwo Malachiasza I. 10, 11.) Około dwudziestu Proroków kreśli po przez wieki życiorys Zbawiciela a każdy z nich podaje jakiś szczegół, czy to z Jego młodości, czy cudów męskiego wieku, czy też śmierci. Wszystkie te przepowiednie spełniły się na jednej jedynej Osobie na świecie — na Jezusie Chrystusie.

Nie powstały one w żadnym wypadku po Jego śmierci, bo napisano je na setki stuleci przed Jego przyjściem na świat, o czym świadczą

nietylko Ewangelje, lecz żywy naród żydowski, który niezmiennie Proroctwa te przechowuje, jako część swoich Ksiąg świętych.

„Albowiem zakon przez Mojżesza jest dany: łaska i prawda przez Jezusa Chrystusa się stała.“ (Ewangelja św. Jana I. 17.)

Cicha, biała, niezapomniana cela Ojca Jana. Ile w niej było słońca, ile spokoju, ile niewysłowionej słodyczy.

Z żarliwością wielką kładł Ojciec Jan przed oczy moje owe, z Starego Testamentu pochodzące znamiona Mesjaszowe, lecz gdy przeszedł do kart Ewangelji, gdy zaczął opowiadać Żywot, Naukę i Mękę Chrystusową, stał się już tylko ogniem trawiącym i rosą niebiańską zarazem.

Nikt tak jak on, przedtem ani potem, nie umiał do mnie mówić o Panu Jezusie. Jak świadek naoczny opowiadał, wyszukiwał szczegóły na pozór nic nie znaczące, a jednak kryjące w sobie głębie niezbadane.

Od czasu do czasu zaglądał do czarnej, skromnej książeczki, w której teksty łacińskie, greckie i hebrajskie w przykładowej zgodzie widniały wąskimi szeregami i na świadectwo swych słów, cytował słowa Ewangelistów.

Nie taił przedemną wątpliwości innowierców, lub ateistów, nie taił zarzutów, które oni

podnosili przeciw Nauce Kościoła, lecz od razu rozprawiał się z nimi i chciał przygotować mnie już z góry na to, co posłyszę w świecie o tem wszystkim, chciał oprzeć wiarę moją na niezruszonym fundamencie. I dokonał swego.

A były chwile, gdy na skutek nadmiaru wrażeń, które niosły z sobą odkrywane mi przez Ojca Jana głębie, to ogarniała mnie światłość i ukojenie bez końca, to znów rozchylały się otchłanie zwątpień do ostatniej walki z światłością, a opary ich, zdawały się przyciemniać wszystko, co mnie otaczało.

Pojawiały się jednak rzadko i trwały krótko.

Wspomniałem o tem Ojcu Janowi, a ten powiedział:

— Widziałeś kiedy młodzieńca, siedzącego na ławce w ogrodzie, zadumanego nad krasą kwiecia, śmiejącego się ku słońcu? Nagle podchodzi ktoś z tyłu do niego i dłońmi zakrywa mu oczy. Młodzieniec nie wie w pierwszej chwili kto to uczynił, ogarnia go pewien niepokój i próbuje zgadywać.

Lecz wtem, przybysz usuwa dłonie z jego oczu, pochyla się nad nim z miłością i młodzieniec dostrzega, że był to jego własny, dobry, kochający ojciec. Na chwilę przysłonił mu rękoma czar pięknego ogrodu, lecz wróciwszy mu takowy, dodał jeszcze uśmiech miłości ojcowskiej.

Czy wiesz, kto czasem przysłania Ci wzrok duszy, zatopiony w Cuda Boże? Pan Jezus, On sam. Przebitemi rękoma zakrywa na chwilę oczy twoje, lecz po to tylko, by okazać ci większą jeszcze jasność i dodać do niej Swój uśmiech ojcowski, nie mający równego sobie.

„Nolite timere — ego sum“.

„... nosił cię Pan Bóg twój, jako zwykły nosić człowiek ma-luczkiego syna swego, po wszystkiej drodze, którąście chodzili, ażeście przyszli na to miejsce.“

Czarne, zadumane smutnie oczy oderwał mój ojciec od sztalugi portretu, nad którym pracował i natknął na błękitne, załzawione słodkie oczy Ojca Jana, który po raz pierwszy odwiedził go w pracowni.

Ksiądz Jan opowiadał ojcu, że do niego przychodzę, że przygotowuje mnie do chrztu, że pragnie jednak usłyszeć jeszcze w tym względzie zdanie jego.

— Syn mój, był zawsze dla mnie dobrym synem. Sądzę, że chrzest go nie popsuje — rzekł ojciec mój. Mam jeno żal do chłopca, że tę całą sprawę krył przedemną. Był zawsze dotąd otwarty wobec mnie.

— Więc pan się zgadza? — podchwycił rozpromieniony Ojciec Jan.

— Tak, ale pod jednym warunkiem.

Ojciec Jan sposobniał: Proszę...

— Ojciec przygotowuje do chrztu i ochrzci równocześnie mego drugiego syna, bo niepodobna, by bracia byli różnego wyznania.

Nie wytrzymał Ojciec Jan i już przyciskał do serca kochaną głowę mego ojca, całując go następnie serdecznie.

— A może by tak od razu i pan i żona wraz z dziećmi, pospieszyli do stóp Pana Jezusa — napomknął jeszcze Ojciec Jan.

Ojciec mój oparł głowę na rękę, zamyślił się przez chwilę, a potem odpowiedział:

Przyjdziemy, przyjdziemy, powoli. To się jakoś samo zrobi, bo gdy już dzieci nasze to i my. Naturalnie. Ale wiesz, Ojcze, jestem człowiekiem pracy. Pracuję od zarania mego życia. Lubilem być zawsze we wszystkim dokładny. Takiego kroku nie robi się na prędcę. Ja muszę się dobrze przygotować. Żyłem zawsze uczciwie, starałem się — po mojemu sądząc — nie obrażać nigdy Boga, ale trzymałem się z daleka od Niego; zdawało mi się, że Jemu nie zależy na modlitwach ludzkich, że On o to nie dba. Może się myliłem. Nawet napewno się myliłem. Przyjaźniłem się zawsze wyłącznie z chrześcijanami. Jestem i byłem ich, sercem i duszą. Połowa mej rodziny, zresztą, jest już dawno chrześcijańska, żona moja

ma nawet wuja prałata. Więc najpierw moi synowie, a potem powoli ja przyjdę, jak mówisz, do stóp Pana Jezusa. Przecież ja z dziećmi mojami muszę leżeć na jednym cmentarzu...

— Być razem z niemi w Niebie! — to ważniejsze i tego panu życzę, zawołał Ojciec Jan, a na koniec dodał:

Gdym się do pana wybierał, sądziłem, że napotkam na jakieś trudności, że będę musiał perswadować, prosić, a pan daje mi jeszcze drugiego syna. Żądanie ochrzczenia go przypomina mi słowa Zbawiciela, wyrzeczone ongi do świętego Piotra, pierwszego Papieża, który jest krwią z krwi i kością z kości waszej:

„Ciało i krew nie objawiły tobie, lecz Ojciec mój, który jest w Niebiesiech.“

Z woli Bożej, zatem, dajesz mi pan swego drugiego syna, z woli Bożej ofiarujesz pan Zbawicielowi, co masz najdroższego, swoich dwoje dzieci. Nie chcę udawać proroka, ale mówię z serca. Przyrzekam panu, że stanie się tak, jak rzekłeś. Pójdiesz powoli ku Panu Jezusowi, nawrócisz się i ochrzcisz i nie tylko będziesz z dziećmi swemi leżał na jednym cmentarzu, lecz będziesz z niemi razem na wieki cieszył się kiedyś niebieskiem weselem, albowiem „oko ludzkie nie widziało, ani ucho ludzkie nie słyszało, co zgotował Bóg tym, którzy Go miłują“.

Ojciec Jan promieniał, ojciec mój uśmiechał się w jakiejś przedziwnej zadumie a ja, ja stałem

ukryty za wielką, czerwoną portjerą i czułem duże lzy szczęścia, spływające mi po policzkach.

„Jeśli się kto nie odrodzi z wody a z ducha świętego, nie może wniknąć do Królestwa Bożego.“ (Ewang. św. Jana III, 5).

Był to cudny poranek kwietniowy, pełen woni i słońca. W kapliczce, której dziś już niema, bo na jej miejscu stanął w międzyczasie duży kościół, odbyła się ceremonia mego chrztu.

Ojciec Jan w białym ornacie, namaszczony i nieziemski — wydawał mi się Świętym Pańskim, który zstąpił na ten dzień na ziemię.

Asystowało mu dwu księży w białych dalmatykach.

Jeden z nich stoi już przed Bogiem. (Świeć, Panie, nad duszą Jego!).

Lud wypełnił po brzegi małą kapliczkę, a rodzice moi zajęli miejsce w pobliżu ołtarza. Prosił ich o to sam Ojciec Jan.

Dnia tego przywdział ojciec mój, czarny żakiet, którego zresztą nigdy nie używał. Brat siedział obok rodziców, bo ochrzczony miał być dopiero za dni kilka.

Niezapomniana ceremonia chrztu świętego, rozpoczęła się u wrót kościółka, poczem przeprowadzony przed chrzcielnicę, wyrzekłem się szatana i wszystkich spraw jego, i spły-

nęła na mą skroń, z ręki Ojca Jana woda Zbawienia, która wróciła anielską białości dziecięcą duszy mojej. Następnie przed głównym ołtarzem ukląknęłam na klęczniku, wybitym czerwonym pluszem; rozpoczęła się uroczysta Msza święta, w czasie której wygłosił Ojciec Jan płomienne kazanie, zwracając się na przemian to do zebranego ludu, to do mnie.

• Ojciec Jan mówił pięknie.

Prosił, by zaprzestać raz z masowem potępianiem Żydów, z wynoszeniem się ponad nich i odpychaniem ich od siebie. Wskazywał, że raczej trzeba modlić się o ich nawrócenie, przyciągać ich ku Chrystusowi Panu miłością i dobrym przykładem. A co może ta miłość, to okazanie serca, ten dobry przykład dany Żydowi, świadczy młodzieniaszek izraelski, który przyjął chrzest w tej chwili, świadczą rodzice jego, którzy lubo sami jeszcze nieochrzczeni, chętnie przyzwolenie swe dali i drugiego syna swego Panu Jezusowi poświęcili, godząc się na jego chrzest. Musiała ta rodzina — ciągnął dalej Ojciec Jan — żyć wśród chrześcijan dobrych, wśród prawdziwych sług Chrystusowych, którzy ją przykładem swoim pociągnęli i miłością swą ogrzali.

Słyszałem po za sobą westchnienia słuchaczy, rozrzewnienie zdawało się ogarniać zebranych, a mnie zalewała serce taka fala niewymownej słodyczy i szczęścia, że nie wszystko jestem w stanie powtórzyć, co wówczas padło z ust Ojca Jana.

Pamiętam tylko, że mówił wiele o świętym Pawle Apostole i cytował zdania Jego Listów:

„Iżali odrzucił Bóg lud swój? Boże uchowaj! Albowiem i jam jest Izraelczyk z nasienia Abrahama, z pokolenia Benjaminowego.

Nie odrzucił Bóg ludu swego który przejrzał.“

Podkreślał i wyjaśniał Ojciec Jan, że Żydzi nawróceni przynoszą wielki pożytek Kościołowi, bo „jeśli ich przestępstwo jest bogactwem świata, a umniejszenie ich bogactwem poganów, jakoż daleko więcej ich napełnienie?“ „Albowiem jeśli ich odrzucenie jest zjednaniem świata, jakież przyjęcie, jedno żywot z martwych?“

Złotousty zakonnik tłumaczył, że Żydzi są ułamanami gałęziami z pnia Zbawienia, w który wszczepił Bóg ludy pogańskie, że jednak „i oni, jeśli nie będą trwać w niedowiarstwie, będą wszczepieni; bo mocen jest Bóg znowu je wszczepić. Albowiem jeśliś ty jest wycięty z oliwy z przyrodzenia płonnej, a przeciwko przyrodzeniu jesteś wszczepion w dobrą oliwę: jakoż daleko więcej ci, którzy według przyrodzenia będą w swoją oliwę wszczepieni?“

A zatwardziałość Żydów była po to, by poganie ku Bogu nawrócić się mogli, ale gdy to się dokona, to i reszta Żydów wejdzie do owczarni Chrystusowej.

„Albowiem nie chcę, bracia! abyście nie mieli wiedzieć tej tajemnicy (żebyście nie byli sami sobie mądrymi), iż zaślepienie po części przydało się w Izraelu, ażby zupełność pogan weszła.“

„Bo jako i wy niekiedy nie uwierzyliście Bogu, a teraz dostaliście miłosierdzia dla ich niedowiarstwa, tak i ci teraz nie uwierzyli ku waszemu miłosierdziu, aby i oni miłosierdzia dostali.“

Załamał swe śliczne, księżycowe ręce Ojciec Jan, wznosił załzawione błękity oczu ku Niebu i kończył:

„O głębokości bogactw, mądrości i wiadomości Bożej! Jako są nieogarnione sądy jego, i nie-dościgłe drogi Jego!

Bo któż poznał umysł Pański? albo kto był rajcą jego?

Albo kto mu pierwej dał, a będzie mu oddano?

Albowiem z Niego i przezeń i w Nim jest wszystko. Jemu chwała na wieki. Amen“. (List św. Pawła do Rzymian, R. XI, 1, 2, 12, 15, 23, 24, 25, 30, 31, 33, 34, 35, 36.)

Tego dnia po raz pierwszy przystąpiłem do Stołu Pańskiego. Pan Nieba i ziemi pod postacią Chleba wstąpił do serca mego, w on cudny poranek kwietniowy.

„Moc moja i chwała moja Pan, i stał mi się Zbawieniem; Ten Bóg mój i wielbić go będę“...

„Żaden do mnie przyjść nie może, jeśli go Ojciec który mnie powołał, nie pociągnie: a ja go wskrzeszę w ostateczny dzień.“ (Ewang. św. Jana VI.

44). „I nie masz inszego narodu tak wielkiego, któryby miał bogi tak przybliżające się do niego, jako Pan, Bóg nasz“... (Deut IV 7.)

Skromne śniadanie w refektarzu klasztornym, zgromadziło kilku zakonników, rodzinę moją i chrzestnych rodziców. Na ojca chrzestnego dla mnie uprosił był Ojciec Jan staruszką — księcia wielce nabożnego. Czy był to przypadek, czy chciał podkreślić w ten sposób Ojciec Jan, że wie z jakiego wywodzę się rodu? Nie wiem, i nigdy nie pytałem go o to.

W kilka dni później, w prywatnej kaplicy Sióstr Franciszkanek, odbył się chrzest mego brata, podczas którego służyłem do Mszy św. Ojcu Janowi.

Tymczasem zacząłem jeszcze ściślejsze współzycie z kolegami w szkole, bo ostatnia, dzieląca mnie od nich zaporą — padła. Więc przyłączyłem i ja głos mój do szkolnej, chóralnej modlitwy, zacząłem i ja uczęszczać co niedzielę na wspólne egzorty i nabożeństwa. Byłem nad wyraz szczęśliwy. Koledzy moi, z początku z pewną ciekawością przyglądali mi się, gdym zaczął pojawiać się w szkolnym kościele, nie było jednak w tej ciekawości ani źdźbła ironji, czy szyder-

stwa, lecz ciepła, serdeczna życzliwość. Ksiądz katecheta wzięwszy mnie pod rękę, długo spacerował zmną w czasie pauz po korytarzach szkolnych i wypytywał o szczegóły nawrócenia.

Czułem się w obowiązku donieść o tem wszystkim dwu ludziom, którzy pozostali w mojem rodzinnem mieście: Księdzu katechecie i bratu Gabryelowi. Od pierwszego dostałem w odpowiedzi obszernie pismo, w którem zacny kapłan udowodniał, że spotkała mnie nagroda za wyrządzoną mi swego czasu krzywdę przez Tomasza, od drugiego zaś otrzymałem wizerunek świętego Franciszka z Assyżu, z błogosławieństwem na dalszą drogę życia i zapewnieniem, że on, brat Gabryel, kwestarz klasztoru, odmawiając w czasie wędrówek swe obowiązkowe paciorki, będzie zawsze o mnie pamiętał przed Bogiem.

Byłbym niewątpliwie uwiadomił o chrzcie moim także i poczciwą Basię, i niezapomnianego sługę Piotra, lecz oni oboje spoczęli już na cichym cmentarzu mego rodzinnego miasta, mogłem więc tylko pomodlić się za ich dusze w przeświadczeniu, że patrzą na mnie z wyżyn niebieskich i radują się wraz ze mną.

„Iżaż który z książąt albo z Faryzeuszów uwierzył weń? ale ten gmin, który nie umie zakonu, przekłęci są“ (Ewang. św. Jana VII. 48,49)

„Wszakże jednak i z książąt wielu ich weń uwierzyło...“
(Ewang. św. Jana XII. 42).

Jak lew zraniony w serce, ozwał się ojciec mego ojca, w liście do niego pisanym. Nawiązał do tradycji wieków, abstrahując od kwestji religijnych, które były mu zawsze obojętne, wskazywał szereg znieważonych czynem moim przodków, książąt żydowskich, którzy nietylko ongi w Ziemi Świętej, ale i na wygnaniu, stali twardo przy Mojżeszowym Zakonie. Można było na liście dostrzedz ślady łez, gdy mówił o imienniku moim Gabryelu, umęczonym za tenże Zakon w Hiszpanji, mimo, że ród nasz cieszył się tam łaskami królów, mimo, że jeden z przodków naszych, książę Jehuda ibn Ezra, potężny minister króla Alfonsa VII-ego, miał odeń potwierdzony tytuł książęcy (co przez mgły wędrowań, ognie stosów i czarne bramy więzień, nie da się dziś dokumentami udowodnić, a żyje tylko w tradycji podawanej z pokolenia na pokolenie).

Takiego syna — pisał dziadek — wyrzuciłbym na zawsze z mego serca. Ojciec mój, czytając ten list sposepniał, lecz następnie bez słowa chwycił mnie w objęcia, jakby chciał zaznaczyć, że ani myśli z serca swego mnie wyrzucić. Odpisał też dziadkowi list, którego treści nie znam, prosząc, bym i ja od siebie do niego napisał.

Z radością wielką chwyciłem za pióro, by po raz pierwszy wystąpić w obronie mej wiary.

Wszystkie nauki Ojca Jana znalazły w tym liście swój oddźwięk i zastosowanie.

Nie wyrzekłem się Zakonu Mojżeszowego — pisałem — za który umęczony został ongi przodek mój Gabryel w Hiszpanji, lecz opierając się na nim, jako na fundamencie, poznawszy ducha Proroków naszych, przekonałem się, że Mesjasz na którego bracia moi czekają jeszcze, przyszedł już, że te Proroctwa sprawdziły się na osobie Jezusa z Nazaret, a dla mnie Chrystusa, Syna Bóże go i gotów jestem, jak przodek mój Gabryel, oddać życie za Zakon Mojżeszowy i Nowy Zakon Pana mego, Jezusa Chrystusa, który uczył, że ani jedna litera tego Zakonu nie zmieni się ani zginie.

Po pewnym czasie otrzymałem upragnioną odpowiedź, że dziadek nie podziela wprawdzie zapatrywań moich, lecz rozumiał kierujące mną pobudki, że ma mnie za wytłómaczonego, że nie ma do mnie żalu. Głos serca, przemógł głos drugi, równie potężny, głos rasy.

Za to ojciec mej matki, ów słodki, uroczysty, nabożny dziadzio, nadesłał mi list pogodny, jak dzień majowy, bez wszelkich goryczy i wymówek. Twierdził, jak niegdyś w ogrodzie mego dzieciństwa, że każda wiara prowadzi ludzi do Boga, prosił, abym nie ustawał w modlitwie, obiecywał za mnie nadal się modlić, i polecał siebie modlitwom moim. Wspomniał o bliskim swym krewnym, kapłanie i prałacie katolickim, z którym łączą go zawsze węzły miłości i przyjaźni, wspominał o wielu chrześcijańskich członkach rodziny

naszej, z którymi nigdy stosunków nie zrywał, mimo różnicy wyznania. Na koniec zaprosił mnie do siebie, a zaproszenie to było tak szczere, że uzyskawszy zezwolenie rodziców, coprędzej zeń skorzystałem.

Nie wiele zmienił się i postarzał dziadunio i jego małżonka, gdy po tylu latach jako piętnastoletni młodzieniec, padłem znów w ich objęcia. Było to w porze popołudniowej, w cudny dzień lipcowy. W mieszkanku rodziców mej matki unosił się jeszcze zapach kawy, którą babunia po mistrzowsku przyrządzała, tykał stary zegar w kącie stojący, a meble mahoniowe uśmiechały się do mnie czerwonym pluszem, pozbawione pokrowców, na uroczystość mego przyjazdu.

Po paru minutach była już i kawa, i owe słynne ciasteczka babuni. Rozglądałem się ciekawie po małych, schludnych pokoikach, i nagle padł wzrok mój na portret starca o dobrodusznym uśmiechu, w czarnej, aksamitnej czapeczce na głowie. Dziadzio mnie objaśnił:

— To sir Montefiore, lord angielski a przytem zacny i pobożny Żyd, który cały majątek poświęcił na rzecz cierpiących współbraci. Królowa angielska czciła w nim wielkiego człowieka i przyjmowała go często na swym dworze.

— Ta skarbonka? Objął mnie dalej dziadzio, widząc, że wzrok mój padł na nią dla jej dziwnego kształtu — sporządzona jest z oliwnego

drzewa w Ziemi Świętej. Składam przy każdej okazji ofiary do niej, na wykupienie terenów w Palestynie, na których osiedlają się biedni Żydzi, którzy pragną powrócić do swej starej ojczyzny.

Przypomniały mi się w tej chwili rozmowy Izydora z bratem Gabryelem, a że za oknem kwitły duże słoneczniki, przypomniała mi się i gwiazda betlejemska, którą sporządził sługa Piotr, i trzej Królowie ze Wschodu.

Rzuciłem tedy i ja ofiarę do skarbonki jerozolimskiej, a uradowany dziadunio wręczył mi za to piękną szkatułkę z oliwnego drzewa, nadesłaną z Ziemi Świętej, a na szkatułce tej widniał napis „Jeruzalem“ hebrajskimi i łacińskimi literami cięty.

Odtąd w tej szkatułce przechowuję mój różaniec i nigdy z nią się nie rozstaje.

Babunia zaś, słysząc o Ziemi świętej, westchnęła kilka razy, a potem nieśmiało oświadczyła, iż byłoby pragnieniem jej serca udać się tam raz przed zgonem, i pomodlić na grobach, w których spoczywają świątobliwy Rabi Mair i Rabi Johanana. Tam — mówiła babunia — mogą sobie niewiasty izraelskie wiele ubłagać. To też zbliżają się do tych grobów nie inaczej, jak z świecami w rękę, poczem zgasiwszy je, piszą ich sadzą imiona swe i prośby na papierowych karteczkach, przytwierdzając je przy ścianach grobów.

Wiele mogą przed Bogiem dusze Rabi'ego Mair'a i Rabi'ego Johanana. Przy tej sposobności

wspomniałem i ja o świętszym jeszcze Grobie, znajdującym się w Ziemi Świętej, o Grobie Zbawiciela świata, który wprawdzie po zmartwychwstaniu Jego został pusty, lecz czci go świat chrześcijański, jako drogą pamiątkę.

Opowiadałem, że nad Grobem tym wznosi się wspaniały kościół i że pragnąłbym raz w życiu tam się pomodlić.

Wspomniałem i o starem drzewie oliwnem, pod którym niegdyś modlił się Pan Jezus przed Męką Swoją, a które to drzewo dotąd zachowane przetrwało cudownie do naszych dni, i o pałacu Pilata, gdzie Chrystus Pan był sądzony, o drodze ku Golgocie, gdzie był ukrzyżowany i o onem straszliwym wzgórzu śmierci.

Słuchali z uwagą dziadkowie moi, kiwając głowami siwemi, i niczemu nie przecząc.

Nazajutrz z rana wyszliśmy obaj z dziaduniem na poranne nabożeństwo. Jak zawsze w długim, czarnym żakiecie i białej kamizelce, w cylindrze lśniącym na głowie szedł ze mną dziadzio ulicami miasta, aż zdążyliśmy pod bramę parafjalnego kościoła. Dziadunio ucałował mnie w czoło, ja pocałowałem go w rękę i rozstaliśmy się. On udał się do synagogi, by otuliwszy się w swą białą chustę modlitewną i nałożywszy skrzyneczki Przykazań, wzywać Boga Izraelskiego, ja zaś w kościele parafjalnym, słuchając Mszy św., przyjąłem Jego Ciało i Krew wedle Nauki Nowego Testamentu.

A Bóg Abrahama, Izaaka i Jakóba błogosławił z wyżyn Swoich zarówno jemu, jak mnie.

Czy to była świetlana postać Ojca Jana, która wskazała mi nieporównaną głębię i piękno kapłaństwa Chrystusowego, czy był to wogóle ów pęd, pełnej Boga duszy młodzieńczej, znajdującej w tem kapłaństwie ziszczenie swych tęsknot, nie wiem. Dość, że postanowiłem zostać księdzem. Początkowo marzyłem o zacisznym klasztorze i franciszkańskim habicie, bo wspomnienia tej słodkiej samotności i tej sukni błogosławionej związane były z zaraniem dzieciństwa, z pierwszym wzlotem myśli ku umęczonemu Zbawicielowi świata. Jednak konieczność stałej rozłąki z rodziną, niemożność odwiedzania częstego rodziców, kazały mi raczej myśleć o kapłaństwie świeckim. Matka zgadzała się na wszystko. Ojciec, który o klasztorze słyszeć nie chciał, zezwalał, aczkolwiek z pewnym żalem, bym został księdzem świeckim. To też zdawszy egzamin dojrzałości w szkole realnej, i uzupełniwszy takowy egzaminem z języka łacińskiego i greckiego, stanąłem u celu marzeń: Wstąpiłem do Seminarjum Duchownego; wybrałem je sobie na prowincji w pobliskim mieście, dokąd też bezzwłocznie się udałem. Okazało się jednak już po kilku tygodniach, że „duch był ochotny, ale ciało mdłe“. W zbyt szybkim tempie prowadzona nauka łaciny i greki,

obejmująca ośmioletni materiał, który ja przetrawiać musiałem w ciągu kilku miesięcy, rozłąka z domem rodzinnym, którego dotąd nigdy nie opuściłem, i surowość życia duchownego, wywołały te same objawy, które niegdyś w ową pamiętną noc okazały się jako brak tchu, bicie serca, dreszcze i uczucie lęku. Lekarz zakładowy orzekł, że muszę wypocząć, muszę przerwać studia. Ojciec wysłał mnie w towarzystwie matki na południe pod niebo pełne słońca, nad morze, pełne płynnego złota. Tam tłumaczyli mi lekarze, że jeszcze dwa do trzech lat spokojnego, wygodnego życia mi potrzeba, że temsamem twarde praktyki kleryka i pobyt w Seminarjum należy odłożyć na później. Z żalem musiałem się pogodzić z tą myślą i wróciwszy do domu, zapisałem się na wydział prawniczy z tem jednak wewnętrznym zastrzeżeniem, że gdy tylko stan zdrowia pozwoli, wrócę do Seminarjum. Nim jednak to stać się miało, przeżyłem jeszcze wiele nieoczekiwanych a przedziwnych przygód.

Niespełna rok jeden po chrzcie moim i brata, idąc za głosem serca i przykładem synów, przyjęła chrzest matka moja, w tejże samej, co brat mój, kapliczce Sióstr Franciszkanek, z rąk Ojca Jana. Przy obrzędzie chrztu jej, służyliśmy do Mszy św. obaj z bratem, poczem złączyły się dusze nasze u Stołu Pańskiego.

Nie zapomnę nigdy tej chwili, gdy po raz pierwszy matka moja, brat i ja równocześnie

z rąk ukochanego kapłana otrzymaliśmy Chleb Anielski, Komunię świętą.

Ojciec dopiero w jakiś czas później dowiedział się o tem, i czynił matce wymówki, że w tym wypadku postąpiła wobec niego skrycie i nieufnie.

— Skąd mogłaś wiedzieć, że i ja nie byłbym z tobą razem chrztu przyjął? Boli mnie samotność moja.

Matka zaczęła się tłumaczyć, lecz ojciec miał żal do niej mimo to, i żadnych wyjaśnień uznać nie chciał.

„... wiecie bowiem dusze przychodniów, gdyżście i sami przychodniami byli w ziemi Egipskiej“. (Exod XXIII, 9).

Gdy po raz pierwszy zobaczyłem żonę moją Marję, jako wówczas czternastoletnią panienkę, a ja o cztery lata od niej starszy, rozpoczynałem zaledwie naukę prawa, zakochałem się z miejsca. Nie omieszkałem też poszukać okazji, by zostać jej przedstawionym. Nimb dziecięco-dziewiczego wdzięku, który ją otaczał, podziałał na mnie przemożnie. Nie uszło to bacznemu oku mej matki, która z wielką odniosła się do dziewczęcia życzliwością, napotkało natomiast na nieprzejednany opór ojca, który uważał rzecz całą za przedwczesną, mogącą mi być zawadą w dal-

szej nauce i pracy nad sobą, ponadto nie tań jeszcze innych, szczególnych w tej kwestji zapatrywań.

— Słuchaj chłopcze — ozwał się pewnego rana ojciec mój, widzę, że przybrałeś sobie do głowy panienkę, bardzo zresztą miłą, że zaprzęta ona twój umysł, a ponieważ za młody jesteś, by już dziś módz marzenia swe urzeczywistnić, przeto upominam cię, i proszę jako ojciec, byś na razie starał się opanować pod tym względem i odczekać stosowniejszej chwili, gdy ukończywszy uniwersytet, będziesz w możności stworzyć sobie dom własny i utrzymać rodzinę.

Próbowałem przedstawić ojcu, że jestem tego samego zdania, że jednak przez tych kilka lat nauki uniwersyteckiej, możemy z Marją korespondować, czasami się widywać...

— Jaknajostrzej zakazuję! — przerwał ojciec tonem nie znoszącym oporu. Umysł młodzieńca, piszącego codziennie łokciowe listy miłosne i trawionego tęsknotą, nie jest podatny do poważnej pracy naukowej.

Ponadto, dodał, nie chcę, byś nie był co do tego poinformowany, że całym sercem życzę sobie w przyszłości synowej, która będzie tego samego pochodzenia, co my.

Jesteś dobrym, wierzącym katolikiem, cieszy mnie to. Dobrze jest mieć ona głęboką wiarę, jaką ty posiadasz. Może i ja byłbym szczęśliwszy, gdybym był w niej wychowany. Ale pamiętaj, że jest wiele takich osób młodych na świecie, które

jak ty żydowskiego pochodzenia, przyjęły wiarę chrześcijańską, a wiele już w niej się narodziło. Z pośród tych dziewczeczek szukaj sobie w przyszłości żony.

Czułem, że rośnie we mnie uczucie buntu przeciw woli ojcowskiej, której zwykłem dotąd zawsze ulegać, lecz nie odważyłem się ozwać ni słowem.

— A wiesz, chłopcze, co mną kieruje, gdy na drogę życia taką ci daję naukę? Oto doświadczenie, które przynosi obycie z światem i ludźmi, a którego ty dziś jeszcze mieć nie możesz, boś za młody.

Wiedz, że najlepsza żona, innego jak ty pochodzenia, w chwili rozgoryczenia, lub złości, rzuci ci w oczy to jedno krótkie, a w oczach jej poniżające słowo: Żydzie!

Chciałem oponować, tłumaczyć, że Marja nigdy tego nie uczyni, że ja zresztą zaliczam się całym sercem do narodu, który mnie otacza....

Lecz kochany, surowy ojciec nie dopuścił mnie do głosu.

— Pamiętaj, mówił, że otaczający nas ludzie wychowani są wobec Żydów w poczuciu wyższości rasowej, zupełnie zresztą nieuzasadnionej, bo gdy my śpiewaliśmy psalmy Jedynemu Bogu, gdy znaliśmy sztukę czytania i pisania, matematykę, astronomję, geometrję, przodkowie ich jeszcze dzicy, uganiaли półnago po lasach i górach, karmiąc się surowym mięsem niedźwiedzi lub zabijając wzajemnie.

To poczucie wyższości wszczępione im bywa od dziecka, które straszy się Żydem, jak upiorem.

Słyszałem nieraz, gdy mówiono o kimś: „Co to za porządny człowiek, szkoda tylko że Żyd“.

Tak synu. Tak wygląda życie, którego nie znasz. Oczywiście, że Żydzi, rozproszeni po świecie przez całe wieki średnie, gnębieni, paleni na stosach, stanowiący własność osobistą panujących, którzy wyciskali z nich olbrzymie podatki, dla których umożliwienia zezwalali Żydom na trudnienie się lichwą pieniężną, mało mówię zezwalali, popychali ich do niej, zamykając im drogę do rzemiosł, nauki i tym podobnych zajęć uczciwych i cisnąc ich w ghektach, skąd gdy wychodzili, musieli zarzucać na ramiona żółtą chustę dla odróżnienia od reszty ludności, podupaść musieli. To wszystko nie poszło w las. Żyd zaczął się w sobie, stał się podejrzliwy, nieufny, bojaźliwy — dla otoczenia śmieszny, a może i groźny.

Ty czujesz się, synu częstką narodu, wśród którego urosłeś i żyjesz. Nie bronię ci tego, bądź czem chcesz, bądź temu narodowi użytecznym i dziel jego dolę i niedolę. Widziałeś zresztą, że postępuję zawsze tak samo. Ale pamiętaj, że przyjdzie czas, gdy wejdiesz w życie jako człowiek dorosły, gdy zrozumiesz dzisiejsze moje przestrogi. Zechcesz, na przykład, ubiegać się o jakieś stanowisko, o które starać się będą nawet mniej od ciebie ukwalifikowani, to wystar-

czy, gdy przeciwnik rzuci tylko jako ostatni atut o tobie: „On jest pochodzenia żydowskiego!”

Twój kontrkandydat przejdzie, choćbyś przewyższał go o całe niebo. Tak i w małżeństwie. Póki będzie zgoda, nie usłyszysz od żony złego słowa, gdy jej jednak w czemkolwiek nie ustąpisz, wygra przeciw tobie bolesną kartę, podniesie dumnie głowę i powie, że tak możesz postępować z równą sobie Żydówką, a nie z nią.

Dlatego niektórzy ludzie naszego pokroju, wogóle się nie żenią. Znam pewnego pana z bardzo znakomitej, żydowskiej rodziny, który przyjął chrzest z przekonania w Rzymie, z rąk jednego z Kardynałów. W całym tego słowa znaczeniu piękny mężczyzna, inteligentny i zamożny. Gdy pytałem go czemu się dotąd nie ożenił, odparł:

— Z tytułu mego pochodzenia i stanowiska zaliczałem się między moimi do pierwszych i nie było kobiety, któraby odmówiła mi swej ręki, gdybym o nią poprosił.

Z tego samego tytułu, jako chrześcijanin, żądać musiałbym ręki osoby równej sobie, a zatem chyba tylko panny z sfer arystokratycznych. Taka mnie nie zechce, a z niższych sfer żony ja znowu bym nie pragnął, bo jestem pewien, że nawet taka sądziłaby, że popełniła mezalians, a szczęścia daćby mi nie mogła, bo niebyłoby zrozumienia wzajemnego między nami. Pozostanę zatem takim jakim jestem: Wszędzie mile widzianym samotnikiem...

Czułem, jak krew falą nabiega mi do głowy, serce moje, chore serce, jak to niegdyś, gdy jako uczeń stanąłem niewinnie posądzony przed kolegum profesorów w mieście rodzinnem, zaczęło bić na alarm, na trwogę, która przeszczipiona z piersi ojca wsączała się w moją, i zacząłem rozumieć tę tęsknotę exodu do krajów dalekich, na Wschód z kąd przysli trzej Królowie, gdzieś daleko, przed czemś wrogiem i nieznanem.

A ojciec kończył:

— Przysięgnij mi, synu, jako chrześcijanin — a wiem, że nim jesteś na prawdę — że dopóki nie ukończysz nauk, nie będziesz się starał ani pisemnie ani osobiście nawiązywać kontaktu z tą panienką. Jeśli to od Boga przeznaczone, samo przyjdzie.

Tu ojciec wpatrzył się we mnie oczyma, w których nieugięta wola, a zarazem błagalna miłość ojcowska, przebijała się z taką mocą, że nie mogłem się oprzeć i przysięgłem.

Staniając się poszedłem do mego pokoju i ukląkszy na klęczniku, pogrążyłem się w modlitwie.

Gdy po pewnym czasie podszedłem do biurka, by jak zwykle w takich chwilach zajrzeć do Pisma świętego, które podarował mi Ojciec Jan, otworzywszy je, przypadkowo odczytałem niezapomniane słowa, jakby przed chwilą z ust ojca mego wyjęte:

„Połóż rękę pod biodrę moją,

Abych cię poprzysiągł przez Pana, Boga nieba i ziemi, żebyś nie brał żony synowi memu z córek Chananejskich, między którymi mieszkałam: Ale żebyś do ziemi mojej i do rodziny mojej jechał i z tamtąd wziął żonę synowi memu Izaakowi". (Gen. XXIV 2, 3, 4).

Takimi słowy nie ozwał się już drogi ojciec mój do mnie nigdy.

Było to po raz pierwszy i ostatni.

„... Wyznam cię Ojciec, Panie nieba i ziemi, iżżeś to zakrył od mądrych i rozumnych, a objawiłeś to małym. Tak Ojciec: iż się tak upodobało przed tobą.“ (Ewang. św. Łukasza r. X. 21).

Od dłuższego czasu zachodziła do nas siostra Józefa, mego rówieśnika, który w międzyczasie, po egzaminie dojrzałości wyjechał na studia politechniczne, blada blondyna, o niebieskich oczach, wycieńczona i chora na płuca.

Pamiętam, że pierwszą jej wstrząsła co chwila suchy kaszel, a lekarze nie mogli jej pomóc.

Pracowała u jakiejś krawczyny, czy modniarki, na chleb codzienny. I nie wiem już, czy matka moja skierowała myśli opuszczonej, chorej sieroty ku Chrystusowi Panu, czy też stało się to w inny sposób, pomnę tylko, że pewnego dnia przyszła do nas Rachel, takie było jej imię,

rozpromieniona i szczęśliwa z wiadomością, że i ona jest już chrześcijanką, a choć w niczem nie zmieniła trybu życia, choć pracuje dalej ciężko na kawałek chleba, znalazła zadowolenie wewnętrzne i pogodę ducha, a nawet co znamiennejsze — zdrowie. Rachel zapewniała nas, że od kiedy po raz pierwszy przyjęła Pana Jezusa pod postacią chleba, uczuła się zdrowszą, jakgdyby uleczoną. Nawet poczciwy Ojciec Jan słuchał tych wynurzeń z rezerwą, biorąc pod uwagę gorliwość religijną i możliwość egzaltacji neofitki.

Lecz przekonałem się później, że nie było to nic podobnego, lecz typowy wypadek cudownego uzdrowienia. Rachel codzień niemal przystępowała do Stołu Pańskiego i stan zdrowia jej nie tylko się polepszył, ale nabrała wyglądu osoby nawskróś zdrowej, gdy my wiedzieliśmy o tem niezbitcie, że od lat była suchotnicą.

W chwili nawrócenia i cudownego uleczenia, liczyła nie więcej jak dwadzieściadwa lat.

Rachel żyje do dziś czerstwa i zdrowa. Jest żoną ludowego nauczyciela, któremu dała kilkoro pięknych dzieci. Są z sobą nader szczęśliwi.

„... Zaprawdę, zaprawdę wam powadam: Jeśliście nie jedli ciała Syna człowieczego i nie pili krwi jego, nie będziecie mieć żywota w sobie.

Kto pożywa ciało mego i pije moją krew, ma żywot wieczny, a Ja go wskrzeszę w ostatni dzień.

Albowiem ciało moje prawdziwie jest pokarm, a krew moja prawdziwie jest napój.

Kto pożywa mego ciała a pije moją krew, we mnie mieszka, a Ja w nim.

„Ten jest chleb, który z nieba zstąpił. Nie jako ojcowie wasi jedli mannę i pomarli. Kto pożywa tego chleba żyć będzie na wieki“ (Ewang. św. Jana VI 54, 55, 56, 57, 59.)

„A oto niewiasta, która miała ducha niemocy przez ośmnaście lat, a była skurczona i nie mogła żadną miarą w górę spojrzeć.

Którą ujrzawszy Jezus, przyzwał ją do siebie i rzekł jej: Niewiasto! wolną uczyniona jesteś od niemocy twojej.

I włożył na nią ręce: a natychmiast podniosła się i chwaliła Boga“. (Ewang. Św. Łukasza R. XIII. 11, 12, 13.)

Niepokój ojca mego wzrastał. Coraz częściej, przyszedłszy do domu, uskarżał się na konkurencyjną pracownię kolegi, który ubiegł go w sposobie wykonywania jego artystycznego rzemiosła, a ojcu memu, który ten sam system chciał u siebie zaprowadzić, nie wypadało już być naśladowcą.

Musiał więc znów przenieść się gdzieindziej, uciekać, uciekać do innego, wielkiego miasta w przeciwległej stronie kraju, gdzie powie nowe słowo w swoim zawodzie, i znajdzie zadowolenie i uznanie.

Wszystko sprzedał, wszystko zlikwidował, i cały swój bardzo znaczny majątek, wpakował

w urządzenie niebywale luksusowej pracowni w owym nowem mieście, do którego wnet przenieśliśmy się. Ojciec obiecywał sobie już w pierwszych kilku latach wypracować włożony kapitał: zaczął istotnie z dużem powodzeniem. Cóż, kiedy człowiek myśli a Pan Bóg kreśli. Przeliczył się pocziwy, kochany ojciec mój. I nie doczekał — w ciągłej gonitwie, w ciągłym lęku i niepokoju — owego rozkosznego folwarczku, owego kawałka ziemi, do której tęsknił wprost atawistycznie. Umarł, umarł młodo, bo zaledwie w czterdziestymśiądmym roku życia, pozostawiając mnie słuchaczem szóstego semestru prawa, a brata uczniem gimnazjalnym.

„Rozproszy cię Pan między wszystkie narody od końca ziemi aż do granic jej...

Między narody też onymi nie uspokoisz się, ani będzie miała odpoczynku stopa nogi twojej; dać tam bowiem Pan serce lękliwe i oczy ustające i duszę żalością utrapioną.

I będzie żywot twój, jakoby wiszący przed tobą; będziesz się bał w nocy i we dnie, a nie będziesz wierzył żywotowi twemu.

Po ranu będziesz mówił: Kto mi da wieczór? a w wieczór: Kto mi da zaranie? dla strwożenia serca twego, którem się strachać będziesz i dla tego, co widzieć będziesz oczyma twemi“. (Deut XXVIII 64, 65, 66, 67.)

Każdy człowiek przeżywa na ziemi swój raj biblijny, z którego zakosztowawszy z drzewa za-

kazanego, zostaje wygnany, odbywa wędrówkę po pustyni życia, tęskni za Ziemią Obiecaną, za Odkupieniem, wreszcie zbliża się ku swojej Golgocie, po której uśmiecha mu się Zmartwychwstanie.

Gdy Józef, syn Jakóbów, wprowadził ojca swego przed oblicze Faraona egipskiego i tenże zapytał starca „wiele jest dni lat wieku twego“? odpowiedział: „Dni pielgrzymowania mego jest sto i trzydzieści lat, krótkie a złe: i nie doszły aż do dni ojców moich, których pielgrzymowali.“ (Gen. XLVII. 8, 9) Cóż miał o sobie powiedzieć ojciec mój, gdy mając dopiero czterdzieściosiem lat, powalony został na łożo boleści, z którego nie danem mu było już się podźwignąć.

Niepozorne zaziębnienie, influenza, która spowodowała następnie zapalenie worka sercowego, stała się przyczyną jego śmierci.

Nie zapomnę nigdy, jak wyszedłszy od lekarza z poleceniem bezzwłocznego położenia się do łóżka, ojciec mój raz ostatni udał się do swej pracowni. Wydał dyspozycje, przeszedł wszystkie pokoje, rozglądając się po nich, jak gdyby chciał je zapamiętać na zawsze, a to niesłychanie szybko, nerwowo, niespokojnie. Wreszcie przystanął w hali oszklonej, podumał chwilę, chciał coś jeszcze zadysponować, lecz machnął tylko ręką i poszedł do domu.

Choroba trwała miesiąc i przechodziła różne stadia. Zdawało się chwilami, że stan zdrowia oj-

ca się polepsza, ale były to tylko przebłyски złudne. Lekarze nie odbierali, ale też nie rokowali nadziei.

Mój surowy, gwałtownego usposobienia ojciec, zmienił się w czasie swej choroby do niepoznania. Jakby nagrodzić chciał matce długie lata ich niezbyt szczęśliwego pożycia, stał się w tym czasie dla niej samą łagodnością i dobrocią. Tak samo wobec mnie i brata.

Pewnego dnia, było to jakoś w połowie trwania choroby, poprosił ojciec, by matka, która noc i dzień go pielęgnowała, udała się nieco na przechadzkę, ja zaś miałem pozostać przy nim.

Gdy zostaliśmy sami, odezwał się z nagłą ojciec mój:

— Przykro mi w tak młodym wieku umierać, ale cóż robić. — Czarne djamenty ócz jego zaparły się łzami...

— Ty, synu, jako najstarszy, obejmiesz berło w domu. Bądź rozsądny, dobry i sprawiedliwy. Pamiętaj o matce i bracie. Jakiegokolwiek było moje pożycie małżeńskie z nią, to jednak była dla was nie matką, lecz aniołem. Takich matek, nie ma wiele na świecie. Bądź zawsze w jej bliskości i dbaj o nią w mojem zastępstwie. Bratu, broń Boże, żadnej krzywdy nie robić. To jeszcze dziecko. On nawet nie zdaje sobie z tego sprawy, że umieram. —

Walczyłem z sobą, aby nie wybuchnąć łkaniem, i tłómaczyłem ojcu, że jeszcze wszystko się

zmieni na dobre, że lepiej wygląda, że wyzdrowieje.

— Słuchaj, synu, przerwał mi ojciec. Przechodzę do najważniejszej sprawy. Żyliśmy razem na ziemi, leżmyż w wspólnym grobie. A jeśli tak jest, jak wierzyć trzeba, nie rozłączajmy się i w przyszłym życiu. Zawołasz mi księdza...

Nie mogłem pohamować łez.

— Tak, zawołasz mi kapłana rozsądnego i świętego, jakim był nasz kochany Ojciec Jan. Szkoda, że go tu nie ma. To musi być duchowny, który zda sobie sprawę z tego, iż ma przygotować na drogę wieczności człowieka, który już nie ma wiele czasu do słuchania długich nauk, bo wkrótce — tam — przekona się o wszystkim naocznie. Rozumiesz... —

W tej chwili wszedł stryj Jakób. Przyjechał był przed kilkoma dniami, by ojca w pracowni zastąpić i właśnie wracał stamtąd. Począł mu przekładać, by wypędził lekarzy, ręczył, że skoro zastosuje się do jego trybu życia, odzyska zdrowie:

— Wyrzecz się mięsa, poprzestań na owocach i jarzynie, i módl się ze mną, a zapewniam cię, że wyzdrowiejesz.

Ojciec mój, w jakiejś bolesnej zadumie kiwał z niedowierzaniem głową, a stryj narzucił tymczasem swą chustę modlitewną, przypasał skrzynki Przykazań, i jął żarliwie nad ojcem się modlić z dużej, hebrajskiej księgi.

Ale ojciec poprosił go, by przestał i ledwie dosłyszalny szept wybiegł z jego ust:

— Ja całe życie szedłem inną drogą, nie przerażaj mnie, ja już z mojami dziećmi, inne modlitwy...

I głuche łkanie wstrząsało jego zbolałą pierś.

„A gdy szukać będziesz tam Pana, Boga twego, najdziesz go. Jeśli go jednym sercem szukać będziesz i wszystkim utrapieniem dusze twojej.

„Gdy cię najdą wszystkie te rzeczy, które są przypowiadziane ostatniego czasu, nawrócisz się do Pana, Boga twego, i będziesz słuchał głosu jego.“ (Deut IV, 29, 30).

Mniejwięcej w tym samym czasie, umierała matka ojca, pogodnie i bez cierpień. Rzesze ubogich dopytywały się codzień o jej zdrowie, i modliły się za nią. Ojciec aż do śmierci swej, nie dowiedział się o jej zgonie. Zbyt ją kochał, byśmy mogli mu o tem powiedzieć. Za to, gdy dziadek odwiedził go z resztą rodziny, zauważył mój ojciec, że wszyscy są czarno ubrani, i z lękiem zaczął wypytywać o zdrowie swej matki. Uspokojono go, że to tylko czarny strój wizytowy, i że babce już znacznie lepiej. Uwierzył, a krewni nie skłamali, bo było jej już chyba bardzo dobrze na łonie Abrahamowem. Każdemu stanie się wedle wiary jego, a babcia nigdy w swoją nie zwątpiła.

Kilka krótkich konferencji odbył z ojcem moim, przywołany przezemnie kapłan, poczem ochrzcił go w gronie najbliższych. Rodzicami chrzestnymi byli starzy przyjaciele ojca. W serdecznych słowach, z twarzą rozjaśnioną niezmiernym blaskiem, dziękował ojciec mój księdzu. Długo ściskali sobie ręce. Wreszcie ojciec rzekł:

— Raz jeszcze dziękuję za łaskę i dobrodziejstwo. Teraz wiem, że już z dziećmi mojemu na wieki i tu i tam...

Łzy zatamowały mu mowę.

Gdy wzruszonego księdza odprowadzałem do drzwi, szepnął mi tenże na pożegnanie:

— Tam leży święty. Woda Chrztu zmyła zeń wszystkie dotychczasowe grzechy. Czysty jak dziecko stanie przed Bogiem, i będzie modlił się za wami.

Po chrzcie stał się ojciec mój cichszy jeszcze i łagodniejszy. Miał dla nas tylko smutny uśmiech zachodzącego słońca, pocałunki i pieszczoty.

Prosił też, by dużo mu mówić i czytać o Bogu.

Widziałem, że pojęcie Trójcy świętej, Boga-Ojca, Syna i Ducha świętego, sprawia mu trochę zakłopotania.

Otworzyłem tedy Biblię i, zamiast długich wywodów, odczytałem co następuje z dziejów Abrahama:

„I ukazał mu się Pan w dolinie Mambre, siedzącemu we drzwiach namiotu swego w samo gorące dniowe.

A gdy podniósł oczy swe, ukazali mu się **trzej mężowie**, stojący blisko niego, które ujrzawszy, wybieżał przeciwko nim ze drzwi namiotu, i pokłonił się do ziemi.

I rzekł: Panie, jeśli znalazł łaskę w oczach Twoich nie mijaj sługi Twego“. (Mojż. I. 1, 2, 3).

Ojciec mój uśmiechnął się, nie pytał już więcej, jeno powtarzał jakby w zachwyceniu: Boże w Trójcy świętej Jedyny, zmiłuj się nademną...

Towarzysz mych dni dziecięcych, Józef, przybywszy w odwiedzin, zastał jeszcze ojca mego przy życiu.

W parę dni później, nadeszła chwila straszliwa. Mimo, że lampa elektryczna w sypialni ojca paliła się jasno, zapytał nas, czemu zgasiliśmy światło i pozostawiamy go w ciemnościach. Potem oświadczył, że jest bardzo senny i uśnie, ale jedną rękę podał matce, drugą mnie i prosił, byśmy tak trzymając go za ręce, pozostali przy nim.

— Pamiętajcie, gdybym usnął, a nie obudził się więcej, że mamy kiedyś spoczywać w wspólnym grobie. Gdybyście stąd gdziekolwiek się przenosili, a myślę, że dobrze wam tu nie będzie, zabrać zwłoki moje ze sobą...

I usnął ojciec mój snem dziecka, a ja czułem, jak ręka jego stygnie w mojej ręce. Łkając okrywaliśmy pocałunkami twarz jego i ręce.

Z ulicy buchnęła muzyka radosna spóźnionych mandolinistów, którzy nie przeczuwali, że w pobliżu dopiero co skonał człowiek.

„A gdy je poprzysiągł i rzekł: Bóg was nawiedzi. Wynieście kości moje ze sobą z miejsca tego: umarł...”

„Co ujrawszy, Józef, padł na twarz ojca swego, płacząc i całując go.“ (Gen. L24, 25, 1).

Głuchy stuk młotów, którymi przybijano sukno czarne w salonie, łomot ustawianych desek katafalku, las trumien, wśród których wyszukiwałem odpowiedniej dla mego ojca, szum uwiędłych liści jesiennych, tumanami tańczących po ścieżkach cmentarza, gdzie umawiałem się z kimś o zezwolenie na tymczasowe złożenie zwłok ojca mego w murowanym, familijnym grobie, zanim zbudujemy własny, oto pierwsze wrażenia żałoby.

W metalowej, otwartej jeszcze trumnie, w odświętnym, nigdy prawie nie używanym żakiecie, z rękoma jak do modlitwy złożonemi, w której wciśnięto czarny krzyżyk, w morzu palm, kwiecica i świateł leżał sobie, — nareszcie chwilę odpoczynaku znalazłszy — ojciec mój — łagodnie uśmiechnięty, jak śpiący, bez jakichkolwiek znamion śmierci.

Nie mogłem uwierzyć, że on naprawdę umarł że nie powstanie już do swej umiłowanej, zawodowej pracy, że nie będzie już snuł planów o po-

wrocie na rolę, o folwarczku zacisznym, że, że on, już nigdy...

Niepostrzeżenie rzuciłem mu do trumny małą fotografię moją i brata... Przed ostateczną chwilą pożegnania, przed zamknięciem trumienego wieka, ostatnie spojrzenie w jego twarz kochaną, potem śpiewy księży, korowód za lekko chwiejącym się karawanem i... zniknięcie trumny za kamienną płytą, wynajętego grobowca z porfiru.

Dziwne zrządzenie. Jak życie ojca mego było wędrownie i nieustalone, tak i spoczynek wieczny w wynajętym grobie, tymczasowo, aż nie zbudujemy własnego grobowca tu, lub może gdzieindziej.

„Jestem przychodniem i gościem u was: dajcie mi prawo pogrzebu z wami, abych pogrzebł umarłego mego“. (Gen. XXIII, 4.)

Od Marji dostałem list z wyrazami głębokiego współczucia, szczery, serdeczny. W smutku moim i przygnębieniu był mi prawdziwem ukojeniem. Odpisałem coperędzej i sam nie wiem jak wywiązała się między nami miła korespondencja. Lecz dnia pewnego udałem się na grób ojca, by się pomodlić. I oto nagle w całej swej grozie stanęła przedemną powaga złożonej mu ongi przysięgi, że aż do ukończenia nauk nie będę ani osobiście, ani listownie, zbliżał się do

Marji. Trzeba tedy było z żalem przerwać jakikolwiek dalszy kontakt z nią, dla świętości przysięgi i pamięci zmarłego ojca.

Idąc za trumną ojca mego, stojąc przy otwartym grobowcu, nawiedzając takowy prawie codzień, jedną natchniony byłem świadomością:

Oto, że motyl duszy jego, wyleciał z poczwarki ciała, że w tej trumnie, w tym grobowcu, jeno jego szczątki doczesne, dusza zaś już z Nieba spogląda ku mnie i za mnie się modli.

Świadomość ta była mi najdroższą pociechą, tembardziej, że święte, bezgrzeszne było odejście mego ojca, obmytego wodą Chrztu świętego z wszelkich grzechów żywota, ku zorzom Wieczności.

Modliłem się więc za duszę jego tylko z tem wewnętrznym zastrzeżeniem, o ile jeszcze takiej modlitwy potrzebuje, a równocześnie prosiłem duszy nieśmiertelnej ojca mego o wstawiennictwo za mną, za matką i bratem przed Bogiem.

Umysł mój coraz bardziej zaczął się zwracać ku rzeczom Bożym, wiecznym. Czem jest życie doczesne, czem jego powaby i uroki wobec majestatu nieuchronnej śmierci, wobec idącej ku nam Wieczności?

O świcie klęczałem codzień w pobliskim, małym kościółku, zatopiony w rozmyślaniu i gorącej modlitwie, gdzie sędziwy kapłan, z twarzą Apostoła, karmił mnie Ciałem i Krwią Pańską.

Dzień schodził na nauce prawa, a pod wieczór odbywałem samotną pielgrzymkę na cmentarz, gdzie po miękkim piasku cicho jak duch zbliżałem się do grobowca, w którym ojciec mój spoczywał, by tamże odmówić mój pacierz wieczorny.

Dopiero gdy dzwon obwieszczał zamknięcie cmentarza, gdy na niebo wybiegały gwiazdy, wracałem do domu.

I oto obudziła się na nowo w duszy mojej dawna tęsknota za kapłaństwem, uczucie, które ludzie zwykli nazywać powołaniem.

W długim, pożegnalnym liście, skierowanym do Marji z prośbą, by zapomniała o mnie na zawsze, nie dopatrzyłem się złamania przysięgi, złożonej ojcu memu.

Na wysokiej górze za miastem, przy starym kościele Teatynów, mieściło się Seminarjum Duchowne.

W słoneczny, wonny dzień majowy, pociągnąłem za rękojęść staroświeckiego dzwonka u bramy, zaczem otworzył mi stary, siwobrody czło wiek, i zaprowadził do księdza Rektora.

Krótko przedstawiłem przyczyny, które skierowały mnie na tę drogę, poczem otrzymawszy pisemne potwierdzenie przyjęcia w poczet alumnów, z upomnieniem, bym żyjąc na razie myślą o kapłaństwie Chrystusowem, nie omieszkał w pierwszych dniach września stawić się w gma-

chu Seminarjum dla rozpoczęcia nauki, opuszczałem na razie, z sercem radości pełnem, jego mury, zstępując po starych, kamiennych schodach, gdzie uroczysty pokój Boży i cisza skróś długich korytarzy wiały krzepiącym chłodem w mą twarz rozpaloną.

Przy wyjściu padł wzrok mój na postać Zbawiciela, przybitą do krzyża z czarnego drzewa. Gdzieś już widziałem podobną twarz, pochylenie głowy w geście bolesnej zadumy...

Gdzie to było tylko?...

Schodząc z owej góry nabożnej, przypomniałem sobie tę samą, cierniem ukorowaną głowę w bolesnem pochyleniu i gorzkiej zadumie. W wnęce nadbramnej klasztoru, w mojem dalekiem, cichem, rodzinnem mieście, siedział sobie taki umęczony Pan Jezus w ubogiej sukience z czerwonej, wyblakłej materji...

Bardzo biedny Pan Jezus...

Kto przeżył straszliwe chwile pierwszego wyjścia na spokojne zawsze ulice, na których zagnała pojawiać się poczęły pierwsze zwiastuny grożącego pasma nieszczęść i długoletniej klęski, ten wie, jak wygląda tłum, opętany krwawą sensacją, jak wyglądają twarze znajomych, którzy ni ztąd ni z owąd stają się nam obcymi, jak krzyczą wielkie plakaty o czerwonych, upiornych literach i cyfrach roczników ludzkich, gdy przez wszystkie mózgi i serca przeleci zygzakiem błę-

skawicowym to jedno, okropności pełne słowo: **Wojna!** Czytało się o niej z książek, słyszało z opowiadań, aż tu nagle stała się rzeczywistością i prawem.

Niepewność sytuacji nie trwa długo. Człowiek staje się mimowiednie jedną z śrubek maszyny potwornej, nastawionej na najwyższą siłę napięcia i bieg, tracąc świadomość tego, co dookoła się rozgrywa.

Wziąwszy pod rękę matkę, szliśmy z nią obaj z bratem, nerwowo podnieceni, napozór spokojni, ulicami, których wspomnienie samo pozbawia mnie dziś jeszcze równowagi. Staralem się wmówić matce, jakby dla zagłuszenia owego tętna krwi bijącej na trwogę w skroniach, w sercu, w piersi, że za kilka dni wszystko się uspokoi, ułoży, że niepodobna przecie, by ludzie mogli mordować się wzajemnie dłuższy czas, że powołanie moje do służby wojskowej — o ile wogóle nastąpi — będzie miało chyba charakter przyspieszonych ćwiczeń, niczego więcej.

Matka patrzyła to na mnie, to na brata, szeroko rozwartemi oczyma bezradnego, osaczonego zewsząd, człowieka, a gdy zatrzymaliśmy się przy jednym z słupów ulicznych, na których ogłoszenie mobilizacji przybito, wyczytałem w spisie tańczących mi przed oczyma cyfr poborowych roczników — rok mego urodzenia.

Wzywano mnie pod karabin.

Gorąca modlitwa w małym, niezapomnianym kościółku, serdeczne szepty u grobowca, gdzie gościny udzielono zwłokom ojca mego, a potem jazda przepełnionym pociągami ku rodzinnemu jego miastu, wśród tłumu pasażerów, jadących bez biletów podróży.

Niebieskie oczy dziadka, przez szkła binokli złotych, spojrzały na mnie ciepło, serdecznie, gdy po pierwszych powitaniach zacząłem, jakby w przeczuciu długiej niedoli, żalić się na to, co odrywało mnie od grobu ojca, z objęć matki, od brata, co usuwało mi w mgły niepewnej przyszłości sen o kapłaństwie, tęsknotę za ciszą Bożą i pokojem wiecznym.

Dziadek zapalił spokojnie cygaro, chrząknął, chciał coś powiedzieć, ale padły z ust jego tylko krótkie, urwane, jak trzask ładowanych karabinów, wyrazy: *T r z e b a — t r u d n o — w s z y s c y* — i wyszedł dziwnie szybko do drugiego pokoju, skąd dwaj moi bracia cioteczni, już w wojskowych mundurach, ujrzawszy mnie przez drzwi uchylone, weszli, by mnie uściskać.

Synowie siostry mego ojca.

Pamiętam ich uśmiechy, żarty i przechwałki. Wojna była im radosną niespodzianką i odmianą. Szli ku niej, jak na wesele. Ani przypuszczali, że jeden z nich niezadługo zaryje się twarzą w śniegach głuchego stepu, brocząc krwią rany śmiertelnej, z dala od ziemi rodzinnej i swoich. Nie wiedzieli i dobrze, że nie przeczuwali.

Inaczej, nie byłbyś z taką otuchą sypał koszarowych dykteryjek, rumiany, wesoły chłopcze, którego zwłoki kryje dziś ziemia obca, cioteczny mój bracie, Wilhelmie...

Wieczny odpoczynek biednej duszy Twojej!

Przez otwarte okna buchnął gwar i wrzawa. To prowadzono ulicą pierwszych jeńców nieprzyjacielskich.

Koszary artyleryjskie, do których mnie przydzielono, huczały jak potworny ul. W blasku zachodzącego słońca, na podwórzu wygrzewały się cielska armat. Zamknęła się za mną duża, czarna brama z głuchym trzaskiem, gdy po raz pierwszy w towarzystwie stryja Jakóba ją przekroczyłem.

Wargi stryja drżały jakby w modlitwie, rozglądał się w tłumie szarych żołnierzy, którymi ciasno nabite były kamienne korytarze, gdzie unosił się zapach świeżego chleba, skóry juchtowej i nowych mundurów. Za chwilę miało odejść na front kilka marszowych baterji.

W tem, przemknął się koło nas ogniomistrz, niskiego wzrostu, o małym rudawym wąsiku, takichże krótko przyciętych włosach, z olbrzymim pałaszem u boku. Stryj Jakób zatrzymał go i długo z nim na stronie rozmawiał, długo, o ile tak można było nazwać owych kilka mgnień oka w ogólnym rozgwarze, w tupocie nóg, brzęku broni, chórze nawoływań, wśród przeraźliwych, roz-

dzierających głosów trąb, grających w podwórzu koszar jakby na próbę, a jednak przed odmarzaniem.

Stryj Jakób tłómaczył coś ogniomistrzowi dosadnie, a on od czasu do czasu spoglądał na mnie oczyma, które nic nie miały wspólnego z srogością jego wielkiej szabli i służbistością ruchów, oczyma szaro-zielonej barwy. Wokoło ust jego zaigrał z nagłą jakiś bolesnośladki uśmieшек, wsparł obie ręce na głowicy pałasza, zadumał się czegoś i do uszu moich dobiegły z jego ust, w przestrzeń wrogą rzucone wyrazy: Żydowskie serce..

Krew uderzyła mi do głowy falą, zamroczyło się w koło mnie, i nagle stanął mi przed oczyma nieboszczyk ojciec mój, w światłokręgu na przedce zapalanej lampy, z nieopisanym lękiem w djamentach swych czarnych, dziś już zagasłych oczu, matka nademną pochylona, i ów lekarz, przyjaciel ojca, w tę noc, gdy poraz pierwszy serce moje zabiło chorem tętnem, gdy poraz pierwszy, przez sen, usłyszałem prawdę o sercu żydowskiem...

Za chwilę zbiegał ze mną stryj Jakób lekko, jak młodzieniec, po kamiennych schodach koszar, ku czarnej bramie, a gdy stanęliśmy na ulicy, wziął mnie pod ramię i powiedział: Wolno ci będzie na razie mieszkać w domu, a do szkoły oficerskiej zgłosisz się jutro rano.

Ten ogniomistrz zaopiekuje się tobą i pójdzie ci na rękę. Bądź dobrej myśli.

W brzęku łańcuchów i łoskocie podskakujących dział na nierównym bruku ulicznym, wyjeżdżały pierwsze baterje marszowe mego pułku na front.

Gdyśmy, jednoroczni ochotnicy, wykonywali pod okiem instruktorów i oficerów pierwsze ćwiczenia w podwórzu koszarowem, przyprowadzono nowego kolegę, który napozór spóźnił się z zgłoszeniem do szeregów. Mała, śmieszna figura, z dużym, orlim nosem, pod którym rysował się melancholijny wąsik czarny, opadający nie dbale końcami ku dołowi. Parsknęliśmy śmiechem na widok komicznej postaci, której byłoby do twarzy w każdym innym stroju, aniżeli w wojskowym mundurze. Gromka komenda oficera przyprowadziła nas do właściwej postawy. Nie znaczyło to bynajmniej, by oficer chciał być wystąpić w obronie dziwacznej, nowoprzybyłej osobistości; uczynił to raczej w interesie dyscypliny wojskowej, gdyż zmierzwszy nowego artylerzystę wzrokiem marsowym od stóp do głowy, zapytał go o nazwisko. Utkwiło mi dobrze w pamięci: — Zygmunt Birn.

Ile lat?

— Dziewiętnaście.

Z zawodu?

— Słuchacz filozofji.

— U diabła! — piorunował oficer. Pocóż przyszedłeś pan wogóle do wojska, nie mając przepisanego wieku?!

— Dla wrażeń — odparł z smutnym uśmiechem Birn.

— Z taką figurą, na takich nogach stojąc, z takim nosem — grzmiał dalej oficer — nie wolno zgłaszać się do artylerji i jeszcze do tego konnej!

— A jednak... — spróbował zaoponować Birn — który nie mógł mieć jeszcze pojęcia o dyscyplinie wojskowej.

— Milczeć! — huknął oficer, a zwracając się do plutonowego, zdecydował: — Ten jednoroczny spóźnił się. Koledzy jego już znacznie postąpili naprzód. Zacznie z nim plutonowy specjalne, oddzielne lekcje musztry.

Odtąd, z nadludzką wytrwałością, przyswajał sobie Zygmunt Birn w pojedynkę arkana sztuki wojennej, ale w ten zastraszający sposób, że gdy my dawno byliśmy wolni od zajęć i udawali się do miasta, on, z swoim dziwnie upornym uśmiechem, kroczył pod dowództwem plutonowego po podwórzu koszarowem, lub wpatrywał się w lufy armat i przyuczał nazw ich części, bolców, śrub...

Gdy nareszcie przyłączono go do społeczności reszty jednorocznych, był Zygmunt Birn ich igraszką i pośmiewiskiem.

Wszystko to znosił on z heroiczną wytrwałością.

Uśmieszek filozofa nie zniknął z jego twarzy. (Śmiałem się i ja wówczas z niego — odpuść mi Boże, ten grzech).

Zapytałem go raz, dlaczego naraził się na te przykrości, nie będąc poborowym i po co wstąpił do wojska?

— Przykrości? — podchwycił Birn w jakimś dziwnym zamyśleniu — ja nie spostrzegam żadnych przykrości, o których pan wspomina. (Mówiliśmy sobie wszyscy przez „ty“, z Birnem tylko byliśmy per „pan“).

— Przyszedłem — ciągnął dalej Birn — dla wrażeń. Chciałem spojrzeć w ogniste ślepia wojny.

Później nie uznano Zygmunta Birna godnym egzaminu oficerskiego, wysłano go kapralem na front. Nie upadał na duchu, i szukał mocnych, coraz mocniejszych wrażeń. Zaimponował otoczeniu, które postępowanie jego zwało odwagą. Uzyskał też stopień oficerski, mimo braku egzaminu — za waleczność. Chuderławą jego, wąską pierś, zdobił szereg wysokich orderów.

Birn szukał wrażeń, czyli narażał życie swe na każdym kroku, jak człowiek szalony, lub gardzący życiem.

W chmurach gazów trujących, w hukach pękających szrapneli, w gwiździe kul, przestał być śmieszny.

Aż raz, jak zwykle, wdarł się z własnej ochoty podporucznik artylerji Zygmunt Birn, z pie-

chotą w betonowy szaniec nieprzyjacielski, i znikł bez śladu.

Znalazł wreszcie — jak się później okazało — najmocniejsze wrażenie, jakie daje wojna: Śmierć.

Panie podporuczniku artylerji, Zygmuncie Birn, niegdyś kolego mój obozowy, kawalerze wielu zaszczytnych odznaczeń, prawdziwy ochotniku wojenny, bohaterze! Rumieniec wstydu okrywa moją twarz, gdy myślę dziś o szykanach, których nie szczędziliśmy tobie, o kpinach i żartach, dlatego tylko, że byłeś drobnej postaci, że miałeś nos nazbyt orli, a w dokumentach twoich zanotowano wyznanie mojżeszowe.

Widzieliśmy u ciebie tylko to, co można było dojrzeć okiem, ale nie widzieliśmy serca twego...

Nauczyłeś mnie życiem swoim i śmiercią, że są nietylko serca żydowskie umęczone i liche, lecz także serca Machabeuszów!

Wybacz mnie, i kolegom naszym, owe kpiny i niewczesne żarty, których my dzisiaj — pozostali przy życiu — wstydzimy się serdecznie.

Łzy mnie pieką, gdy piszę o tobie tych parę słów, dziwny młodzieńcze, którego śmierć podniosła i udostojniła w oczach naszych.

Oby ci ziemia obca, i te gruzy, rozwalonych pociskami twoich armat, betonów nieprzyjacielskich, lekkimi były.

„Byli gotowi umrzeć za Zakon i ojczyznę (II. ks. Machabejska).

Na nic się zdało wmawianie sobie spokoju, sugerowanie otoczenia i odpędzanie myśli o smutnych koniecznościach. Pewnego poranka padł gromem rozkaz nagłego odmarszu. Nieprzyjaciel był blisko, armja nasza cofała się, transporty rannych na wozach włościańskich przeciągały ulicami miasta, głuche odgłosy salw armatnich wstrząsały powietrzem, nasza szkoła oficerska musiała zatem szybko doksztalcać się w miejscu spokojniejszym. Pozwolono nam na parę minut wpaść do domów dla zabrania małych pakunków, i pożegnania się z rodzinami.

Pogodny ranek wrześnieowy, ozłocony słońcem, niósł w otwarte okna naszego mieszkania woń owoców dojrzałych, gdy ja wpadłem z niemacka w brzęku ostróg i szabli, z ciężkim płaszczem, dopiero co otrzymanym w koszarach, a przewieszonym przez ramię, prosząc o mój kuferek, który już od kilku dni spakowany, stał w moim pokoju.

— Musimy odjeżdżać — tłumaczyłem — na krótko, pewnie na jakie dwa tygodnie, i wrócimy napewno, napewno...

Bez słowa, z oczyma łez pełnemi, tuliła mnie w objęciach matka, brat mój, Feliks, wołał, by dodać mi otuchy, że nie będzie się nawet żegnał ze mną, bo i tak za parę dni wrócę; nasza długoletnia kucharka Hela, patrzyła dziwnie uśmiechnięta przez uchylone drzwi kuchni, a pies w jakichś obłąkanych podskokach łąsił się do mnie. Spojrzałem po ścianach i rzeczach mieszkania,

przeszedłem w milczeniu wszystkie pokoje — ni-
by czegoś szukając — ukląknę na chwilę przy
łóżku, na którym umarł mój ojciec, a powstając,
ujrzałem w lustrze umywalni twarz moją wła-
sną: była dziwnie blada.

Wziąwszy walizkę w rękę, począłem zbiegać
po schodach. U bramy dopędził mnie brat i chwy-
ciwszy za szyję ucałował długo i serdecznie.

Przez sekundę spojrzeliśmy jeszcze na siebie
oczyma pełnemi łez, poczem on, jakby wstydząc
się swego wzruszenia, szybko powrócił do miesz-
kania, ja zaś, co sił, zdążyć począłem do koszar.

A naokół, jakby nigdy nic, uśmiechał się po-
godny ranek wrześnieiowy, który właściwie miał
mnie witać w murach kapłańskiego Seminarjum,
gdyby nie wojna.

Pociąg ciężarowy, który nie potrzebował
dłuższego czasu nad półtorej godziny normalnie,
by z miasta naszego zdążyć do rodzinnego mia-
sta ojca mego, włókł się z nami dwanaście go-
dzin, ostrzeliwany i narażony po drodze na nie-
bezpieczeństwo min.

Gdy ruszył z nami ze stacji, nie wiem czemu
przyszła mi do głowy taka dziecinna myśl: Wy-
dobyłem z walizki lusterko i patrząc w nie, lu-
dziłem się, że to nie odjazd, lecz — powrót.

Czułem się zdrow i silny. Nerwy moje, za-
zwyczaj liche, dopisywały znakomicie, nastrojo-
ne widocznie na wyższy ton.

Co przez owe dwa lata się działo? Pocóż malować rozpaczłą okropność wojny, tembardziej, że brzegu jej krwawego kielicha dotknęły usta moje zaledwie, gdy pełnię jego wychylić do dna, przeznaczonem było bratu memu.

Więc tylko wspomnę owo uczucie osamotnienia i bezdennego smutku, gdy nie miałem żadnej wieści z domu, ani o domu, gdy wędrowaliśmy po głuchych wioskach i przerażonych miastach, wlokąc z sobą armaty skrós lun zachodniej zorzy, a jeszcze częściej — pożarów, gdy noclegi przypadają w opuszczonych szkołach na garstce słomy, pod osłoną żołnierskiego płaszcza, lub w rowach przydrożnych, pod kopułą nieba gwiaździstego.

Ktoś to tu, to tam z otoczenia mego, sięgał w zanadrze po czyjaś fotografię, lub płatek uschniętej róży, ktoś nawet otrzymywał listy pełne pieśczęt i pocałunków. Ja odbiegłem już od tych spraw.

Tyle po drodze napotykało się kościołów, tyle kaplic samotnych, o które jak nić pajęcza, zahaczała się moja myśl, w których choćby na chwilę u mdłego światelka wiecznej lampy, po krzepić się mogło serce wędrowne i zjednoczyć z Bogiem swoim.

Jak słodko wołał na obczyźnie głos Jezusa z złotych mroków przydrożnych ołtarzy, jak ukojnie.

I słuchałem go...

„Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i jesteście obciążeni — a ja was ochłodzę“.
(Ewang. św. Mateusza XII, 28).

A tymczasem, krok za krokiem, zbliżaliśmy się ku ognistemu pierścieniowi wojny. Czułem, że oddalony o setki mil od moich, nie mam do nich innej drogi powrotu, jak tylko przez oną krwawą połączyć ziemi. To też szedłem naprzód bez żalu.

I kto wie, jak byłoby dalej potoczyło się koło moich losów, gdyby nie list, jeden krótki, łzawy i rozpaczny list matki mojej. Gdy ja sądziłem, iż została z bratem w mieście, które zajął posuwający się naprzód nieprzyjaciel, ona trawiona tęsknotą i miłością macierzyńską, w ostatniej chwili porzuciła swe mieszkanie i pracownię ojca, zabrała tylko gotówkę i jak stała, z bratem i wierną służką, uciekła z miasta wślada za mną, i znajduje się w stolicy Państwa. List krążył z miejsca na miejsce, aż znalazł mnie w ostatniej chwili na samem pograniczu życia i śmierci, przed odmarszem na front.

I oto okupiony drogo spokój, równowaga i cisza, runęły w proch, przed obliczem miłości matczynej.

Serce moje uśpione, chore serce, rozpoczęło swą alarmową, przyspieszoną muzykę, krew młotami biła w skroniach chęcią powrotu do matki, do brata, za wszelką cenę, daleko od krwawej, rzeczywistej, bliskiej, morderczej okropności wojny.

W czasie kilkumiesięcznej, ciężkiej służby, nie zgłaszałem się nigdy chorym. Gdy list matki po tylu miesiącach rozłąki przyciskałem do piersi, zaczęło mnie ogarniać to samo uczucie lęku, ten sam stan ogólnego rozdrażnienia, który niegdyś, po raz pierwszy, w ową pamiętną noc, w mem mieście rodzinnem po zejściu z Tomaszem, po niewinnem stawiennictwie przed kolegium profesorów, mną owładnął.

Ta biała karta papieru, ten skromny list zawążył na szali. Lekarz pułkowy, a następnie komisja superrewizyjna, przeznaczyła mnie do służby pozafrontowej, zaczęto wezwano mnie na kurs dla służby gospodarczej. Po drodze danem mi było uściskać matkę i brata.

Ten kilkumiesięczny okres, który zapewnił mi stałe wyeliminowanie z walczących szeregów armji, i przyniósł następnie stopień oficera służby gospodarczej, sprawił, iż ręce moje pozostały niesplamione krwią, że snu o kapłaństwie nie zaćmiły wizje pomordowanych, i że służba moja, wprawdzie tuż za walczącą armją, miała jedynie na celu wyżywienie jej i umundurowanie.

Wyczuwałem niewidzialną rękę Opatrzności i nieziemskie szepty modlitw mego zmarłego ojca nad głową, i choć z matką i bratem tylko listami się znośiłem, byliśmy jednak zadowoleni i spokojni, wobec ogólnego rozbicia rodzin.

A co najważniejsze, że „ręce nasze tej krwi nie wylały, ani oczy nie widziały.“ (Deut R. XXI. 7).

Pierwszy urlop po dwuletniej służbie wojskowej. Jechałem do matki, która znów powróciła w międzyczasie do miasta, gdzie żył i zmarł ojciec mój, gdzie inwazję nieprzyjacielską przetrwała jego uniłowana pracownia, i nasze ciche mieszkanie.

Wygodnie rozparty w oficerskim przedziale drugiej klasy, jechałem tą samą linią, którą niegdyś wiozł mnie pociąg ciężarowy z ostrzeliwanego, ogarnionego rozpaczonym oblędem, miasta.

Wpatrywałem się z miłością w mknące za oknami pociągu, dobrze mi znane krajobrazy, których widok tak wiele mi przypominał i jak one, przemijały przedemną, w takt monotonny kół wiozącego mnie pociągu, wspomnienia moje od lat najrańszych...

Wydobyłem z zanadrza ostatni list matki, już z domu pisany, i po raz dziesiąty zapewne, odczytywałem go od początku do końca.

A list był ciekawy.

Więc przede wszystkim, zastała matka moja pracownię ojca i mieszkanie w największym porządku, bo nieustraszony stryj Jakób pozostał na posterunku, i choć rankiem i wieczorem trwał w żarliwej modlitwie, niepomny na wszystko co go otacza, to jednak dzień cały czynny był w pracowni, i strzegł naszego mienia, a matce mej wręczył na powitanie znaczniejszą kwotę pieniędzy, zarobionych pod jej nieobecność.

Druga wieść była smutniejsza. Mój uroczysty, kochany dziadunio nie żył już na tej ziemi.

Przytomnie, z modlitwą na ustach, błogosławiąc nieobecnyim dzieciom swym i wnukom, umarł oplakiwany i żalowany powszechnie.

Jego skromną trumnę drewnianą, w której leżał otulony swą białą chustą modlitewną w czarne pasy, z kołnierzem kapiącym od srebrnego haftu, nieśli wyłącznie chrześcijanie, przyjaciele jego, ku wrotom cmentarza. Za trumną, tuż za trumną, postępował kuzyn jego, prałat katolicki. Krótco potem jego wierna małżonka, babunia, pospieszyła za nim. Dzień przed zgonem, który był cichy i słodki jak wieczór letni, opowiadała otoczeniu, że śnił się jej dziadzio i pytał, jak długo będzie na nią czekał po tamtej stronie grobu. Prosił, by się spieszyła, więc babunia nie dała na siebie czekać, i już nazajutrz z uśmiechem szła za nim.

Wieść ostatnia, że brat mój, Feliks, za parę tygodni odchodzi do wojska. Mój mały braciszek, który niedawno jeszcze bawił się ołowianymi żołnierzykami i nie mógł zrozumieć, że ojciec nasz umiera, szedł na prawdę do wojska, gdy wojna stała u zenitu swych okropnych zmagają.

Oto treść listu, który wybiegł mi naprzeciw, który dopadł mnie wracającego na parę godzin do domu.

W radosny puhar mego powrotu, wsączył Bóg gorzki napój rozstania. Kołyszaco, miękko, wystukując mi jakby piosnkę z lat dziecinnych, niósł mnie pociąg aleją wspomnień ku smutne-

mu miastu, w którym utraciłem ojca, w którym wojna wyrwała mnie z domu, w którym czaiły się jeszcze przecucia dalszych klęsk.

Ujrzałem Marję! Tak, to była ona, napewno ona. Gdy wyszedłem na chwilę na jednej ze stacji, spostrzegłem ją w poczekalni. Spoważniała, urosła. Siedziała przy stoliku, czytając gazetę. Spojrzeliśmy sobie przez chwilę w oczy. Już podnosiłem rękę do czapki, by się uklonić, już na twarzy Marji zdawał się wykwitać uśmiech dziewczęcego zakłopotania, w tem gwizd maszyny mego pociągu ozwał się przeraźliwie, boleśnie, jak sygnał rozstania. Marja nie wiem czemu podniosła tak wysoko gazetę, że znikła po za nią jej twarz, a ja oglądając się naprzód po za siebie, zdążyłem pędem ku wyjściu. To wszystko razem trwało jedno mgnienie oka.

Sapiąc ciężko, ruszał powoli pociąg mój, a ja stojąc przy otwartem oknie, wpatrywałem się w budynek stacyjny długo, aż nie znikł mi wreszcie z oczu w kłębach dymu na zakręcie.

Więc to była ona, Marja, którą pożegnałem na zawsze, z myślą poświęcenia się służbie Bożej...

Monotonną pieśń o znikomości wszystkiego, co mnie otacza, wystukiwały mi znowu koła pociągu, więc zmrúżywszy oczy wsłuchiwałem się w ich żelazne zawrodożenie, i nagle zamajaczyła mi przed oczyma duszy góra nabożna z kościo-

łem Teatynów i Duchownem Seminarjum, do którego zostałem niegdyś przyjęty i które czeka na mnie...

Kiedyż pociągnę za staroświecką rękojęść dzwonka u jego furty, kiedy owieje mnie znów słodki chłód jego korytarzy?

A pociąg mknął z nieopisaną szybkością ku złoto-krwawej tarczy zachodzącego słońca.

Po przyjeździe moim do domu wręczyła mi matka, duży list z pieczęciami biskupiami. Zapytywano mnie w tym liście, czy trwam nadal w zamiarze wstąpienia do stanu duchownego, albowiem Biskup zamierza starać się o zwolnienie z służby wojskowej tych wszystkich alumnów, którzy swego czasu przed wybuchem wojny przyjęci, powołani zostali do szeregów.

Copędzej udałem się osobiście do księdza Rektora, i oświadczyłem z radością gotowość jak-najszybszego przywdziania sukni duchownej.

Radość moja była tem większa, że nie będąc oficerem linjowym, składałem u stóp ołtarza mój stopień oficerski, który zapewniał mi wśród grozy wojennej spokojny, wcale przyjemny tryb życia na tyłach armji.

Nie było to w żadnym razie chowaniem się w ciszę murów Seminarjum przed niebezpieczeństwem wojny, lecz tylko ofiarą na rzecz umiłowanej idei.

To też kilkakrotnie zapytywał mnie ksiądz Rektor, czym dobrze rozważył ten krok mój, i czy nie będę żałował, bo wedle obowiązujących przepisów, miałem dobrowolnie zrezygnować z oficerskiego stopnia.

— Rzeczywiście żałuję — rzekłem.

A gdy ksiądz Rektor już miał mnie zrozumieć niewłaściwie, dodałem:

— Żałuję, że tylko jeden stopień oficerski mogę poświęcić Bogu. Ksiądz Rektor uśmiechnął się z zadowoleniem, a w piersi mojej zdawał się śpiewać złotopióry ptak .

Sprawa poszła łatwiej, niżli się spodziewałem. Otrzymawszy zezwolenie na złożenie stopnia oficerskiego ,już po upływie trzech miesięcy mogłem się zgłosić w Seminarjum Duchownem, na owej górze nabożnej, przy starym kościółku Teatynów, mniejwięcej w tym samym czasie, gdy brat mój Feliks wstępował jako siedmnastoletni chłopczyna w szeregi armji, do jednego z pułków artylerji; przywdziałem nareszcie skromną sułtanę, o której marzyłem już od tak dawna.

Trudno było od razu zapoznać się z stukilkudziesięcioma kolegami w Seminarjum Duchownem. Niemniej zaraz w pierwszym dniu mego tamże pobytu, okazało się, że mam wśród nich

starego znajomego. Jego rybie, bezmyślne oczy spojrzwały na mnie w przejściu na korytarzu, szerokie usta rozchyliły się w słodkim uśmiechu, ręka o krótkich palcach i paznokciach nieczystych wyciągnęła się ku mnie na powitanie: Tomasz.

Tak. On sam. Niegdyś na szkolnej ławie w mem rodzinnem mieście sprawił mi tyle bólu, postawił niewinnie przed gremium nauczycieli, i byłby niezawodnie spowodował wydalenie z zakładu, gdyby nie ksiądz katecheta, który wówczas ujął się za mną.

Tomasz w sukni duchownej i to na drugim roku Teologii. Przy powitaniu okazał tyle serdeczności, że od razu zapomniałem o tem, co przed laty między nami zaszło.

I rozpoczął się najszcześniejszy okres mego życia, który dotąd wspominam nie inaczej, jak z głębokiem wzruszeniem, a któremu podobnego, szukaćbym musiał chyba w najjańszem dzieciństwie w białym, niezapomnianym dworku rodzinnym, naprzeciw odwiecznego klasztoru Franciszkanów...

A więc już o piątej godzinie z rana, budził mnie dzwon radosny swym metalicznym głosem, wieszczący po szerokich korytarzach, że pora wstać do kaplicy.

Zaledwie dwadzieścia minut czasu śmiało upłynąć między tą chwilą, a udaniem się do niej.

W czarnej, powłóczystej sutannie i takimże płaszczu z peleryną, z biretem na głowie, smukleliśmy, alumni, przesuwając się obok siebie w milczeniu (bo surowe silentium należało zachować aż do wyjścia z kaplicy), zstępując po szerokich schodach, skąpanych już w blasku słonecznym, do zacisznego kościoła Teatynów, który był naszą prywatną kaplicą w ciepłej porze roku, podczas gdy zimą mieliśmy inną w samymże gmachu Seminarjum. Ksiądz Rektor, klęcząc na chórze obok organów, pochylał w modlitwie porannej swą siwą głowę, i od czasu do czasu spoglądał na szeregi ław, gdzie bezszelstnie na wyznaczonych miejscach zasiadaliśmy, poczem jeden z księży Prefektów wychodził z Mszą świętą, w czasie której codziennie łączyliśmy się z naszym Zbawicielem w Najświętszym Sakramencie Ołtarza.

Jaka radość życia, jakie ukojenie, jaki spokój błogi zalewały duszę, która zdawała się wylewać przed Panem, w poważnym, chóralnym śpiewie łacińskim, rozmyślaniach i modlitwie.

Gdy następnie, około ósmej godziny, zasiadaliśmy jeszcze zawsze w surowem milczeniu, do śniadania złożonego z herbaty z mlekiem i kromki suchego chleba, który to posiłek miał starczyć aż do obiadu, jakże wdzięczny byłem Stwórcy memu, za on złocisty fundament dnia, ugruntowany modlitwą i rozmyślaniem, napelniający mnie łaskami Boga!

Ksiądz Rektor długimi krokami przechadzał się po refektarzu, by w pewnej chwili dać nam znak do przerwania milczenia, co było hasłem do radosnego, niewinnego rozgwaru, poczem udawaliśmy się — po dwu wychodząc z bram Seminarjum — na uniwersytet, na wykłady teologiczne.

Po drodze wpadałem zazwyczaj do pracowni, nieboszczyka ojca, by tamże uściskać matkę, co nie śmiało trwać dłużej jak kilka minut. (Raz w miesiącu wolno nam było odwiedzać rodziny.)

Po wykładach znów pielgrzymka ku naszej świętej górze w zacisze, gdzie po skromnym obiedzie i jednogodzinnej rekreacji, rozpoczynało się znowu milczenie i praca nad sobą, opracowywanie wykładów na uniwersytecie słyszanych, przygotowanie się do kollokwiów i egzaminów.

Gdy po wieczerzy wysuwaliśmy się pojedynczo, jak duchy, do oblanego księżycowem srebrem ogrodu, wyczuwałem w tej ciszy srebrzystej ową harmonję, owo słodkie zjednoczenie z Bogiem moim, nadzieję w miłosierdziu Jego i brak lęku wszelkiego, czy niepokoju.

I znów modlitwy wieczorne w słabo oświetlonej kaplicy, znów rachunek sumienia i kajanie się z grzechów, gdy ciało, umęczone pracą dnia, wysiłkami ducha, tęskniło za twardem, kleryckiem łóżem w sklepionej, staroświeckiej celi. Zaczem głęboki pokłon na klęczkach przed Utajonym w złocistych głębiach cyborjum ołtarza, i milczący pochód po schodach, w towarzystwie

cieni chwiejących się po ścianach, w mdłym świetle lampek wieczornych, powłóczystych, smukłych cieni, z świadomością, że tam gdzieś za murami w mieście, w mieszkaniu mej matki, zasympia ona właśnie z myślą o mnie i modlitwą za mnie.

Jakże wypoczywała dusza, jak dobrze czuło się serce w Panu swoim, gdy usypiałem na sieniaku drewnianego, czarnego łóżka alumna, pod sklepieniem szarej celi, które w tej chwili zdawało się unosić ku górze, błękitniało, błyskało gwiazdami, a po smudze Drogi Mlecznej majaczył mi Dobry Pasterz, biały jak ona, z ręką do błogosławieństw wzniesioną, wołający mnie ku Sobie.

I oto zacierała się granica między życiem ziemskim a przyszłym, śmierć zdawała się tylko małym przejściem, jakoby z sali do sali, duch każdej chwili gotów do odlotu, do zdania sprawy z wędrówki ziemskiej, do zobaczenia się z drogimi sercu.

„Niech będą przepasane biodra wasze i pochodnie gorejące w rękach waszych: A wy podobni ludziom czekającym pana swego, kiedyby się z gód wrócił: aby gdy przyjdzie i zakołace, natychmiast mu otworzyli.

Błogosławieni oni słudzy, których przyszedłszy Pan znajdzie czuwających“.. (Ewang. Św. Łukasza r. XII, 35, 36, 37).

Ukończywszy szkołę oficerską artylerji, odszedł na front, licząc zaledwie lat siedmnaście, mój nieletni brat.

Różową kartę polową, datowaną z miejsca postoju, wśród skalistych gór południowych, gdzie sama przyroda zdawała się stawać po stronie nieprzyjaciela, którego pociski chybiwszy nawet, wywoływały cały grad kamieni i złomów skalnych na głowy żołnierzy, gdzie w jaskiniach sączyła się wieczysta wilgoć a brak wody źródlanej trapił pragnieniem, gdzie mowy nie było o normalnym dowozie żywności, a w dzień i noc trwającym ogniu huraganowym czaiła się na każdym kroku śmierć, czasami zdradnie mknąc na czarnych skrzydłach trującego gazu, donosił mi Feliks z junakierją, która kosztować go musiała wiele łez, po przez które widocznie silił się na uśmiech, że jest mu dobrze, że zdrow i zadowolony.

Mój biedny braciszek, co zaledwie z ławy szkolnej wyszedł, gdy wojna wytrąciła mu księgi z rąk, podobną kartę polową skierował do matki.

Odwiedziwszy mnie w Seminarjum okazała mi ją. Była do mojej podobna treścią i formą.

Rozplakaliśmy się oboje serdecznie.

Jakby chcąc mi nagrodzić przykrość, wyrażoną w zaraniu młodości, był dla mnie Tomasz samą uprzejmością i dobrocią. Zdawał się

szukać mego towarzystwa w chwilach przerw i przechadzek, nie odstępując mnie, gdy tylko była po temu okazja.

Nie bronilem się. Byłem tak szczęśliwy z obranej drogi i spokoju, który znalazłem, że rad byłbym świat cały tulić do serca i ani żdźbło nieufności nie mogło znaleźć miejsca w moim umyśle.

A Tomasz był zawsze przy mnie, skłonny do pytań i wzajemnych wynurzeń. Pewnego razu — a było to jakoś pod koniec roku uniwersyteckiego — przechadzałem się po ogrodzie w skwar południa, zdjąwszy dla wielkiego upału pas malinowy, wełniany, którym klerycy przepasywali sutanny.

Natknąłem na Tomasza. Siedząc na ławce, ni z tąd ni z owąd zagadnął mnie w te słowa:

— Przypominasz mi któregoś z herezjarchów, nie wiem tylko którego... Z sympatycznych herezjarchów — poprawił się Tomasz, czytając zdumienie w mej twarzy. W twej całej postaci, w ruchach, w wyniosłości czoła i złocie włosów, w niebieskich oczach, pełnych zadumy, poznałem kacerza, którego kiedyś, na jakimś obrazie widziałem, prowadzonego na stos.

— Czy może kacerz mieć w sobie dla nas, katolików, coś sympatycznego w sobie? zapytałem.

Rybie oczy Tomasza zaczęły przybierać wyrazu z przed lat, a usta rozchylone bezmyślnym uśmiechem, mówiły:

Mojem zdaniem można i w rzeczy niemiłej znaleźć dobrą stronę. Ot, na przykład, czy sądzisz, że pobyt mój w tutejszem Seminarjum zalicza się do przyjemności? A jednak myśląc o tem, że wokół sroży się wojna, która mnie dziś nie dotyka, odczuwam zadowolenie i siedzę...

Doznałem uczucia podobnego do silnego zawrotu głowy. Zdjąłem z głowy biret i trzymałem go w jednej, a pas mój malinowy zwinięty w kłębek, w drugiej ręce.

W upalne południe lipcowe prażył żar słoneczny moją czarną rewerendę, a słowa Tomaszka zdawały się palić odeń goręcej jeszcze, bo tętna krwi zaczęły wystukiwać we mnie dawno niesłyszaną muzykę niepokoju...

— Musi ci być bardzo gorąco — ciągnął Tomasz, że aż zdjąłeś pas, który wolno odpasać dopiero w czasie ferji. Miej się na baczności herezjarcho sympatyczny!

Zielone, rozgorzałe w słońcu gałęzie ogrodu zaczęły mi zlewać się w oczach w jedną szarą, wirującą masę...

Tomasza już nie było.

Nie upłynęło więcej jak dziesięć minut, gdy zostałem wezwany do księdza Rektora. Zazwyczaj dobrotliwy i uprzejmy, spojrział na mnie sędziwy kapłan zimno i surowo.

— Widzę, że ubrałeś pas klerycki z powrotem. To dobrze. (Nie mogłem pojąć o co właściwie chodzi).

— Słyszałem, że zdjąłeś pas — ozwał się znowu ksiądz Rektor.

— Istotnie — odparłem — było mi bardzo gorąco, więc na chwilę zdjąłem wełniany pas, który niemiłosiernie grzeje.

— Pas jest symbolem przepisów, względnie poddania się im. Pamiętaj, to rzecz na pozór drobna, ale od takich rzeczy zazwyczaj się zaczyna. Od łamania przepisów ludzkich, przechodzi się do gwałcenia Bożych...

— Przyznać muszę, — szepnąłem, — że nigdy tak głębokiego znaczenia nie przywiązywałem do tego, co się stało. Miałem zresztą najszczerzą chęć, za chwilę ubrać pas na nowo, co też uczyniłem...

— Miej się na baczności — począł znowu ksiądz Rektor. — I tak nie byłeś wobec nas szczerzy, i nie powiedziałeś całej prawdy, boś zataił twe pochodzenie, które do święceń kapłańskich wymaga papieskiej dyspenzy.

Młoty pulsów i kowadło serca zaczęły głuchą, przyspieszoną robotę.

— Przecież przedłożyłem moje dokumenty, przecież nikt mnie pozatem o nic nie pytał... — tłómaczyłem.

Lecz któryś z starszych księży wszedł nagle do księdza Rektora, i rozmowa była skończona.

Schodząc po kamiennych, szerokich schodach, miałem wrażenie, że stąпам po wąskiej, giętkiej drabinie.

Kacierz — pas — pogwałcenie przepisów ludzkich i Boskich — zatajenie pochodzenia...

Co to wszystko znaczy?

Tomasz zrzucił maskę i okazywał swe oblicze z przed lat, gdy postawił mnie niewinnie przed sądem profesorów.

Tylko, że nie było gołębiego serca księdza katechety, któryby mógł wstawić się za mną.

Właściwie zresztą nic się nie stało. Nic się nie zmieniło. Rok uniwersytecki dobiegł końca, egzamina pozdawało się nawet jednogłośnie, i na dwa miesiące ferji poszedłem do matki. Tylko skąd ten niepokój, skąd ta niepewność jutra?...

Po rannych rozmyślaniach, modlitwach i nabożeństwach w małym kościółku, opodał naszego domu, po czytaniu ksiązek duchownych i przechadzce, pozostawało jeszcze dużo czasu.

Na podstawie rozporządzenia, przyznającego za służbę wojskową jeden semestr studjów uniwersyteckich, uzyskałem absolutorjum prawniczego wydziału i pokusiłem się o wypełnienie wolnego, feryjnego czasu, przygotowaniem się do pozostałych egzaminów prawniczych i wykończeniem dawnych prac, co miało mi przy stosunkowo niewielkim nakładzie trudu umożliwić uzyskanie stopnia Doktora Praw.

Pod nieobecność księdza Rektora, który wyjechał na wakacje, udzielił mi w tym kierunku zezwolenia jeden z pozostałych księży prefektów.

Powtarzając, przed wojną jeszcze dobrze opracowany materiał, z łatwością udało mi się w czasie ferji złożyć aż dwa egzamina prawnicze.

Na moich samotnych przechadzkach, niemal zawsze wypadło mi spotkać Tomasza, i w jego towarzystwie takowe kontynuować. Tomasz musiał przez wakacje pozostać w Seminarjum, bo miejsce jego rodzinne zajęte było przez nieprzyjaciela.

Byłbym chętnie wyzbył się jego towarzystwa, ale nie było na to sposobu, mimo, że zacząłem odczuwać, gdy zbliżał się do mnie, jakiś nieokreślony niepokój.

I dlatego trzeba było z nim o czemś mówić, i na pytania jego odpowiadać.

A rozmowa taka ze względu na sposób, w jaki ją on prowadził, była prawdziwem umartwieniem.

To też już z tego powodu nie należało jej unikać.

— Chyba nie zechcesz być wiejskim wikarym jako człowiek nauki — zagadnął mnie raz Tomasz.

— Przeciwnie — odparłem. Celem moim jest przedewszystkiem Kapłaństwo, gdziekolwiek mi przyjdzie spełniać jego obowiązki.

Ukończywszy uprzednio wydział prawniczy, składam przygotowane już dawniej egzamina po prostu dlatego, aby wykorzystać mą pracę moliwną minionych lat...

— Ach, gdyby nie ta wojna — wzdychał Tomasz — wiedziałbym co mam robić.

I minęły nareszcie ferje — nadszedł czas powrotu do Seminarjum; w słoneczny dzień wrześniowy, zabrawszy walizkę z niezbędnymi rzeczami, kazałem się zawieść powózce na moją górę nabożną.

Przepasawszy się na nowo malinowym pasem, spieszyłem zgłosić się u księdza Rektora. Powitał mnie jeszcze chłodniej, niżli z końcem uniwersyteckiego roku i dał do zrozumienia, że moje prawnicze egzamina w oczach jego pozbawione są wszelkiego znaczenia, że miałem czas je składać jako kapłan.

Powoływałem się na najlepsze intencje, zezwolenie księdza prefekta i chęć wykorzystania dawniej zdobytej wiedzy, który to materiał naukowy mógł mi łatwo zatrzeć się w pamięci, gdybym długo odkładał złożenie egzaminów.

Ksiądz Rektor nie mógł już przekonać się do mnie.

— Więc tak postępując — spowodowałbyś anomalję — kończył ksiądz Rektor, że ja jako Rektor, i ty jako młody teolog, byłibyśmy obaj Doktorami: ja Teologii, ty Prawa.

Ukojenie i spokój wewnętrzny, które przedtem nie odstępowały mi w tych murach, zdawały się pierzchnąć bezpowrotnie.

Był to jesienny dzień, szary i smutny. Przed samem wyjściem na uniwersytet, zawołano mnie do spowiednika, t. zw. ojca duchownego Seminarjum. Gdy wszedłem doń — nic złego nie przeczuwając — zastałem go, chodzącego po jego zacisznym pokoju, z rękoma skrzyżowanymi na piersi, pogrążonego w głębokiej zadumie.

Pocziwy, świątobliwy, o dobrodusznym uśmiechu młody kapłan, któremu polecono, mimo młodego wieku, być przewodnikiem duchownym alumnów, spojrział na mnie tym razem zimno i obojętnie, a usta jego, jakby do ciągłego wybaczenia ułomności ludzkich stworzone — znalazły dla mnie tylko te krótkie słowa:

— Radzę panu opuścić mury naszego Seminarjum dobrowolnie, najpóźniej do południa. Po południu bowiem, zostaniesz pan zeń wydalony.

Musiałem zebrać całą energję, skupić całą siłę woli, by nie zatoczyć się i nie upaść, a zarazem wykrztusić jakieś niepamiętne mi pytanie, gdy głos uwiązał mi w gardle, a oczy chciały wyskoczyć z orbit.

— Radzę, radzę — powtarzał obojętnie ojciec duchowny, — bo może być zapóźno.

Zaczęła się znów owa szalona muzyka krwi w sercu, które na raz okazało się chore i liche, w tętnach wszystkich, na alarm, na beznadziejną trwożę wygnania.

Za co? Za co?...

A tu tylko jakaś dziecinna modlitewka do Anioła Stróża...

— Ja mogę tylko radzić, by oszczędzić panu wiele przykrości, pozatem nie wolno mi nic powiedzieć — kończył z smutnym uśmiechem kapłan.

Gdym opuszczał jego mieszkanie, gdym szedł przez długie korytarze, wirowały mi przed oczyma sylwety kolegów w czarnych, powłóczystych sutannach, mieszając się z postaciami Świętych z owych dużych starych portretów, wzdłuż ścian rozwieszonych, a gdy korowód alumnów szykował się do pójścia na uniwersytet, jak zwykle o tej porze, ja wpadłem jak uciekający przed niebezpieczeństwem człowiek, do naszej małej kapliczki, w bocznem skrzydle gmachu.

Cisza. Nikogo prócz Utajonego w złotych mrokach Cyborjum, przed którym płonęła wieczna lampa.

Na kamiennych płytach posadzki, rozkrzyżowawszy ramiona, powaliłem się twarzą w proch.

Szalona muzyka pulsów, nierówne, przyspieszone tętna serca ustały, gdy wychodziłem z kaplicy. Ogarnął mnie dziwny bezwład rezygnacji, choć głos wewnętrzny kazał mi się bronić, bronić do ostatka. Postanowiłem nie korzystać z rady ojca duchownego, która dotąd zawsze mi była rozkazem, postanowiłem odczekać co stanie się dalej, jakiegoś przesłuchania, jakiegoś wyroku. Czułem się niewinny. Myśl moja upornie i drobniawo cofała się krok za krokiem przez wszy-

stkie w tych murach przeżyte godziny, aż do chwili przyjscia, starałem się przypomnieć sobie każdy szczegół mego zachowania, każde słowo, które wyszło z moich ust. Co się stało?

Czyżby Tomasz znowu? Albo może... Nie wiem.

Po południu otrzymałem wezwanie do księdza Rektora.

Zupełnie jak przepowiadał ojciec duchowny: Kazano mi opuścić Seminarjum.

— Jakto, bez podania mi powodów, bez wysłuchania mnie?... — szepnąłem.

— Pan znasz sam najlepiej powody — cedził zwolna ksiądz Rektor, nie patrząc na mnie. — Dziwię się tylko, jak śmiałeś pan z takimi zapatrywaniami przekroczyć próg naszego Seminarjum.

— Ależ ja nic nie wiem! — zawołałem. — Dlaczego, dlaczego mnie to spotyka?

— Odpowiadam tylko przed Bogiem i moim przełożonym.

Zechce pan oddać w moje ręce pas klerycki, którego odtąd nosić nie masz prawa, i opuścić w przeciągu piętnastu minut Seminarjum. Przyszedszy do domu, proszę bezzwłocznie złożyć sutannę. O pańskim wydaleniu dziś jeszcze uwiadomię władze.

— Więc tak jak psa... bez podania jakiegokolwiek przyczyny... Ależ księżę Rektorze... Ja już raz w życiu, w zaraniu młodości, byłem niewinnie sądzony... Jeszcze w szkole na czyjeś doniesienie kłamliwe, jak to dzisiaj... Ale tam pytano

mnie, ja się tłómaczyłem. Wiedziałem o co mnie sądzą. Ale tak po prostu, bez żadnej ceremonji... Księżę Rektorze, przecież wokół nas goreje wojna... Ginie tysiące ludzi... Pan Bóg wyrwał mnie z tej zawieruchy. Mogłem jako oficer gospodarczy spokojnie odczekać jej końca. Na wasze wezwanie porzuciłem wszystko, złożyłem mój stopień oficerski, nagi oddałem się w wasze ręce, a wy mnie dziś nagle odartego wypychacie w to piekło na zagładę, na mękę, na śmierć... Powiedzcież mi choć powody, wasze powody!

Księżę Rektorze, ja mam matkę wdowę, której drugi syn dzieckiem odszedł do okopów... Cóż ja jej powiem, co każecie mi jej powiedzieć?...

— Że pana źle wychowała, że...

— Krew moja na głowy wasze, gdy zginę!!
— zawołałem głosem, w którym przebijała cała świadomość doznanej krzywdy.

Drżącemi z wzruszenia rękoma, odpięty mój pas malinowy, bryznął krwawym węzem, do chciwie wyciągniętej dłoni księdza Rektora, który zaśmiał się jakimś dziwnym śmiechem.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — padło z moich ust na nutę pożegnania, a postać moja gięła się w ostatnim ukłonie, chylona wnętrzną chęcią wybaczenia, płacenia dobrem za złe.

Tego nauczył mnie przed laty niezapomniany ksiądz katecheta, i tak czyniąc, nie żałowałem nigdy.

(A krzywda, jaka mnie spotkała, była tem większa, że wiedziałem o tem, iż kilku młodzieńców, pozornie do Seminarjum przyjętych, a faktycznie urlopowanych, i odbywających studia świeckie, kryje się za przywileje stanu duchownego przed grozą wojny. Byli to po największej części krewni księży prefektów, lub ich przyjaciół. O takich mawiano, że szkoda ich krwi... A mojej, mojej krwi, nie było żal nikomu.)

Jeszcze otulony fałdami sutanny, ale już odarty z malinowego pasa, symbolu umiłowanych przepisów kleryckich, w czarnym płaszczu, który rozpięty rozchyłał się, jak dwa upiorne skrzydła, z kapeluszem w rękę i włosiem rozwianym, zabrawszy jedynie Pismo święte niegdyś przez Ojca Jana mi darowane, zbiegałem z mej świętej góry ku miastu, do domu matki.

Mózg rozsadzało mi tylko jedno pytanie: Za co? Dlaczego? I nie mogłem znaleźć odpowiedzi.

Droga moja wiodła przez stary, opuszczony park, pełen zwiędłych liści, które w blaskach zorzy wieczornej złościły się jeszcze u suchych gałęzi, a w przeważnej części usłały dywan różnokolorowy, pełen tajemnych szelestów i szumów. Łagodny wietrzyk chłodził mą twarz rozpaloną, i brzęczały mi w uszach na przemian to słowa księdza Rektora, to ojca duchownego, to znów kiedyś przed ferjami słyszane słowa Tomasza, który niewątpliwie był ponownie sprawcą mej kłęski.

Ten głos zdawał się syczeć za mną:

— W twej całej postawie, w ruchach, w wyniosłości czoła i złocie włosów, w niebieskich oczach, pełnych zadumy, poznaję któregoś z kacerzy, którego gdzieś kiedyś, na jakimś obrazie, widziałem prowadzonego na stos...

Czyli nie pchano mnie gwałtem na rozżarzony, płonący stos wojny?...

Czy pozwolono mi się bronić, czy powiedziano mi wogóle za co mnie zasądzono?

Ciężko, nierówno ważyły młoty krwi, jęczało we mnie kowadło serca...

Żydowskiego serca... Gdzie, gdzie ja już raz słyszałem prawdę o sercu żydowskim?...

„Serce Jezusa zelżywościami nasyczone“...

A na niebie rozlała się czerwień zorzy, malinowy pas...

Ta czerwień zaczęła blednąć powoli, i przechodzić w ogniste złoto, jak ogień stosów...

Kacierz — pas malinowy — stos... szeptały mi pod nogami zwiędłe liście — gdy tymczasem zamajaczył mi przed oczyma jakiś olbrzymi cień: Chwiał się lekko, niby chmurka, wydłużał, pochylił i oto zarysowała się przedemną, jak gdyby postać olbrzymiego starca, przewyższająca wierzchołki drzew, sięgająca ku niebu.

Białym obłokiem kołysały się siwe kędziory i prorocka broda, krwią nabiegłe oczy miały w sobie coś z czerwieni zorzy i złota zapalanych stosów, długi kaftan rozplywający się u krańca widnokregu otulał go... Poznałem. To był on: Ahas-

wer. Protoplasta tych, których krew pulsowała tak gwałtownie w moich żyłach, praojciec wędrowni i wygnania: Żyd, Wieczny Tułacz!!

Miałem dostojnego przyjaciela, który był przedtem katechetą mego brata, zanim zasiadł jako profesor Teologii na katedrze uniwersyteckiej.

Późnym wieczorem wpadłem do jego mieszkania, opowiadając co się stało, i prosząc o pomoc i radę.

Poczcivi ksiądz profesor zebrał się coby prędzej, poczem obaj udaliśmy się w stronę gmachu Seminarjum. On wszedł do wnętrza, gdy tymczasem ja błędziłem pod bramą. Do uszu moich dolatywały chóralne modlitwy łacińskie dawnych kolegów, klęczących w kaplicy i słodkie hymny organów.

Przez szare, grube ściany poklasztornego kościoła zdawała się przenikać ku mnie woń kadzideł.

Czekanie wydało mi się wiecznością.

Zstąpiłem tedy z góry, tonącej w księżycowej poświacie, ku staremu parkowi, i tam w jego ciemności zdawałem się szukać spokoju i ukojenia. Stamtąd też rzucałem tęskne, niespokojne spojrzenia ku oświetlonym jasno oknom mieszkania księdza Rektora, gdzie toczyła się w tej chwili tak ważna rozmowa o mnie.

Musiały upłynąć conajmniej dwie godziny, nim w otwartej bramie Seminarjum zarysowała się na tle oświetlonego słabo korytarza szlachetna postać księdza profesora.

Gdy wynurzyłem się ku niemu z ciemności parku, a on spieszył mi naprzeciw z srebrnej góry Seminarjum, był wielce wzburzony i kładąc mi rękę na ramieniu, szepnął:

— Nie mogłem się dowiedzieć za co cię wydalono, nie chciano mi dać żadnych wyjaśnień, mnie, dziekanowi teologicznego wydziału... Ja tego nie mogę zrozumieć...

Wśród ogólnej ciszy wieczoru, wydzwaniały zegary na wieżach kościołów północ.

Z dalekich stron przysłał mi Ojciec Jan, uwiadomiony o wypadku, krótki, niezapomniany list:

„Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa z duchem Twoim, który niechaj nie upada i zrozumie, że nic bez woli Bożej.

Niezaprzeczone powołanie ku Jego Kapłaństwu, nie równa się konieczności wstąpienia do stanu duchownego.

Pan chce cię mieć widocznie Apostołem świeckim, dla dobra braci twojej izraelskiej, którą suknia kapłańska nieraz zraża i odpycha, utrudniając pracę apostołską.

Ta myśl niech cię pociesza, dźwignie i przyświeca ci w dalszej drodze, która nie będzie usłana różami. To, co się stało, niechaj cię nie przeraża.

Bóg Abrahama, Izaaka i Jakóba, w Trójcy Świętej Jedyny Bóg Przodków twoich, wyrwie cię z lwiej jamy wojny i powoła w właściwym czasie.

Jestem o ciebie spokojny. Nie ustawaj w modlitwie.“

Tym listem krzepił mnie Ojciec Jan na długo, bo prawie na ośm lat rozdzieliły nas wody Atlantyckiego Oceanu.

Trzeba tedy było zaczynać na nowo służbę wojskową, gdy huragan wojenny wzmógł się do najwyższego napięcia.

Odarty z sukni duchownej, pozbawiony oficerskiego stopnia, jako prosty szeregowiec, przeżywać musiałem najgłębsze upokorzenia.

Kto zna służbę wojskową i wie, jaka przepaść dzieli oficera od szeregowca, ten łatwo zrozumie, co dzieje się w duszy człowieka, który raz już był oficerem, a potem musiał być znowu żołnierzem bez stopnia.

Jest to mniejwięcej ten sam stosunek, jakby człowiekowi, który stale zasiadał z gospodarzem domu przy rodzinnym stole, kazano nagle wynieść się do kuchni, celem mycia naczyń i szorowania podłogi, a może nawet omiatania podwórza...

„Ze byłeś pan kiedyś oficerem — krzyknął raz pod moim adresem sierżant — o to mało się dziś troszczymy, o tem trzeba zapomnieć! Zresztą — dodał ironicznie — kto wiedzieć może za co pan nim być przestałeś“.

A gdy alarm serca i pulsów wydzwaniał we mnie swą upiorną melodję, ja prężyłem się jak struna na podwórzu koszarowem w jednym szeregu z młodymi rekrutami.

I nie wiem dlaczego stawał mi w takich razach przed oczyma, z swoim cierpliwym, męczeńskim uśmiezkiem, dawny kolega pułkowy: Zygmunt Birn.

A tymczasem, przedłożona w drodze służbowej, prośba moja o zwrot oficerskiego stopnia, odeszła do stolicy.

Mijały dni, tygodnie, miesiące — odpowiedzi nie było.

Gdy wstyd nakazywał mi w wolnych od zajęć chwilach nie udzielać się nigdzie, chwyciłem się ksiąg moich i w szybkim tempie, w pracy szukając zapomnienia krzywd, pozdawałem ostatnie prawnicze egzamina.

A praca była niełatwa w ciągłym niepokoju i oczekiwaniu wysłania na front.

Raz, niespodzianie dano mi znać, że jakiś obcy oficer chce ze mną mówić. Sądząc, że może który z dawnych kolegów, obciągnąłem ze wsty-

dem na sobie wytarty mundur i wszedłem do kancelarji dowództwa.

Młody, smukły, ogorzały wichrami pól bitewnych, stał przedemną podporucznik artylerji: mój młodszy brat Feliks.

Gdy on otwierał ramiona, chcąc mnie uściskać, ja onieśmielony otoczeniem, prostowałem się w ukłonie wojskowym — przed jego mundurem.

Ze łzami w oczach padliśmy sobie w objęcia.

Od chwili odejścia prośby mojej o zwrot złożonego ongi stopnia oficerskiego, upływało już dziesięć miesięcy.

Zatem z górami trzysta dni trudów, upokorzeń, niepokoju, umiłonych jedynie modlitwą i pracą, czasami samotną przechadzką wśród której rad byłem, gdy dawni znajomi mnie nie poznawali.

Ile razy kryłem się przed nimi do bram domów, lub przechodziłem umyślnie na drugą stronę ulicy!

Ile razy stawać musiałem przed komisjami lekarzy wojskowych, dla poddania się nieoczekiwanym badaniom, czy nadają się do odejścia na front...

Ale jakoś serce moje nie znajdowało w ich oczach upodobania.

Twierdzili, że takich serc nie potrzeba w okopach. Musieli mieć rację; że jednak te ustawiczne badania miały w sobie coś z ciągłego wlecze-

nia skazańca, na ustawicznie się odraczające rozprawy trybunału, powstawać mi poczęła myśl, czy nie poprosić z własnej inicjatywy, jako ochotnik, by wreszcie wysłano mnie na front. Może do oddziału brata...

Lecz raz, gdy najmniej tego się spodziewałem, nadszedł dekret wracający mi stopień oficerski...

Gdy dobywałem mego starego munduru, ukląknęłam przy kuferku i w bezsłownej modlitwie długo wylewałem przed Bogiem duszę moją.

I znów wiózł mnie pociąg, jak przed laty, na kilkudniowy urlop do matki. W przedziale oficerskim drugiej klasy jechało się miękko i wygodnie.

A jazda była tem miłsza, że na uniwersytecie odbyć się miała promocja moja na Doktora obojga praw.

Po długim czasie upokorzenia i smutku, po odpokutowaniu win niepopelnionych, słoneczny dzień zadośćuczynienia.

Po upływie prawie roku, ujrzeliśmy się znowu. W tchnącym powagą gabinecie Rektora Uniwersytetu, stawiawszy się w polowym, lecz nowym mundurze, z brzękiem szabli i ostróg, zobaczyłem na rektorskim fotelu nie kogo innego, jak

samego księdza Rektora Duchownego Seminarjum, który, jako profesor Teologii, wybrany został w międzyczasie Rektorem Uniwersytetu.

Nie mogłem o tem wiedzieć, służąc w wojsku. Sta nałem przez chwilę, jak wryty.

Ksiądz Rektor drgnął i powstał zakłopotany, bo od chwili wydalenia mego z Seminarjum widział mnie po raz pierwszy.

Spojrze liśmy sobie w oczy.

Czułem w tej chwili, iż wzrok mój pełen jest wnętrznego ciepła i radości, że złe minęło, a nadszedł czas lepszy, czułem, że niema w oczach moich ani śladu przebłysków złośliwego zadowolenia, a przebija się w nich tylko poczucie równowagi duchowej, odzyskiwanej powoli.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — rzekłem spokojnie.

— Na wieki wieków — odpowiedział ksiądz Rektor — wyciągając ku mnie rękę.

Gdy poczułem jego dłoń w mojej dłoni, pochylilem się szybkim ruchem i ucałowałem ją.

Tego ksiądz Rektor widocznie się nie spodziewał.

Zakłopotanie jego rosło.

— Jakże się panu powodzi, w czym mogę być pomocnym?

— W jaknajszybszem wyznaczeniu dnia mojej promocji doktorskiej — odparłem, a radość rozpie rała mi pierś.

— Ach, przecież doprowadził pan do celu...

— Nie doprowadziłem na razie, Magnificencjo, bo celem moim było Kapłaństwo... Ale nie poruszajmy przykrych rzeczy.

— Więc niema pan żalu do mnie?

— Żadną miarą.

Ksiądz Rektor był tak uprzejmy, że wyznaczył termin promocji mojej jeszcze na ten sam dzień, zapraszając przez woźnego odnośnych profesorów, poczem w kilka godzin później, w purpurze i gronostajach zasiadłszy w auli uniwersyteckiej, w ich otoczeniu, promował mnie na Doktora obojga praw.

Gdy po złożeniu ślubowania poraz pierwszy wpisałem me nazwisko w księgę Doktorów, ponownie wyciągnął do mnie rękę ksiądz Rektor, a jego uścisk dłoni był ciepły tym razem i serdeczny, jak ciepłem było spojrzenie jego oczu z pod siwych, krzaczastych brwi.

Nazajutrz przypadkowo dowiedziałem się o przyczynach mego wydalenia z Seminarjum:

Kłamliwe, z palca wysrane brednie Tomasz, którym dano wiarę.

Cały szereg jakoby moich pod jego adresem wynurzeń, w których nie było żdźbła prawdy. Oto wszystko.

Tomasz jednak zginął od broni, którą wojował.

Intrygując przeciw całemu szeregowi innych kolegów, wpadł we własne sidła i nie czekając wydalenia, zbiegł z Seminarjum.

By jednak uniknąć służby wojskowej, wstał do jakiegoś urzędu, gdzie go natychmiast reklamowano.

Przydzielany to tu, to tam, przerzucany z północy na południe, z wschodu na zachód, z skromną walizką i kilkoma nieodstępными książkami i fotografjami, dostałem się raz na dłuższy pobyt do miasta, w którym niegdyś poznałem Marję.

Mimo, iż upłynęło siedm lat prawie od chwili pierwszej naszej rozmowy, od pierwszej przechadzki, przemawiały do mnie na każdym kroku wspomnienia, a pasmo doznanych krzywd i udręczeń, połączone z beznadziejną świadomością, że kto wie jak długo trzeba będzie jeszcze wśród wojennej zawieruchy samotnie się błąkać, kierowały myśli moje coraz częściej ku tej, która była dla mnie — po rodzicach — tylko promykiem słonecznym i pogodną dobrocią.

Ponieważ miasto owo niezbyt było odległe od miejsca jej zamieszkania, nie trudno było mi się dowiedzieć, że Marja — samotna jak ja — idzie przez życie cicho, z twarzą ku przeszłości zwróconą, że dwie młodsze siostry jej, które pamiętałem dziećmi, wyszły już zamąż, gdy ona, najstarsza, o zamążpójściu dotąd słyszeć nie chce.

Poprzez milczenie długich lat, wysłałem jej niespodzianie widokówkę z pozdrowieniami.

Otrzymałem odwrotną odpowiedź.

W kilku, naprędce skreślonych słowach podziękowania za pamięć — obojętnych na pozór — drgała nuta tęsknoty i melancholji, ośmielająca mnie podpisem „zawsze tej samej“ Marji.

A więc zawsze ta sama — krzyczała we mnie radosna świadomość zbliżającego się szczęścia.

Zaś piękna kartka Marji przedstawiała dziewicę w białej szacie, zbiegającą z twarzą ukrytą w dłoniach, z wzgórza oblanego krwią zorzy, na tle której czerniły się krzyże nagie, posępne.

Ileż doczytałem się po latach w tej krótkiej, skromnej karteczce!

A gdy zupełnie nieświadomie zamieniwszy jeszcze parę podobnych pocztówek przeszliśmy do listów ,coraz częstszych i dłuższych, ani się spostrzegłem, w jakim tempie staraliśmy się nadrobić to, co straciliśmy przez kilkuletnią rozłąkę.

I nie minął nawet miesiąc, a już mieliśmy stanąć u stopni ołtarza.

Było to może w tydzień przed naszym ślubem, gdy odwiedziwszy w pewną niedzielę Marję, zastałem ją splakaną, w najcichszym pokoiku domu jej rodziców.

Długo prosiłem o wyjaśnienie przyczyny łez.

Marja błagała mnie z dziecinną prostotą, bym o nic nie pytał.

W reszcie — nie mogąc mieć przedemną żadnych tajemnic — wyszeptała mi sama, głaszcząc mnie po twarzy, przepraszając i tuląc się

domnie, że proboszcz zawezwał poprzedniego dnia ją i ojca do kancelarji parafjalnej, i długo perswadował, by nie szła zamnie za mąż.

Nie mógł właściwie nic złego o mnie powiedzieć, ale podkreślając moje pochodzenie, starał się w długim przemówieniu przedstawić Marji całą grozę związku małżeńskiego z podobnym człowiekiem.

Ojciec Marji, który przy tej okazji po raz pierwszy o pochodzeniu mojem się dowiedział, opuścił bezradnie ręce, natomiast ona, Marja, znalazła wobec swego duszpasterza stanowcze słowa odprawy.

Pierwszy bój, jaki przyszło stoczyć mojej narzeczonej dla mnie, pierwsze upokorzenie, które spotkało ją zupełnie niezasłużenie za to tylko, że losy swe łączyła ze mną na zawsze, utworzyło w tej chwili ów niewidzialny, a nierozzerwalny węzeł, który związał ręce nasze i serca.

I jakkolwiek lzy Marji były mi czemś bardzo bolesnem, to jednak świadomość, że ona wytrwała przy mnie, napełniała mnie radosną dumą i przekonaniem, że świętej pamięci ojciec mój, mówiąc mi niegdyś o podobnych przykrościach, nie znał Marji, i że teraz patrząc na mnie z Nieba, cieszy się wraz ze mną, że miałem co do niej rację, a on się omylił, i błogosławi nam niewidzialnie a serdecznie.

To też postanowiliśmy, mimo protestów rodziny mej żony, zejść z ócz proboszczowi miej-

scowemu, i wystaraliśmy się o zezwolenie na ślub w zacisznym, wiejskim kościółku.

W czasie majowego nabożeństwa do Królowej Anielskiej, pocziwy kapłan związał stulą nasze ręce.

Brat mój, Feliks, w paradnym uniformie oficera artylerji, był družbą, a matka moja, blisko mnie stojąca, ocierała łzy radości.

Lecz chociaż beztroskie wesele napełniło gwarem i światłami odświętnie przybrany dom teściów moich, chociaż Marja w białej sukni i ślubnym welonie, z mirtową koroną na głowie, kładła co chwilę rękę na mojej ręce i patrzyła mi w oczy wzrokiem miłości i zrozumienia, zdawałem sobie w zupełności sprawę z tego, że ślub mój był znowu — niespodzianie i niezasłużenie — jakąś ucieczką, exodem, gdzieś, przed czemś, choćby tylko z miejskiego, do parafjalnego kościółka na wsi i wśród instrumentów muzyki weselnej najgłośniej łkały mi skrzypce, o dobrych, dalekich krajach na Wschodzie, które w poświęceniu miesiąca zdawały mi się kłaniać poważnemi koronami palm, wołając mnie ku sobie.

Te dobre, dalekie krainy, o których w zaraniu dzieciństwa opowiadał mi nieboszczyk ojciec.

U wrót grobowca, w którym spoczęły gościnnie zwłoki mego ojca, staliśmy pogrążeni w cichej modlitwie w Zaduszny dzień: matka, brat, żona moja i ja.

Zimny wiatr jesienny niósł zapach świec, płonących na grobach, szelest wstążek u wieńców łączył się z szumem zwiędłych liści, a ponad tem wszystkim ognisto-złoty zachód słońca.

Obok nas przechodziły gromady ludzi ciekawych przyjrzeć się z bliska żałobie drugich.

W tem znienacka, gdzieś bardzo blisko, ozwało się stukanie jak karabinów maszynowych, potem pojedynczo po sobie następujące wystrzały i znowu owo stukanie...

Spojrzeliliśmy sobie z bratem w oczy, rozejrzeliśmy się po tłumie cmentarnym, który zrazu zdawał się nie reagować na te detonacje, później jednak w miarę coraz to gęstszego warczenia karabinów — począł w popłochu opuszczać cmentarz.

Wyszliśmy i my.

Za bramą cmentarną zamierał ruch uliczny, nigdzie śladu powózki, nie mówiąc już o tramwajach, które jakby zapadły się w ziemię.

Gdy pustemi ulicami zdążaliśmy do mieszkania matki, padł strzał tuż w pobliżu, na rogu ulicy.

Oto jakiś człowiek w pół-wojskowym mundurze, przystąpił do drugiego, idącego w towarzystwie kobiety, i z tyłu strzelił mu w czaszkę.

Trup ludzki zwałił się ciężko na bruk chodnika, z którego poczęła ściekać krew.

Nareszcie dostaliśmy się do mieszkania.

A potem nastąpiły pełne trzy tygodnie walk ulicznych, rzucania bomb przez okna do mieszkań parterowych, gradu staczających się kul po blachach dachów i ciężkich, dalekich wystrzałów armatnich.

Miasto przecięte rowami strzeleckimi i zasiekami z kolczastego drutu, na dwie walczące strony, na rogach ulic, zdradliwie za węglami, czaiły się karabiny maszynowe.

Ciężkie samochody, pełne żołnierzy, uzbrojonych od stóp do głowy, z głuchym łoskotem przejeżdżały wśród osłupiałych kamienic.

Brat mój w połowym mundurze, przepasany pasem, u którego chwiał się zwyczajny bagnet żołnierski, chwyciwszy rewolwer w rękę, bez pożegnania wybiegł na ulicę.

Ja pozostałem w domu przy matce i żonie, bo nie byłem kombatantem i nie czułem się na siłach do przeszkolenia się weń w ulicznej walce.

Ktoś musiał zresztą pozostać w domu, gdy samo zdobywanie żywności połączonem było z niebezpieczeństwem dla życia.

Około trzydziestu zabłąkanych kul karabinowych utkwilo w ścianie naszej kuchni, bo mieszkając na drugim piętrze wystawieni byliśmy z tej strony na ich pociski dolatujące z cytadeli.

To też należało odżywiać się potrawami zimnemi, lub czasem gotować w kuchni mieszkających niżej sąsiadów.

Naród, wśród którego urodziłem się i wzrosłem, którego częstką czułem się mimo wszy-

stko, wywalczał swą przewagę na tej polaci kraju, a w szeregach jego walczył mój brat, Feliks, entuzjastyczny chłopczyna, który miał zaledwie tyle czasu, by w ciągu owych strasznych trzech tygodni raz jeden dać znać przez osoby trzecie, że żyje i czuje się dobrze.

Aż oto nadszedł upragniony dzień zwycięstwa, gdy ulicami miasta przeciągać zaczęły w tryumfalnym pochodzie oddziały w poszarpanych, zwalanych ziemią mundurach, półmundurowane, lub wręcz w ubraniach cywilnych, o twarzach promieniejących radością.

Na czele jednego z takich oddziałów kroczył mój brat, Feliks.

A z otwartych okien domów padały pęki kwiatów najpiękniejszych, jakie jeszcze oszczędziła jesień.

Świadomość, że naród do którego się zaliczałem zwyciężył, kazała zapomnieć mi o wszystkim złem owych trzech tygodni.

Działo się to w słoneczne, pogodne popołudnie, lecz jakże innym, jakże innym okazał się wieczór!...

Już w czasie przemarszu zwycięskich oddziałów dobiegł do uszu moich nagle głos kobiety, którego melodyjność kolidowała mocno z treścią wypowiedzianych pod adresem żołnierzy słów:

— Panowie! załatwiliście się tak chwalebnie z jednymi, teraz pora wam uprzątnąć plagę żydowską! Na Żydów, panowie, na Żydów!

Spojrzałem w stronę mówiącej. Była to młoda, piękna, elegancko ubrana kobieta, należąca bezsprzecznie do lepszych sfer.

Serce moje, rozdzwonione w rytm radosny, zaczęło te słowa rozważać, jakby podświadomie, tętnem przyspieszonym, urywanem, płochliwym.

Żołnierze zaśmiali się z uznaniem w odpowiedzi pięknej pani, która obrzucała ich zalotnie kwieciami.

Ja zaś pospiesznie skierowałem się ku domowi, bo jął we mnie krzyczeć jakiś głos wewnętrznego niepokoju, nawołujący do ucieczki, do exodu, gdzieś, przed czymś...

Ale gdzie? ale przed czym?

Byłem wszakże częścią zwycięskiego narodu na szumiącej tryumfem polaci rodzinnej ziemi.

Dlaczego majaczą mi nagle przed oczyma owe dobre, dalekie krainy na Wschodzie?

O, serce, serce...

„Bądź miłościw ludowi Twemu, Izrael, któryś odkupił, Panie, a nie poczytaj krwie niewinnej...” ((Deut XXI, 8).

Feliksie, bracie mój, młodociany zwycięzco, który gotów byłeś życie oddać za ziemię rodzinną, za lud na niej żyjący, pamiętasz-li on wieczór po dniu wiktoryi, pełen jęków i krwi?

Z szatańskim uśmiechem na twarzach, przemykały się ciemne indywidua, wlokąc łupy w po-

staci cennych futer, srebrnych lichtarzy, złotych przedmiotów...

Za teatrem miejskim, w wązkich zaułkach żydowskiego przedmieścia zdobyli te skarby, a teraz biegną z nimi do domów, by coprędzej wrócić po nowe zapasy, póki czas, póki nie wypłądowali inni. Daleko im do mieszkań, próbują sprzedawać swą zdobycz po drodze.

Wciągają przechodniów do bram i sprzedają tanio, bardzo tanio... A tam, w tych mrocznych ulicach żydowskiego przedmieścia, padają gęsto trupy, wiele trupów.

Promienni, karni jeszcze o świcie żołnierze, z biorącą udział w walkach ludnością cywilną, bezładną chmurą rzucili się w dużej liczbie na wązkie, szare, odrapane kamienice, które jęczą brzękiem tłuczonych szyb, ryczą setkami głosów zakłuwanych ofiar, dobijanych kolbą karabinów.

A gdzie na czas bramy zamknięto, tam się je podpala, tam wznieca się pożar, duszący mieszkańców wewnątrz domu, zaś gdy wychylają głowy z okien, bije w nie salwa karabinów, i znowu jęki i znowu ryk.

Niektórzy bodaj dzieci chcą uratować i wysadzają je z parterowych, spuszczaają z piętro-
wych mieszkań na ulicę, lecz karabiny nie próżnują, dzieci z rozdzierającym krzykiem padają na bruk.

Czy pamiętasz, bracie mój, tego starca, który widocznie chciał runąć na chodnik z okna drugiego piętra, by nie spłonąć żywcem, jak zaha-

czywszy się dziwnie nogami, zwiśł głową ku dołowi i przeszyty kulami chwiał się, jak potworny nietoperz, na czarnych, poszarpanych skrzydłach długiego kaftana?

A ów młody Rabbi, który z okrwawioną twarzą, w chuście modlitewnej, narzuconej na ramiona, zatopiony w swoich Księgach świętych, siedział obojętny na stopniach bóżnicy z dwoma wyrostkami, którzy pochyleni ku niemu, jakby dokoła nic się nie działo, wsłuchiwali się w jego wywody...

Nawet uzbrojony tłum, który więcej od żołnierzy srożył się wśród żydowskiej dzielnicy, a wśród którego znajdowało się wielu przestępców powypuszczanych z więzień, nawet żołnierze obchodzili go zdala, sądząc, że to człowiek obląkany...

Pochylony nad księgą — wykładający dwom wyrostkom — zasłuchanym w jego słowa, tłumaczył coś młody Rabbi.

W ogólnym rozgwarze, dymie, świcie kul, wrzasku mordowanych, z oczyma szeroko rozwartymi — czując alarm krwi w każdym tętnie, gwałtowne, bolesne skurcze serca, stanąłem bliżej uczonego, który zawodził tajemniczo, jakby do siebie, a jednak do dwu chłopięcych słuchaczy:

— Trzeba koniecznie błogosławić Boga, On tego się domaga, On tego chce... A co to znaczy Jego błogosławić?

Czytamy w traktacie Berachoth, że raz wszedł Arcykapłan do Świętego Świętych, z ofia-

rażenie. I oto ujrzał Pana, Boga naszego, zdołnego Imieniem Swojem Akatrljel, siedzącego w całym Majestacie na mglistej chmurce nad Arką Przymierza.

A gdy Arcykapłan padł na oblicze swoje drżący od trwogi, usłyszał głos Pana naszego, którego Imię niech będzie wysławione na wieki, mówiącego:

Ismaelu, synu mój, pobłogosław mnie.

I powstał Arcykapłan, i błogosławił Panu, Bogu naszemu, a On pochylił się przed Arcykapłanem rad z błogosławieństwa.

Tak wyraźnie napisano w traktacie Berachoth.

Pan Bóg nasz chce być przez sprawiedliwych błogosławiony.

On tego chce, On się tego domaga...

Nagle zauważył Rabbi, że stoję w pobliżu i słucham.

Zerwał się z miejsca, aż księga z trzaskiem upadła mu do stóp, białe czarne taies zwisał mu z ramienia, jak złamane skrzydło, podniósł twarz okrwawioną i posiniałą i utkwil we mnie wylękle, przerażone oczy.

Dwu wyrostków przywarło do niego, tuląc się trwoźnie, i kryjąc w fałdach jego długiej, lśniącej kapoty.

Gdzie ja widziałem podobną twarz?...

Naprzeciw rodzinnego domu mego, w wnęce nadbramnej klasztoru, siedział z takim obliczem

ubiczowany, ukorowany cierniem, bardzo biedny Pan Jezus...

Długo tonąłem wzrokiem w oczach młodego uczonego, i całą siłą duszy w nich się przebija-
jącą, chciałem mu powiedzieć, że nie uczynię mu
nic złego, że jesteśmy jednego pochodzenia, że
ojcowie nasi razem przed tysiącami lat na Wscho-
dzie, na skwarnej pustyni błakali się za wizją
Ziemi Obiecanej, że jesteśmy jedno ciało, jedna
krew i kość, że, że tylko on, młody Rabbi, czeka
jeszcze ciągle na Mesjasza, a ja wierzę, że Król
Żydowski, że Mesjasz już przyszedł, że powoli
owłada światem Jego Nauka...

Czułem, jak rozpaczny dreszcz bólu przebie-
ga moje ciało, bezradnie wyciągnąłem obie ręce
ku Rabbiemu, ale on nie zrozumiał mnie, on my-
ślał, sądząc po moim mundurze, że należę do tych,
którzy biją, że sięgam po niego, więc skoczył na
wyższe stopnie schodów synagogi, rozdarł gwał-
townym ruchem jej wrota, ukazując zdemolowane
wnętrze, a wśród gruzów, połamanych łąw, po-
giętych świeczników, w strzępach chust modli-
tewnych, stosy pomordowanych w najróżniej-
szych pozycjach, a z całej tej masy bezkształtnej,
wydobywały się gdzieniegdzie jęki dogorywają-
cych jeszcze ofiar.

Młody Rabbi narzucił chustę modlitewną na
głowę, zakrył twarz i jał wołać rozdzierającym
głosem, którego się nie zapomina:

— Nie będziesz się ich bał; bo Pan, Bóg twój,
jest w pośrodku ciebie, Bóg wielki i straszny!!

Oparty o mur starej synagogi, zapłakałem tak, jak chyba tylko przy łożu umarłego ojca.

I w obłąkanej muzyce chorego serca, w rozpaczem tętnie pulsów, wśród syku płomieni, świstu kul i wrzasku mordowanych, czułem, że z tymi trupami w synagodze, z tym Rabbim, z tymi żyjącymi jeszcze, a mordowanymi dokoła ludźmi, łączy mnie jakiś nierozzerwalny węzeł, mimo różnicy stanu, mimo różnicy wyznania, coś, co przetrwało wieki tułaczek i prześladowań, ognie stosów i łamania kołem, coś, co jest silne, jak Miłość i Śmierć, bo z Miłości wypływa, a Śmierć zwycięża:

Ślub krwi!

O, serce moje, żydowskie serce...

„Jeśli cię zapomnę, Jeruzalem,
niech zapomniana będzie prawi-
ca moja.

Niechaj przyschnie język mój
do podniebienia mego, jeśli-
bym na cię nie pomniał...”

(Ps. Dawidowy CXXXVI, 5, 6.)

Szli po dwu, po trzech, trzymając się pod ramię, młodzi oficerowie w hełmach stalowych na głowie. Przybyli z wojskiem, idącem na pomoc walczącym w tej stronie, brali udział w twardym boju i uczestniczyli w zwycięstwie.

Na obliczu ich igrał ów bolesno-słodki uśmiech, który swego czasu widniał na twarzy

ogniomistrza, z którym rozmawiał mój stryj w huczących ponuro koszarach artylerji, w pierwszym dniu mojej służby wojskowej.

W oczach tych oficerów malował się niepokój, błyszczały łzy.

Poznałem, było wśród nich nawet kilku moich kolegów z ławy szkolnej, Żydów, którzy studjowali niegdyś ze mną, w owem niezapomnianem mieście stu kościołów i kaplic, mieście mego nawrócenia.

Przyglądali się pewnie zającom w dzielnicy żydowskiej i byli tak wzburzeni, że mnie nie poznali. Byłem rad z tego, bo palił mnie ból i wstyd. Dlatego, bocznemi ulicami, z głuchą rozpaczą w sercu, zdążałem ku mieszkaniu mej matki, jakgdybym wracał z ponownego pogrzebu mego zmarłego ojca.

„...Wyjechaliśmy z Bethlehem Judy, a idziem do miejsca naszego, które jest w boku góry Ephraim, skądśmy byli wyszli do Bethlehem: a teraz idziemy do domu Bożego, a żaden nas nie chce przyjąć pod dach swój...” (Księgi Sędziów, XIX, 18.)

O, ziemio, rodzinna ziemio, nie skreśliłem tych słów o strasznej rzezi na żydowskim przedmieściu, by Ci szkodzić, by Cię poniżyć...

Byłaś miejscem przytułku i ucieczki dla tragicznego ludu żydowskiego przez długie wieki, podczas gdy gdzieindziej gnębiono go, palono na stosach, mordowano wedle upodobania, tu znalazł życzliwą opiekę królów, traktowany był po ludzku, po chrześcijańsku, a gdy członkowie jego dość licznie garnęli się ku Chrystusowej Nauce, ty ziemio rodzinna obdarzałaś ich za to najwyższym zaszczytem, jakim rozporządzałaś — szlachectwem.

To też, kreśląc smutne dzieje żydowskiej duszy, żydowskiego serca, ku uświadomieniu Żydów, ku pociągnięciu ich do ich Króla, Pana naszego, Jezusa Chrystusa, muszę za tę gościnę oddać Ci głęboki pokłon czci i przywiązania, ziemio moja rodzinna.

Historja Żydów po upadku Świątyni Jerozolimskiej, ryje tylko bardzo płytki ślad na tafli wieków, dla cierpliwej uległości tego ludu, dla rozprószenia i połączonej z niem rezygnacji.

Dlatego wykroczenia masowe przeciw niemu stały się na szerokim świecie czemś powszedniem, czemś, co już nikogo nie dziwi, a do czego Żydzi sami zdołali się przyzwyczaić.

Uzbrojony w topory tłum wdzierał się, bywało, do żydowskich dzielnic, jakby szedł wycinać lasy, a gdy przerażona ludność chroniła się do synagogi, by wzywać Boga Ojców swoich i tam się zamykała, napastnicy, nie mogąc dostać się do wnętrza, podpalali dom modlitwy z wszystkich stron...

Świadczą dzieje żydowskiej diaspory, że działo się to bardzo często w wielu krajach, lecz po za granicami twojemi, ziemio rodzinna.

I tak zdarzyło się raz, że wśród żaru płomieni, ryku tłuszczy napastników, w jęku duszonych dymem w synagodze i ostrzeliwanych z zewnątrz, świątobliwy Rabbi, by żony swej i córek nie wydać na pastwę gawiedzi, własną ręką zadał im śmierć, poczem przepraszając Pana, Boga swego i korząc się przed Nim, sam rzucił się na ostrze miecza, z którego jeszcze ściekała krew jego najbliższych.

Żalną pieśń o tem męczeństwie, którą ułożył ongi uczony Abigdor Kara, śpiewają dotąd w święto Pojednania w wielkiej synagodze Pragi Czeskiej, którą zwano niegdyś Matką w Izraelu.

Mnie współczesne było już masowe mordowanie ludności żydowskiej w owem wielkiem, wschodniem Państwie Europy, które następnie ugięło się samo w krwi, pod naciskiem burzy rewolucyjnej.

A że pewne ciemne elementy podburzyły spokojną dotąd ludność, że ona dała się także raz po wiekach dobrego współżycia porwać tkwiącym głęboko rasowym antagonizmom, nie chcę temi kartami serdecznych wspomnień ściągnąć na twe niebo choćby najmniejszej chmurki, ziemio rodzinna...

Mimo, iż wróciwszy do domu, zastałem ciotkę Zofję, siostrę matki mojej, cierpiącą, starą pannę, zanoszącą się od płaczu z powodu uderzeń otrzy-

manyh kolbą karabinu na którejś ulicy, dla semickich rysów twarzy.

A ciotka Zofja była od lat gorliwą chrześcijanką...

W imię zranionych, lecz niezagasłych uczuć wobec ojczyzstego kraju, zamknąwszy oczy na straszne zajścia ostatnich dni, udałem się do stacji zbornej oficerów, by oddać się do dyspozycji armji.

Nie potrzebowano oficerów gospodarczych na razie. Odnośne zaświadczenie w powyższym kierunku zostało mi na prośbę udzielone.

Ponieważ lada dzień żona moja spodziewała się połogu, postanowiłem odwiedzić ją w spokojniejsze miejsce — do domu jej rodziców, tembardziej, że obecność moja w armji na razie była zbyteczna.

Wyjechałem przeto z Marją do miasta jej rodziców, gdzie u jej boku pozostałem jeszcze kilka tygodni, gdy brat mój Feliks nieustannie trwał w szeregach, posuwających się naprzód wojsk.

W zacisznym domu małego miasta, wśród życzliwego otoczenia teściów i ich przyjaciół, przy Marji, która wkrótce miała zostać matką mego dziecka, poczęła opadać mgła niepamięci na wspomnienia wypadków, którym przyglądałem się w żydowskiej dzielnicy — a które wydały mi się potwornym snem, dalekim oū rzeczywistości.

Lecz raz, niespodzianie, zakotłowało w spokojnem miasteczku.

Regularnie zorganizowane oddziały chłopstwa z okolicznych wiosek, oszołomionego zwycięstwem i wolnością, podburzonego przez tajemniczych prowokatorów — pojawiły się w ulicach i uderzyły na nędzne kramiki i ubogie składy — wyłącznie żydowskie.

Zamajaczyła mi z nagłą wizja minionej rzezi, ostrzeliwanych domostw, zakołysał mi się przed oczyma w takt bijącego na trwogę serca, ów upiorny nietoperz, zwisający z okna drugiego piętra głową na dół w postaci starca, zahaczonego nogami, na czarnych skrzydłach poszarpanego kaftana...

Ale lud wiejski okazał się łagodniejszy.

Nie było rozlewu krwi.

Niemniej nie obyło się bez pobicia kijami kilkunastu rodzin żydowskich, jakoby z zemsty za rzekome tuczenie się krzywdą ludu.

Ucierpiała jednak tylko nędza żydowska, najbiedniejsi, którym popruto poduszki i pierzyny, połamano niewiele warte graty, splądrowano żebracze kramiki.

Ale co najgorsze, że zatrwożono tych biedaków, zawsze wylękłych i tulących się w swoich zaułkach, zatrwożono bardzo.

To też nawet proboszcz miejscowy, który niegdyś odradzał mej żonie zamążpójścia za mnie, wyszedł na ulice, i nawoływał podburzonych włościan do spokoju i miłosierdzia w Imię Zbawiciela.

I oto okazało się, co może podżeganie ciemnych mas:

Pałka, skierowana przeciw Żydom, ugodziła z całej siły sędziwego księdza w plecy.

Rozjuszony tłum nie uszanował nawet sukni kapłańskiej, gdy chodziło o oderwanie go od antyżydowskich wykroczeń...

Pochylił się ksiądz proboszcz pod kijem swego parafjanina, i zakrywszy dłońmi twarz, wracał ku plebanji...

Gdy za oknami nie ustawał krzyk gawiedzi ulicznej, brzęk rozbijanych szyb, i zawodzenie nie-licznej zresztą w miasteczku ludności żydowskiej, w cichym pokoiku naszym, w domu teściów, trzymając mnie obiema rękami za szyję, wyda-wała cię na świat, synu mój, Bernardzie, matka twoja...

Z zaciśniętymi piąstkami, podniesionemi ku twarzączce, zakwiliłeś po raz pierwszy wśród go-ścinnych ścian domu dziadków twoich, śmieszne maleństwo, które na pierwszy rzut oka wydałeś mi się podobne do mnie.

A po kilkunastu minutach leżałeś już spokojny, z przymkniętymi oczyma, u boku twej matki; miałem dwadzieścia pięć lat i nie mogłem uwie-rzyć, że zostałem ojcem, że mam syna...

A Marja uśmiechała się do mnie szczęśliwa i dumna.

Postanowiłem ci dać imię świętej pamięci mego ojca, a dziadka twego, i dlatego nazywasz się Bernard.

Oby dusza jego wstawiała się za tobą przed Panem, obyś podobien był ojcu memu szlachetnością i dobrocią serca.

W czternaście dni po twem narodzeniu, zawiozłem cię w towarzystwie matki mojej, brata mego Feliksa, i siostry twej matki, Heleny, do cichego wiejskiego kościółka za miastem, gdzie przed rokiem brałem ślub z matką twoją przed ołtarzem Królowej Anielskiej, i tam ochrzcił cię ten sam stary kapłan, który ongi związał stułą ręce twych rodziców.

Tego życzyła sobie stanowczo Marja, mając jeszcze ciągle cichy żal do duszpasterza swego rodzinnego miasteczka, który zresztą pobity w rewolcie ulicznej jako obrońca uciśnionych, zaczął pociągać mnie ku sobie do tego stopnia, że gdyby nie Marja, byłbym go o ochrzcenie syna mego poprosił.

A tak, licząc zaledwie czternaście dni, synu mój, Bernardzie, musiałeś śladem dziadka i ojca twego uciekać gdzieś, przed czemś, w nieświadomym a dziedzicznym exodzie...

Może zrozumiesz kiedyś tę dostojną tajemnicę, związaną z naszym pochodzeniem, gdy będziesz starszy; poprzysięgam cię, byś wówczas rozważał ją z czcią wielką, jako sprawę Bożą.

W kilka dni później — stacja zborna oficerów — (w mieście stu kościołów i kaplic) nadesłała mi uwiadomienie o przydziale: Jako prawnik, zawezwany zostałem do służby w sądzie wojskowym.

Rad byłem z tego, bo robota cyfrowa nie przypadła mi nigdy do gustu, natomiast funkcja sędziowska dawała mi sporo zadowolenia, tembardziej, że zostałem samodzielny, detaszowany sędzią, rozporządzającym własnym biurem i licznym personelem kancelaryjnym.

Stanowisko moje piękne i niezależne, wymagało jednak bezwzględного poświęcenia i oddania się jemu, bo płomienie walk nie wygasaly, a zarzewie wojny zapalało się na dobre u wrót Państwa, o które zaczęły się rozbijać kolumny potężnego sąsiada.

Gdy brat mój, Feliks, stał na straży na rubieżach dalekich rodzinnej ziemi, ja bez wytchnienia starałem się oczyszczać szeregi armji mego okręgu, z elementów przestępczych. On wysiłkiem fizycznym, ja bardziej duchowym, kładliśmy podwaliny pod gmach ojczystego kraju.

To też nie mogę chmurzyć się na wspomnienie owych trzech lat przesłużonych w armji narodu, wśród którego urodziłem się i wzrosłem, ani ja, ani brat mój.

Gdy pierś jego zdobiły piękne dekoracje wojenne, ja mogłem się poszczycić szeregiem pochwał w rozkazach dziennych moich bezpośrednich przełożonych, i wyższych dowódców.

Pomiędzy żołnierzami, doprowadzonymi przez żandarmerję polową do dyspozycji sądu wojskowego za przestępstwa — znalazł się raz pewien szczególny podoficer, rosły i silny, od lat pięciu trwający w okopach straszliwej wojny w jakimś pułku piechoty, kilkakrotnie ranny i odznaczony medalami waleczności, nigdy dotąd niekarany.

Nagle odmówił przełożonym posłuszeństwa, i począł uciekać z linii bojowej, aż znalazł się w więzieniu mego sądu, przychwycony za frontem.

Zastanowiła mnie okoliczność, że uciekając z okopów, nie udał się do domu, gdzie miał żonę i dzieci, lecz błąkał się, jakby zapomniał skąd pochodzi — w przeciwległej stronie kraju.

Gdy przyprowadzono go do przesłuchania, zauważyłem w jego ręce czarną, średniej wielkości książkę.

Zapytałem o nią.

Wyprostowany służbowo, podał mi ją natychmiast.

...Modlitewnik żydowski... Taki sam, jak ten, który w zaraniu dzieciństwa po raz pierwszy zobaczyłem u Józefa, towarzysza mego...

Tedy mignął mi znagła przed oczyma korab Noego, arcykapłan i brama Salomonowej świątyni, ognie krza Mojżeszowego i najsmutniejszy Pan Jezus z nad klasztornej bramy...

Spojrzałem na obwinionego.

Ów charakterystyczny, bolesno-słodki uśmiech, który cechował niegdyś rysy twarzy ogniomistrza w koszarach artylerji i owych oficerów, co trzymając się pod ręce szli jak błędni, po ulicach żydowskiego przedmieścia...

Oddałęm obwinionemu książkę jego, którą on oburącz przycisnął do piersi.

Zapodał swe generalja.

Miał lat trzydzieści, z zawodu rzeźnik w małym miasteczku, religji mojżeszowej, żonaty, czworo dzieci, na imię Abraham.

Do winy się przyznał.

Tak. Wśród najgorętszej bitwy, gdy kompanja szła do ataku na bagnety, odmówił posłuszeństwa, nie chciał iść dalej, i korzystając z rozgwaru uciekł z pola walki.

— Dlaczego? — zapytałem.

— Panie poruczniku, — ja nie wiem, to jest wiem, ale nie mogę sam pojąć... — szeptał obwiniony, a w oczach jego zabłyśły łzy.

Westchnął ciężko, poczem mówił:

— Panie poruczniku, ja przecież nie rekrut, stary żołnierz, rezerwa, pięć lat na froncie, ranny, odznaczony, — musi stać w dokumentach — pozatem rzeźnik z zawodu... krwi się nie boję...

Pan porucznik może nie wie, że Żydzi boją się krwi, wszyscy Żydzi, bardzo się boją, ale nie rzeźniki...

To też rzeźnik Żyd, w oczach drugiego Żyda, to człowiek gwałtowny, odważny, silny, ale drugiej klasy.

Tak jest, tak jest na prawdę, panie poruczniku.

Więc idę ja do ataku, może po raz setny, nałożyłem bagnet na karabin tak spokojnie, jak wtyka się papierosa w cygarniczkę i biegiem...

Czy to mnie była pierwszozna, panie poruczniku?

Już, już naprzeciw naszej kompanji dużo bagnetów nieprzyjacielskich, błyszczą sobie w słońcu jeden przy drugim, jeden przy drugim, już my przy nich, gdy w tem, nie! nie! Panie poruczniku! Ja nie mogę...

...Patrzę, oczom nie wierzę, naprzeciw mnie idzie człowiek, idzie nieprzyjacielski żołnierz, karabin zwisa mu na rzemieniu u ręki jak stary parasol, nie jak broń, i trzyma tę książkę, tę tu czarną książkę...

Pan porucznik tej książki czytać nie umie; to nasza żydowska książka do modlitwy...

Idzie ten mój nieprzyjaciel do ataku, z tym zwisającym z ręki karabinem, ale zato ma książkę otwartą i... i... panie poruczniku, modli się, strasznie głośno modli się z tej książki.

Kto takiego człowieka stawia w pierwszym szeregu?

On był dobry — niech pan porucznik się nie obrazi — do kancelarji, ale nie na front...

Pan porucznik tej książki nie umie czytać, nie zna tych modlitw, pan porucznik nie może mieć pojęcia, jak Żyd modli się w nieszczęściu,

w utrapieniu, w niebezpieczeństwie do swego Boga...

To jest straszna, to jest okropna modlitwa!...

A ja idę na niego wprost, z bagnetem na karabin nabitym, i słyszę te jego modlitwy...

Wie pan porucznik co to była za modlitwa?

O, tu... — zaczął kartkować w modlitewniku — ale pan porucznik tego nie rozumie...

A to wszystko razem, co tu opowiadam, trwało sekundy...

To nawet nie były minuty, panie poruczniku...

Więc coś mnie zamroczyło w jednej chwili, przypomniła mi się nasza piękna, stara synagoga w małym miasteczku, i mój stary siwy ojciec w tales otulony...

(To taka biało-czarna chusta, której Żydzi używają przy modlitwie, pan porucznik pewnie jeszcze nie widział) — i żona i dzieci...

I zdawało mi się, że ten stary ojciec i jego ojciec, którego ja ledwie pamiętam i te wszystkie ojce, których ja nigdy nie widział, wołają za mną nad głową: Abraham, Abraham...

I w tej jednej chwili, pan porucznik będzie się śmiał, błysnęło coś nad głową tego modlącego się Żyda, — bo pewnie, że musiał być Żyd, — coś wielkiego, coś, ja nie wiem, ale tak, jakby wielki Anioł z ogromnym, ognistym mieczem w ręce...

Mnie się tak zdawało, panie poruczniku, to może nawet tak nie było, mnie się musiało zdawać...

Ale już było za późno!! Już mój bagnet był w piersi tego Żyda, tego obcego żołnierza!...

I ja rzucił karabin, i ja porwał ten modlitewnik, i ja zaczął podnosić z ziemi tego nieprzyjaciela, tego Żyda, ale on już nie żył!...

Głuche łkanie wstrząsało pierś obwinionego podoficera.

Plakał, tuląc twarz w karty modlitewnika. — Mnie kazali iść dalej, mnie kazali walczyć dalej, ale ja nie mogłem, ja nie mogę, mnie stoi przed oczyma ten wielki Anioł z mieczem i ja się boję naszego Boga!...

Panie poruczniku, to jest bardzo śmieszne i bardzo smutne, pan porucznik tego nie zrozumie, bo pan porucznik nie jest Żyd... —

Przesłuchanie było skończone. Obwinionego odprowadzono do więzienia.

Dziękowałem Panu Bogu, że byłem tylko sędzią śledczym, a nie orzekającym.

Niechaj go sędzi kto inny, nie ja.

Bo gdy obwiniony zeznawał, nie wiedział o tem, że i przed memi oczyma błysnął nad głową tego Anioł Pański z mieczem ognistym, że i do moich uszu dochodziło wołanie świętej pamięci ojca mego, i ojca mej matki, i tych wszystkich praojców, których nie znałem nigdy, a którzy byli: Gabryelu, Gabryelu...

Nie wiedział o tem, że go rozumiem, że umiem czytać w jego modlitewniku, nie wiedział —

„A gdy Jozue był na polu miasta Jerycha, podniósł oczy i ujrzał męża stojącego przeciwko jemu, dzierżącego dobyty miecz i szedł do niego, i rzekł: Nasześ, czyli nieprzyjacielski? A on odpowiedział: Nie, alem jest hetman wojska Pańskiego, i terazem przyszedł.“

(Ks. Jozue V. 13, 14).

Atawistyczny sen o folwarczku zacisznym, o którym marzył świętej pamięci ojciec mój, ziszczaliśmy każde na własną rękę: Matka moja, brat i ja.

I jakkolwiek trzeba było na razie drogie szczątki niezapomnianego ojca pozostawić jeszcze na pewien czas w wynajętym grobowcu porfirowym, uszliśmy z resztą uratowanej fortuny w mało nam dotąd znaną część kraju, wysuniętą znacznie ku północy, gdzie nabyliśmy każde dla siebie po małym gospodarstwie rolnem, niemal na przedmieściu pięknego, nowoczesnego miasta, gdzie jako kandydat sędziowski otrzymałem skromną posiadłość w sądzie, gdy brat mój, któremu zawierucha wojenna odjęła możliwość dalszych studjów, posiadając jedynie gimnazjalny egzamin dojrzałości, uzyskał posiadłość w poważnym rządowym banku.

I tak na trzech niezbyt oddalonych od siebie osadach, gospodarowaliśmy sobie: Matka z wier-

ną Helą na jednej, ja z żoną na drugiej, a brat mój Feliks, który też w międzyczasie był się ożenił, na trzeciej.

Pamiętasz, żono, z jaką rozkoszą pielęgnowaliśmy nasz własny kawałek ziemi, z jakim utęsknieniem wracałem doń zawsze po biurowej pracy, jak w niedzielę odwiedzaliśmy się wzajemnie z matką i bratem, gwarząc o naszych gospodarskich kłopotach, i zdawało się nic nie zamącać naszego spokoju, rozjaśnionego przyjsciem na świat słodkiej córeczki Ludwiki Jadwigi Gabryeli, która pierwsze imię dostała po matce mej a swojej babce, trzecie po mnie, a drugie przyniosła z sobą w dzień swych urodzin, gdyby nie ciągnęła myśl i troska o te ukochane, o setki mil odległe zwłoki naszego ojca, którego prośba przedzgonna o częste odwiedzanie jego grobu, o zabranie — gdy wyjedziemy w inne strony — szczątków jego z sobą — nie była padała cieniem żalobnym na słoneczne pola nasze i białe domy, w owocowych ogrodach drzemiące.

I chociaż w rocznicę jego zgonu, łączyło nas wspólne nabożeństwo żalobne w wspaniałym, gotyckim kościele, to jednak Dzień Zaduszny był dla nas wyrzutem niemy, przypomnieniem uroczystego zaklęcia i prośby z za grobu.

To też postanowiłem sobie odmówić niemal wszystkiego na długo — byle zdobyć się na sprowadzenie z daleka prochów ojca mego, i złożenie ich w własnym grobowcu, gdzie zgodnie z życzeniem jego mieliśmy kiedyś spocząć razem.

Więc udało mi się na starym cmentarzu, owego, tętniącego nowoczesnem życiem miasta, nabyć od wyjeżdżającej gdzieś w świat rodziny — duży, choć zaniedbany grobowiec — w którym, po odnowieniu gruntownem, znalazła schronienie czarna, metalowa trumna z żelaznym krzyżem na wieku, przybyła ku nam z drogimi prochami z daleka.

W jesienny, słotny dzień, gdy odebrałem ją na dworcu kolejowym, wydała mi się jakby mniejsza od tej, którą przed laty straciłem z oczu w rozwartej paszczy cudzego grobu.

I nagle błysła myśl dziwna w głowie mojej, a jak się później dowiedziałem, także matki i brata:

— Czy to istotnie jego trumna, czy to ta sama, czy na prawdę kryje jego zwłoki?

Gdyby tak otworzyć i zajrzeć do wnętrza?

Gdyby choć na jedną noc zanieść tę trumnę do domu, a nie tak odrazu, na cmentarz?...

Może otwarłaby się wśród nas, może ukazałby się oczom naszym on, ojciec nasz, taki, jakiego pamiętamy, gdy trumnę tę zamykano?.....

.... Gdzieś, kiedyś, bardzo dawno, gdy żyłeś jeszcze na ziemi, a ja wyrostkiem będąc, zamykałem w dźwięcznych, lirycznych strofach moje tęsknoty erotyczne, lub religijne (bo tylko te dwa kierunki zwykłem był uprawiać) — kilka razy powiedziałeś mi, ojcze, niby żartem a jednak nie bez zakroju przedziwnej melancholji i zadumy,

która tak poetycznie owiewała twą piękną głowę, bym o tobie coś także napisał, o tobie...

Chciałeś wejść snem, do umysłu, do ducha syna twego i tam zapanować, choć przez chwil kilka....

W tych kartach wspomnień serdecznych czy-nię zadość życzeniu twemu z przed lat, drogi ojcze mój: piszę o tobie, piszę z potrzeby serca i piszę o twoim ojcu i o tych wszystkich ojcach naszych, których nie znałem, a którzy byli piękni i dobrzy jak ty...

Tak ich sobie przynajmniej wyobrażam.

Spełniłem życzenie twoje: Leżysz wśród nas — odwiedzam często twój grobowiec, nasz grobowiec, gdzie przez kraty okienne widzę trumnę twoją i miejsce, gdzie będzie kiedyś stała trumna moja, i żony, i matki, i brata, a może dzieci naszych....

Grobowiec jest bardzo duży, jest wiele, wiele miejsca....

„Kości też Józefowe, które byli wzięli synowie Izraelowi z Egiptu, pogrzebli w Sychem, na części pola, które był kupił Jakób u synów Hemora, ojca Sychem, za sto młodych owiec, i było w osiadłości synów Józefowych.“

(Księgi Jozue XXIV, 32).

Gdy przepisany okres praktyki sądowej się ukończył, gdy zacząłem gorączkowe przygotowania do egzaminu sędziowskiego, zawakowało nagle w mieście stanowisko sekretarza samorządu, o szerokim zakresie działania, do którego przywiązane były stosunkowo niezłe pobory i bardzo piękne, rozległe mieszkanie służbowe.

Trzeba było decydować się szybko, a że ani praca sędziego, ani też adwokata nie przemawiała mi zbyt do przekonania, zdawało mi się owe stanowisko wakujące, jakby specjalnie dla mnie stworzone, to też natychmiast, rezygnując na razie z złożenia egzaminu sędziowskiego — zgłosiłem swą kandydaturę i zostałem przyjęty.

Z zalem opuszczałem mą cichą osadę, która przypominała mi ów biały dworek rodzinny w dalekiem mieście mego urodzenia, zmuszony zamieszkać w pięknem, służbowem mieszkaniu, przy mojem biurze, w gmachu samorządu.

Mieszkanie to przypominało mi podobne, w onej wspaniałej kamienicy, którą niegdyś wznosił nieboszczyk ojciec mój, a przeprowadzka z cichego gospodarstwa mego, była jak gdyby powtórzeniem owej przeprowadzki z przed lat...

Mimo znacznego polepszenia stosunków materialnych, mimo zdobycia odpowiedniego moim upodobaniom warsztatu pracy, nie cieszyłem się czegóż.

Gdy rodzina moja i nieliczne grono znajomych witało mnie z radością na nowem stanowisku, jakiś niepojęty smutek kołysał się nademną.

Dar przeczuć jest piękną, ale tragiczną spuścizną.

Rozpoczął się tedy rok próbnej służby, po którego upływie miała nastąpić dożywotnia stabilizacja.

Stanąłem na czele dużego personelu biurowego, mając za obowiązek referowanie odnośnych spraw, na poszczególnych posiedzeniach wydziałów, względnie przed plenum samorządu.

Różnorodność agend, potrzeba orjentacji i inicjatywy, były mi zachętą i podniętą w pracy.

To też oddając się jej bez zastrzeżeń, nie mogłem się uskarżać na brak uznania ze strony kompetentnych osób.

A byli to ludzie różnego stanu: kupcy, przemysłowcy, urzędnicy, słowem przedstawiciele różnych społecznych dykasterji, w ogólnej liczbie czterdziestu.

Trzeba było okazać dużo taktu i cierpliwości na odnośnych posiedzeniach, by referując poszczególne kwestje, nie narazić się żadnemu z ugrupowań, a strzedz interesów instytucji.

Wracając do mieszkania, niejednokrotnie po północy, z męczących posiedzeń, z wyczerpujących dyskusji, gdy wszystko już spało, udawałem się i ja na spoczynek z błogą świadomością o spełnieniu przyjętych na siebie zobowiązań, w przeświadczeniu, że okres próbny ma się ku końcowi, poczem jako funkcjonariusz ustabilizowany, można będzie pracować jeszcze wydatniej, bo z uczuciem pewności jutra.

Niewiadomo tylko dlaczego w takich chwilach, przesuwając mi się przed oczyma ironicznie uśmiechnięta twarz podwładnego mi kierownika biura, który w ostatnim czasie zaczął wobec mnie odgrywać jakąś zagadkową rolę.

Zdarzało się, że gdy zmieniałem wchodząc do jego kancelarii, tenże jakby zmieszany, chował jakieś duże arkusze świeżo zapisanych papierów, lub przykrywał je bibułą.

Niektórzy członkowie samorządu, bliżej tego człowieka stojący, zaczęli też do mnie odnosić się w sposób uprzejmie zimny, nacechowany niedostępną wyniosłością.

Aż nadszedł dzień decydujący.

Jakby dla większego napięcia nerwów, trzeba było jeszcze referować punkt za punktem porządku dziennego obrad plenum, poczem dopiero miało odbyć się tajne posiedzenie, które miało rozstrzygnąć o mojej stabilizacji, o pozostaniu w urzędzie.

Na ten czas, należało oczywiście wydalić się do mojej kancelarii, i tam oczekiwać wyniku.

Gdy wychodziłem z sali, nie mogłem nie zauważyć kilku ironicznych uśmiechów na twarzach tych, którzy byli przyjaciółmi kierownika mego biura.

Tedy w gabinecie moim, gdzie rok przepracowałem nienagannie ku pożytkowi instytucji, usiadłem pochylony nad stosem aktów i papierów, starając się zagłuszyć w sobie jakiś zew wewnętrznego niepokoju.

A tymczasem na sali obrad ważył się mój los. Spojrzałem na zegarek: Minęło półtorej godziny od chwili, gdy opuściłem salę posiedzeń...

Długo trwała narada.

Okazało się, że miałem przeciwników, ale miałem też i przyjaciół, skoro powzięcie decyzji nie było łatwe i szybkie.

Wreszcie — nie zapomnę nigdy tej chwili — przez uchylone drzwi mego gabinetu spostrzegłem, jak wysuwają się z sali obrad poszczególni panowie, biorą swe kapelusze i palta, i odchodzą cicho, jak duchy, rzucając w stronę mego biura, jakieś dziwne spojrzenia.

Nikt nie wołał mnie z powrotem na salę, by mnie uwiadomić o wyniku, nikt nie żegnał się ze mną, jak zwykle, czułem, że już nie istnieję dla tych ludzi, którym wiernie pracowałem w tym gmachu cały rok, czułem ową starą muzykę krwi w głowie, w sercu, na alarm, na trwogę...

Za co? za co? Dlaczego?

Biura mego urzędu, gwarne do niedawna, opustoszały, tu i ówdzie czaił się za swem biurkiem któryś z funkcjonarjuszy...

Ktoś zapukał jednak do drzwi.

Nie czekając mej odpowiedzi, wszedł.

Nie wiem dlaczego spodziewałem się, że właśnie on powinien przyjść i przyjdzie; zamknął za sobą ostrożnie drzwi, podszedł ku mnie i wyciągnął do mnie obie ręce, ściskając w nich moje zimne od wzburzenia dłonie...

Jeden z najinteligentniejszych członków kolegium, światowiec, niegdyś dyrektor olbrzymich zagranicznych firm, a obecnie właściciel dużego przedsiębiorstwa, cudzoziemiec, który uzyskawszy obywatelstwo, osiadł od kilku lat zaledwie w tem mieście.

— Pan się domyśla — szepnął.

Tak lepiej. Pisana panu inna, poważniejsza przeszłość, doktorze.

Szkoda pana dla tych ludzi. Głowa do góry.

Dziś po południu przyślę po pana powóz, i czekam u siebie.

Na razie, do widzenia. —

Dlaczego właśnie on jeden wstąpił do mnie z słowami pocieszenia i otuchy, dlaczego przeczuwałem, że on właśnie, a nie kto inny, przyjdzie i powie, i pomoże?...

Jeszcze widziałem przed sobą wybladłą twarz żony mojej, Marji, tulącej przy piersi najmłodszą córeczkę, Krystynę, jeszcze perlily się łzy w szeroko rozwartych oczach mej matki, gdy zerwawszy się od nietkniętego obiadu, zbiegałem szybko po schodach ku bramie, przed którą co dopiero zajechał był powóz po mnie.

Niebawem, wśród alei pięknie przystrzyżonych drzew, zabieliła się willa na tle zabudowań fabrycznych.

Ledwie zajechał powóz przed bramę ogrodu, wyszedł na me spotkanie mój dziwny znajomy.

Na twarzy jego dostrzegłem nieznaczną prawie, bolesno słodki uśmiech ogniomistrza z koszar, oficerów z tragicznego przedmieścia, podoficera obwinionego z wojskowego sądu.

Wziął mnie pod rękę i bez słowa prowadził do swego gabinetu.

Jakiś czas siedzieliśmy obaj w milczeniu, wreszcie ozwał się pierwszy właściciel fabryki:

To, co powiem, niech zostanie między nami tajemnicą...

— Ktoś — mniejsza o to kto — wniósł pismo zohydżające pana, doktorze, z tytułu pańskiego pochodzenia.

Prezydjum potraktowało doniesienie poufnie, zbadało, iż jesteś pan na prawdę z pochodzenia Żydem i wniosło — bez podania powodów — o zwolnienie go ze stanowiska.

Istotny powód znany był zaledwie kilku członkom kolegium, którzy nie chcieli go wyjawić początkowo. Większość członków domagała się jednak jasnego postawienia sprawy, zadowolona z wyników całorocznej pracy pańskiej, względnie zaintrygowana tajemniczą postawą prezydjum.

Stąd długa, tak bardzo długa dyskusja.

Nie wytrzymałem. Jestem człowiekiem dobrze ułożonym, lecz uderzywszy pięścią w stół, zawołałem:

Zabił? Podpalił? Ukradł?

Chcemy wiedzieć prawdę!

I wtedy, doktorze, padły z ust prezydenta znamienne słowa:

Nie podobnego. Nasz dotychczasowy sekretarz samorządu, panowie, jest żydowskiego pochodzenia!

Czułem, że krew mi nabiega do głowy, zaszumiło mi w uszach, i wobec zdecydowanej postawy większości kolegum, która od razu stała się panu przeciwną — nie wyrzekłszy ni słowa więcej — usiadłem, postanawiając za wszelką cenę iść panu na rękę, nie pozwolić, by go znieszczono, dopomóc mu.

Doktorze, ja, rodzina moja i mienie, jesteśmy do twojej dyspozycji.

Jestem jak wiesz katolikiem z wyznania — trzymam się mojej wiary i wychowuję w niej dzieci moje, ale jestem, o czym pan wiedzieć nie możesz, a co raczej przypuszczasz — także żydowskiego pochodzenia.

Każda kropla krwi mojej, każe mi ratować pana!

To stare, nieugięte prawo naszej rasy, przed którym umieją się uchylić tylko jednostki o wątpliwej wartości moralnej!

— Cudzoziemski fabrykant westchnął ciężko, i nagłym ruchem odwinął rękaw u lewej ręki, wyżej łokcia. —

Patrz pan! — zawołał — widzisz tę bliznę głębokiej rany? Postrzał rewolwerowy z niedużej odległości.

To było przed laty, gdy chłopcem młodym, wybiegłszy na ulicę mego dalekiego, rodzinnego

miasta, znalazłem się w samym centrum pogromu... Rżnięto, mordowano Żydów!

Zaszumiała, zahuczała we mnie krew, jak w czasie dzisiejszego posiedzenia!

Jakiegoś starca, któremu obcinano brodę niestety razem z częścią policzka, chciałem bronić —

... Ów dobry człowiek przerwał na chwilę w jakiejś bolesnej zadumie, a mnie tymczasem głucho, ponuro waliły młoty krwi na kowadle serca, na alarm, na trwogę...

I nagle w takt tej muzyki zakołysał się przedemną potworny nietoperz z żydowskiego przedmieścia, starzec zwisający głową na dół, na skrzydłach starganego kaftana, gdzieś, kiedyś widziany.

Chwyciłem tę obnażoną rękę fabrykanta, — która mieniła mi się tęczami przez łyzy — i nie spodzianie, w pocałunku czci głębokiej, przywarłem ustami do tej chwalebnej blizny jego lewej ręki...

Następnie w długim braterskim uścisku przetrwaliśmy kilka chwil.

A gdy obaj ocieraliśmy łyzy, kończył cudzoziemski fabrykant:

— Od tej pory domaga się krew moja ratunku dla wszystkich tych, w których ona płynie w pierwszym rzędzie, a poza tem dla wszystkich, niewinnie cierpiących prześladowania...

To jest kategoryczny, głęboki przymus, któremu oprzeć się nie mogę.

Dlatego pakuj pan manatki, doktorze, sprowadź się zaraz z rodziną do mojej willi, pomagaj mi w wolnej chwili w załatwianiu korespondencji i ucz się, ucz do swego zaniedbanego egzaminu, byś jak najprędzej stanął na nogach.

Będzie jednak najlepiej dla pana, gdy jako prawnik, obierzesz zawód wolny i niezależny: adwokaturę.

I rzecz dziwna: Nie oponowałem, nie byłem zaskoczony, nie dziękowałem nawet, lecz pomoc mi ofiarowaną przyjąłem, jak coś, co się samo przez się rozumiało, z świadomością, że nie pochodzi z ręki obcej, z uczuciem, z jakim przyjmuje się pomoc w rodzinie, od ojca, lub starszego brata. Wsparcie, które nie upokarza.

A gdy elegancki powóz mego dobroczyńcy wiozł mnie ku gmachowi samorządu, było mi lekko i słonecznie na duszy, jakby nic się nie stało.

Zaś kiedy wpadłszy do mieszkania, z rozjaśnioną twarzą, oznajmiłem, że przeprowadzamy się coprędzej do willi mego przyjaciela, zdumienie radosne ogarnęło moich najbliższych, a matka zawołała, że biedny ojciec nie próżnuje po tamtej stronie grobu.

Syn mój, Bernard, utkwił we mnie jasne błękity oczu dziecięcych i widząc, że się uśmiecham, domagał się pięknej bajki.

Posadziłem malca na jednym, a córeczkę Ludwikę na drugim kolanie, i ucałowawszy ich serdecznie, zacząłem:

Był sobie dzisiaj taki pan, który nad waszym tatusiem zobaczył nagle wielkiego Anioła, z ognistym mieczem w ręku...

Raz, wzięwszy mnie pod rękę, przechadzał się zemną przyjaciel mój, o zachodzie słońca, po swym cienistym parku.

Doktorze — szepnął — ja jestem dziś człowiekiem szczęśliwym... Nie dlatego, że jestem mądry, że mam ten kompleks fabryczny, tę piękną willę, nie...

Jestem szczęśliwy, bo odnalazłem Boga — —

My, Żydzi, z sfer inteligencji pochodzący — tracimy już niestety w najrańszej młodości kontakt z Bogiem naszym, a potem trudno, bardzo trudno odnaleźć do Niego drogę.

W mojej ziemi rodzinnej, w tem wielkiem państwie, które zawisło nad przepaścią rozpaczy wśród zawieruchy rewolucyjnej, i jeszcze dotąd trwa w swej tragicznej doli, wtrącony byłem do jednego z najstraszniejszych więzień...

W tem więzieniu, w tych ponurych kazamatkach podziemnych, ociekających krwią i łzami niezliczonych ofiar, rozstrzeliwanych bez sądu, bez wyroku, o różnych porach dnia i nocy, w tej lwiej jamie, z której zostałem cudownie uratowany, odnalazłem na nowo Pana Boga mego, któregom był utracił...

Przyjaciel mój przerwał swój tajemniczy szept, i jakby w nieziemskiej ekstazie, ku rozżarzoną wrzeczadom zórz, wyciągał ręce.

— Tak krwawo zachodziło słońce, jak w tej chwili, gdy tego, który mi poznanie, który mi powrót do Pana Boga ułatwił, prowadzono na stracenie...

Pan nie znasz, doktorze, szlachetnych typów, jakie zdarzały się wśród prawosławnego duchowieństwa wyższych stopni, ludzi nawskroś inteligentnych, ascetów, o wybladłych, Chrystusowych twarzach, w ozdobie krzyżów, zwisających im z szyi na różnobarwne, majestatyczne symary...

Oderwani od jedności z Powszechnym Kościołem Rzymskim, mają w sobie jakiś głęboki żal, jakąś tęsknotę wygnania, przebijającą się w ich uroczystych obrzędach cerkiewnych.

Wielu z nich szuka Prawdy w sercu i w książkach, i powoli wracają do Kolebki Powszechnego Chrześcijaństwa, do Rzymu.

Ojciec Eulogjusz, archimandryta dalekiego monasteru, ugiął się wraz ze mną pod pieścią rozbawionego terroru, zamknięty w lochach więziennych, w oczekiwaniu śmierci z godziny na godzinę.

A stało się to w chwili, gdy po dwudziestokilku latach świątobliwego życia w murach klasztornych, dotarł sercem i umysłem do jedności kościelnej, do Piotrowej Opoki.

Oczekiwał, że dni rewolucji przyniosą mu wolność sumienia, umożliwią pracę apostołską, lecz dały mu tylko okowy, więzienie i śmierć.

On, który żył życiem Anioła, oderwany od spraw ziemskich, z niezbadanych przyczyn znalazł się w szeregach pierwszych ofiar bezprawia i gwałtu, razem z młodziutkim wiejskim wikarym katolickim, kilkoma kupcami, urzędnikami i wojskowymi...

Siedziało nas wiele osób różnego pochodzenia i wyznania, lecz jednakiej doli, w wspólnej, mrocznej, okratowanej kazamacie, a tych dwu: Ojciec Eulogjusz i młody ksiądz, w ustawicznych szepcach modlitewnych i wzajemnych spowiedziach, trawili godziny całe w jednym z kątów więzienia.

Zrozumieli się i poznali.

I zdarzyło się raz, że z przyciszonej rozmowy obu kapłanów, cicho, potem coraz głośniejsze — coś w rodzaju kazania Ojca Eulogjusza — dobiegło do uszu reszty więźniów, którzy zaczęli przybliżać się do zakątka duchownych pojedynczo, później gromadnie, cicho, na palcach, zasłuchani w Dobrą Nowinę zwiastuna zagrobowego życia, gdy tymczasem za ścianami rozlegały się jęki ofiar, wystrzały i ryki pijanego zóldactwa...

Podobnego kazania, podobnej nauki, nie słyszałem przedtem, ani potem.

Do rąk, do szaty Ojca Eulogjusza tulili się więźniowie, a młody wikary o twarzy dziecka, nie

odrywał odeń załzawionych oczu, pełnych czci i podziwu.

Kilka takich kazań Ojca Eulogjusza, które były zarazem łabędzim śpiewem jego duszy, starczyło, bym odnalazł utraconego w dzieciństwie Boga mojego, bym zrozumiał Chrystusową tajemnicę Odkupienia, bym nauczył się żyć z oczyma w Wieczność zapatrzonemi.

Wodą z więziennego kubelka, ochrzcił mnie Ojciec Eulogjusz w asystencji młodego wikarego, dzień przed męką swoją.

Na zajutrz, o zachodzie słońca takim, jak ten dzisiejszy, co na wielkie kwadraty kamienne więziennej posadzki, kładł krwawe plamy, wyprowadzono apostoła mego na stracenie...

Padli sobie w objęcia z księdzem wikarym, a potem my wszyscy jak byliśmy w więzieniu, na kolanach błagaliśmy Ojca Eulogjusza o błogosławieństwo i wstawiennictwo przed Bogiem.

Zapewniał nas, że przez cały czas pobytu w więzieniu prosił Go, by przyjął ofiarę życia jego za nas wszystkich, że jak pierwsza część modlitwy jego została wysłuchana, bo oto idzie na śmierć, która stanowi dla niego przejście do lepszego, wiecznego żywota, tak i druga jej część wysłuchaną będzie, i żadnemu z współwięźniów jego włos z głowy nie spadnie.

Ojciec Eulogjusz miał łaskę u Boga.

Wszyscy my, współwięźniowie jego, uszliśmy z życiem z piekielnej czeluści więzienia... — —

Po twarzy mego przyjaciela spływały rześiste łzy.

... „Błogosławieni, którzy płaczecie teraz: bo się śmiać będziecie.

Błogosławieni będziecie, gdy was będą nienawidzić ludzie, i gdy was wyłączą, i będą sromocić, a imię wasze wyrzucać jako złe, dla Syna człowieczego. Weselcie się dnia onego i radujcie się: bo oto zapłata wasza jest obfita w niebie...”

(Ewang. św. Łukasza VI. 21, 22, 23).

Nie mogę zrozumieć jednej rzeczy — zapytałem raz mego przyjaciela — dlaczego Żydzi w ojczyźnie pańskiej — jak twierdzą naoczni świadkowie — tak wielki udział brali w aktach rewolucyjnego terroru, oni, którzy się boją krwi...

— Doktorze — odparł zagadnięty — a charakterystyczny uśmiech bolesny, jał igrac samym bólem — Żydzi w ojczyźnie mojej zapelniali czełuście więzień jak ja, i setki tysięcy innych, i ginęli w męczarniach z resztą szlachetnych ludzi: Żydzi — powtarzam — Żydzi...

A więc ogół jest źle poinformowany — wtrąciłem z uczuciem ulgi.

— Czy słyszałeś kiedykolwiek, doktorze, o Chazarach? Był to sobie naród, mieszkający

niegdyś na Uralu, potem na Kaukazie, aż umocnił się przeciw Gotom na Krymie, i w ósmym wieku ery chrześcijańskiej pod wodzą swego księcia Balana, przyjął judaizm, t. j. religję Mojżeszową. Nie znaczy to jednak, aby Chazar miał prze-transformować się w Żyda.

Otóż ci pseudo — Żydzi, a de facto Chazarzy, zmieszali się z biegiem wieków z Żydostwem w mej ojczyźnie, zatracając na pozór swe odrębne cechy.

Być może, że tacy „Żydzi“ srożyli się wśród ofiar rewolucji i lali krew cudzą na nasz rachunek, z chazarską fantazją.

Wystarczyło spojrzeć na większość takich typów, o wystających kościach policzkowych i skośnych oczach, by zorientować się od razu, że nie są potomkami żadnego z dwunastu pokoleń Izraelskich, że są Chazarami z krwi i kości.

Z takimi Żydami, jako rasa, nie mamy i nie możemy mieć nic wspólnego. To też już sama nazwa ich pochodzenia „Chazar“ jest równoznaczną — może nie wiesz nawet — w gwarze żydowskiej diaspory, z nazwą pogardzonego zwierzęcia.

Oto jest wielka i nieznana prawda, o kwestji, którą poruszyłeś.

Czyż byłby inaczej głęboki znawca dusz, a także dusz żydowskich, Pan nasz, Jezus Chrystus, mógł wyrzec te znamienne słowa: „Oto prawdziwy Izraelczyk, w którym nie masz zdrady“?

Nie wykluczam oczywiście współdziałania w krwawej rewolucji jednostek żydowskich, które jako z natury zdolne wybiły się na czoło ruchu, podobnie, jak wyróżniają się ich współplemieńcy jako znakomici doradcy królów i przywódcy konserwatyzmu. Takie jednostki jednak nie stanowią ogółu i tenże za nie nie odpowiada.

A zatem prawdziwych Izraelczyków, ogólnie rzecz biorąc, nie było wśród pionierów terroru i mordów. Zapewniam pana.

Tembardziej, że każdy rasowy Żyd ma dwie ojczyzny, które kocha całą mocą swego biednego serca.

Dwie ojczyzny? — zagadnąłem. —

— Tak. Jedna to kraj lat dziecińczych, a zatem kraj, z którym łączą się jedyne wspomnienia szczęśliwe Żyda, gdy reszta życia upływa mu na walce z wzdargą, poniżeniem i krzywdą.

Kraj, w którym leżą prochy jego ojców, w którym żyją jego dzieci. A jakże przesadne po prostu są rodzinne uczucia wśród nas!

Druga, a gdzie druga ojczyzna? — nalegałem.

— Tę znasz, doktorze, lepiej odemnie jako ex-teolog.

Objawiła się ona niegdyś w czasie wygnania na wyspie Patmos, jednemu z najszlachetniejszych Żydów, któremu Zbawiciel pozwolił spoczywać na swej piersi: Świętemu Janowi Apostołowi.

Przyjaciół mój westchnąwszy, odszedł w zamysleniu ku willi, a ja usiadłem samotnie pod starym dębem, którego gałęzie zdawały się szumieć tajemniczo nad moją głową, niby olbrzymie skrzydła owego orła, który karmił cudownie na wyspie Patmos natchnionego Apostoła...

Kamień spadł mi z serca. —

A więc nie Żydzi, nie potomkowie dwunastu pokoleń Izraelskich — lecz Chazarzy...

Nie wiem już kto i gdzie opowiadał mi o tem, jak uczony Żyd hiszpański Chasdai ben Izaak, daremnie w dziesiątym wieku korespondował z królem Chazarów Józefem ibn Aronem.

Nie było, nie mogło być zrozumienia.

A dąb zielony rozkosznie szumiał potężnymi sztandarami prawieczne tajemnice, które zrozumieć można najpierw sercem, a potem dopiero rozumem:

Dwie ojczyzny...

Jedna w kraju, gdzie białe, szeroko rozsiadły dom rodzinny, patrzy szeregiem okien na stary klasztor Franciszkanów, z przesmutnym Panem Jezusem nad bramą — —

A druga?

Zamaszyście kołysał nad moją głową zielone swe sztandary dąb sędziwy, a przez rozchylenia jego konarów złociły się ostatnie wstęgi zórz, tworząc dziwne zjawisko, jak gdyby dalekiego, wspaniałego grodu, jakiegoś dumnego Monsalwatu, zawisłego nad przepaściami chmur...

Zdawał się on sływać, zbliżyć ku mnie...

„I widziałem niebo nowe i ziemię nową. Albowiem pierwsze niebo i pierwsza ziemia przeszła, a morza już nie masz.

A ja Jan widziałem święte miasto Jeruzalem nowe, zstępujące z nieba od Boga, zgotowane, jako oblubienicę ubraną mężowi swemu.

I słyszałem głos wielki z stolicy mówiący: Oto przybytek Boży z ludźmi, i będzie mieszkał z nimi. A oni będą ludem jego: a sam Bóg z nimi będzie Bogiem ich.

I otrze Bóg wszelką łzę z oczu ich: a śmierci dalej nie będzie, ani smutku, ani krzyku, ani boleści więcej nie będzie, iż pierwsze rzeczy przeminęły.

I rzekł, który siedział na stolicy: Oto nowe czynię wszystkie rzeczy. I rzekł mi: Napisz, iż te słowa bardzo wierne są i prawdziwe.

I rzekł mi: Stało się. Jam jest Alfa i Omega: początek i koniec. Ja pragnącemu dam darmo ze źródła wody żywota.

Kto zwycięży, odziedziczy to, i będę jemu Bogiem, a on mi będzie synem.

Lecz bojaźliwym i niewiernym i obmierzłym i mężobójcom i porubnikom i czarownikom i bałwochwalcom i wszystkim kłamcom, część ich będzie w jeziorze gorejącem ogniem i siarką, co jest śmierć wtóra. I przyszedł jeden z siedmiu aniołów, którzy mieli siedm czas, pełnych siedmią plag ostatecznych, i mówił ze mną, mówiąc: Chodź, a okażę ci oblubienicę małżonkę Barankową. I zaniósł mię w duchu na górę wielką i wysoką: i okazał mi miasto święte Jeruzalem, zstępujące z nieba od Boga.

Mające jasność Bożą: a światłość jego podobną kamieniowi kosztownemu jako kamieniowi Jaspisowemu, jako kryształ. A miało mur wielki i wysoki, mający bram dwanaście, a na bramach dwanaście aniołów i imiona napisane, które są imiona dwunastu pokoleń synów Izraelskich...”

(Objawienie św. Jana XXI 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12).

Nie miej mi za złe, ziemio rodzinna, że ku tej drugiej, ku tej umiłowanej i wiecznej, ulatują wszystkie myśli moje i wszystkie tęsknoty, bo gdy ona zstąpi na ziemię, to i ciebie, ziemio ojczyzna, miłośnicie ogarnie, i inne, i tę trzecią, pradawną ojczyznę, to stare Jeruzalem w gruzach dziś leżące, z tragicznym murem płaczu Salomonowej świątyni, Golgotą, domem Piłata, drogą krzyżową i Najświętszym Grobem, która jest dziś relikwią tylko i symbolem.

A którzy chcą przyłożyć ręki do odbudowy murów jerozolimskich, tam w tej trzeciej ojczyźnie ruin, relikwji i wspomnień, którzy mając niejednokrotnie wysokie studia, brukują z uśmiechem szczęścia ulice w Palestynie, niechaj wiedzą, że szlachetnym czynem swoim i tęsknotą, przybliżają przyjście owego Jeruzalem świętego, które Apostoł z ich krwi i kości pochodzący, widział tyle wieków temu, na wyspie swego wygnania...

Zmierzch jesienny począł otulać park, na niebo wybiegły pierwsze gwiazdy...

Uwiędłe liście zaczęły szeptać swój przedziwny na ścieżkach ogrodu, ten sam, który niegdyś słyshałem, opuszczając Seminarjum duchowne po raz drugi, gdy cień Ahaswera zamajaczył przed memi oczyma.

O czem one szeptały...

— Pokój tobie ludu mój, ludu Izraelski o troistej ojczyźnie, z których jedna w tobie bezustannie wspomina, druga tęskni, a trzecia, ta

najstarsza, płacze, ludu, który nosisz w sobie podświadomy sen o umiłowanem, choć nieznanem tobie, świętem, wieczystem Jeruzalem, twego brata, — Jana świętego.

Ludu tragiczny, na którego czole wypisał Pan, Bóg twój, litościwe zamysły wobec innych narodów świata, które miały być błogosławione w nasieniu twojem, wiem, że wrót do wieczystego Jeruzalem, nikt przed tobą nie zatrzaśnie, choć pisanem ci jest, tobie, któryś przodował ongi w pochodzie ludzkości ku Bogu, wnijść na ostatku.

I wnijdziesz, wnijdziesz wedle pokoleń, przez dwanaście perłowych bram.

A drogę, ludu powszechny, który nie jesteś narodem, znajdziesz w Powszechnym jak ty, Kościele Jezusa Chrystusa, Króla twego.

Tam tylko odnajdziesz Boga, tam odnajdziesz świadomość swego posłannictwa i utracony ołtarz ofiarny, wydarty z rąk twoich Arcykapłanów i Kapłanów, ku Ofierze Chleba i Wina, Ciała i Krwi Pańskiej, tam wszczepiony w swój własny pień Zbawienia, ożyjesz na nowo, przynosząc owoc stokrotny.

I obco ci nie będzie. Znajdziesz się wśród swoich:

Mesjasz twój, Jezus z Nazaret, Król Żydowski, Bóg — Syn, postać młodzieńca izraelskiego wziął na się w Swej ziemskiej pielgrzymce, urodziwszy się z Niepokalanej Dziewicy Izraelskiej, słodkiej Mirjam, powołał sobie Apostołów dwunastu (na

pamiętkę dwunastu pokoleń naszych) z pośród Żydów, na książęciu zaś ich, na Szymonie — Piotrze zbudował Kościół Swój, którego bramy piekielne nie przemogą.

A w wspaniałym gmachu Jego, przekleństwa fałszywych proroków przeciw tobie zwrócone, zamienią się w chór błogosławieństw.

I oto wszystkie narody ziemi zbliżyły się, by oddać cześć Bogu Abrahama, Izaaka i Jakóba, wedle Nauki Mojżesza i Nowego Testamentu, Pana naszego, Jezusa Chrystusa, a Historia twoja jest dziś Księgą świętą narodów, pobłogosławionych i odkupionych w nasieniu Twojem. — — —

Tak szeptały mi pod nogami liście uwiędłe, tak szumiał nad głową moją wspaniały dąb, dziwnym trafem jeszcze zielony, na przekór jesieni i innym, żółkniejącym drzewom parku...

Pax super Israel...

„I wzięwszy przypowieść swoją, rzekł: Z Aram przywiódł mię Balak, Król Moabitów, z gór wschodnich: Pójdź, prawi, a złorzeczek Jakóbowi: śpiesz się, a przeklinaj Izraela.

Jako mam złorzeczyć, któremu nie złorzeczył Bóg? a jako mam przeklinać tego, którego Pan nie przeklina?

Z najwyższych skał ujrzę go, a z pagórków oglądam go: Lud sam mieszkać będzie, a między narody nie będzie policzon.

Kto przeliczyć może proch Jakóbów, i widzieć liczbę pokolenia Izraelowego?....“

(Księgi IV Mojżeszowe, XXIII, 7, 8, 9, 10).

Poznałem cię, stary, dobry człowieku, opuszczony i smutny — przypadkiem. Już nawet nie pomnę, jak potoczyła się nasza pierwsza rozmowa.

Nie pochodziłeś z otaczającego mnie narodu; byłeś obcy.

Niezrozumienie ludzkie i samotność, zbliżyły nas ku sobie.

Staralem się, jak mogłem, rozpogodzić starość twoją, a ty uspakajałeś mnie w zwątpieniach, i krzepiłeś na duchu spokojem, rozwagą i doświadczeniem lat.

Z prastarego rodu rycerskiego, sięgającego początkiem jedenastego wieku, pochodząc, byłeś po mieczu ostatni, i nie miałeś komu przekazać bezcennej spuścizny nazwiska.

Nie byłeś bogaty, byś troszczyć się miał o dziedzica, a jednak myśl, że ostatni z swego rodu, świetnego chwałą tyłu pokoleń, które za-

ludniały ongi wspaniałe zamki i dworzyska północy, schodzisz bezpotomnie w kraj cieni — była ci męką nieznośną.

I gdy, przeglądając raz stare pergaminy, przeniosłeś z nich łez pełne oczy na mnie i głowę syna mego, westchnąwszy ciężko, zrozumiałem cię i dopomogłem, by to, co miało zginąć — trwało dalej.

Formalności adopcji załatwiliśmy szybko, poczem biedne, przygasłe oczy twoje, starcze, ożyły nowym blaskiem.

Ród twój trwać będzie w nas, których osłonięś tarczą twego nazwiska, połączonego z dotychczasowem. Usychającą gałązkę, wszczepiłeś w pień wiecznie zielonego dębu.

A gdy kiedyś zamkniesz powieki, spocznieś w grobowcu rodzinnym obok mego ojca, na wieczny sen.

Zaś na palcu mej ręki lśni odwieczny twój sygnet herbowy, którego nie musisz już zabrać do grobu.

Pamiętaj, synu mój, Bernardzie, pamiętajcie córki moje:

Jak troistą jest ojczyzna ludu naszego, wedle ducha, krwi i ciała, tak troistem nazwisko, które wam przekazuję.

Obok nazwiska, nadanego wedle upodobań tych, którzy mieli władzę, nazwisko rycerskie, niepokalane, nadane z miłości i przyjęte z potrzeby

serca, a z za mgieł wieków promienieje to trzecie, ukryte, książęce, którego ojciec wasz użył raz jeden tylko w życiu, na okładce tej książki.

W małej, nędznej mieścinie, by nikomu nie przeszkadzać i nikomu nie zabierać miejsca, gdzie wprawdzie wegetował sąd w budynku szarym i brudnym, ale od lat nie było adwokata, postanowiłem otworzyć moją kancelarję adwokacką.

Wynająwszy tedy lokal biurowy, umieściłem się narazie w jednym z pokoi z matką, którą zabrałem ze sobą dla prowadzenia gospodarstwa, zaś żona z dziećmi wyczekiwała w willi mego przyjaciela stosownej chwili do podążenia za mną, gdy znajdę tylko odpowiednie mieszkanie, o które było bardzo trudno.

Kiedy po raz pierwszy wstąpiłem do gmachu sądowego, by zapoznać się z jedynym na miejscu sędzią, zobaczyłem szczupłego, małego człowieka, ledwie widocznego za okrytym zielonem suknem stołem, o twarzy przeżytej i zwiędłej.

Spojrzał na mnie z melancholijnym uśmiechem politowania i zapytał, czy praktyka przy jego sądzie nie będzie dla mnie zbyt drobna, bo okolica uboga, a miasteczko, liczące 3 000 mieszkańców, przeważnie małorolnych, półchłopów, półmieszczan, wogóle nie zdaje się wchodzić w rachubę.

Nie tailem w odpowiedzi, że życie nauczyło mnie poprzestawania na małym, że szukam przede wszystkim spokoju i wytchnienia, a skromna praktyka na prowincji, da mi w każdym razie możliwość egzystencji i jakich takich oszczędności na starość.

— Niech pan próbuje — rzekł z filozoficznym uśmiechem stary pan, kiwając z niedowierzaniem małą główką, pokrytą włosem jakgdyby siwym, a jednak niezdecydowanej barwy i podał mi swą drobną, wąską rękę na pożegnanie.

Jakoż popróbowalem, i nie mogłem się uskarżać.

Praktyka zapowiadała się nieźle, zwłaszcza, że zatrudniając tylko jedną stenotypistkę, nie miałem zbyt wielkich wydatków, a bliskość miasta, gdzie byłem ongi nieszczęsnym sekretarzem samorządu, a gdzie mieścił się sąd okręgowy, dozwalała na przyjmowanie spraw także i przed forum tegoż sądu, co ożywiało praktykę prowincjonalną. Już po czterech miesiącach sprowadziłem rodzinę, znalazłszy w pobliżu biura mieszkanie, wprawdzie bez wszelkich wygód, ale słoneczne i dobre.

Mimo wszystko, dla pokrycia pierwszych wydatków, nie obeszło się bez sprzedaży gospodarstwa mego, co uczyniłem z niemałym żalem.

Atawistyczny sen o folwarczku zacisznym — prześnił się.

Trzeba było złożyć go w ofierze w prozaicznej walce, o kawałek powszedniego chleba.

Stary sędzia lubił samotność i książki. Mając za sobą młodość pełną szalów i użycia — z czem się nie tał — a ożeniwszy się dopiero po pięćdziesiątce z gadatliwą i pospolitą, w stosunku do niego, wdową — nie tyle z potrzeby serca, ile dla pielęgnacji i kuchni — przepędzał ze mną długie godziny na pogawędkach, przyczem moja otwartość charakteru pozwoliła mu bez trudu zajrzeć w głąb mego serca, gdy jego abstrakcyjne wywody dały mi jedynie możność podziwiania niezaprzeżonej erudycji.

Pan sędzia był miłośnikiem i znawcą historii i heraldyki, i tak jak z bezwzględnym cynizmem odnosił się do kwestji religijnych, mnie drogich i ważnych, tak z drugiej strony był chodzącą encyklopedją dziejów swego narodu, uważając jednak jako jego członków tylko tych, którzy jak on, poszczycić się mogli galerją przodków świętych, utytułowanych, lub conajmniej herbowych.

Wszyscy inni zaś byli w oczach jego szarem spóółstwem, które życzliwie tolerował, a na które patrzył z uśmiechem ironicznego podziwu.

Umiłowania jego, gloryfikujące rasę własną i kult tradycji, rozumiałem o tyle, o ile sam ulegałem tymże szlachetnym uczuciom.

Bagatelizująca wyniosłość jednak, z którą odnosił się do skromnego otoczenia, była mi przykra.

Wysłuchując się nieraz, z niekłamanem zresztą zainteresowaniem w jego heraldyczno-historyczne

wywody, dowiadywałem się ciekawych szczegółów o całym szeregu rodów znakomitych, pełnych wysokiej kultury, męstwa i słynnych z bogactw doczesnych.

Jak po kwaśnem jabłku krzywił się jednak stary sędzia, gdy przyszło mu wspomnieć o rodzinach wysoko postawionych, których protoplastami byli nawróceni na chrystjanizm, Żydzi.

A że z pełności serca mówią usta, w szczególności moje, poczułem się w swoim żywiole i nie uchylając na razie własnej przyłbicy, pozwoliłem sobie na wysunięcie pewnej koncepcji, zaczerpniętej z praktyki i obserwacji:

— Panie sędzio — rzekłem — Żydzi, którzy z biegiem wieków nawracali się ku swemu Mesjaszowi — popełniali zdaniem mojem jeden zasadniczy błąd, że z przyjęciem chrztu, zaliczali się do tej narodowości, wśród której go otrzymali...

Pan sędzia zerknął wielce podejrzliwie, węsząc zapewne neofityzm w mej osobie, co nie przeszkadzało mi należycie rozwinąć przed nim, poruszonej co dopiero myśli.

— Bo proszę tylko zważyć — dowodziłem konsekwentnie dalej — że ci sami Żydzi, w swych długich kaftanach, z brodami patryarchów, którzy chyląc skroń u chrzcielnicy Kościoła, nie przystrzygliby bród, nie zamienili powłóczystych szat tułactwa na barwne, złociste stroje otaczających narodów, a zawiesiliby poprostu tylko na szyi krzyż i wzywali nadal Pana, Boga swego językiem, którym On niegdyś do przodków ich

przemawiał, tworzyliby typy czcigodne, szanowne, nawiązałyby do własnej tradycji pięknej i szczytnej, a tak, mimo upływu wieków wytykają im narody, w które chcieli wsiąknąć, śmieszności i niedociągnięcia, zawstydzając ich nadto wspomnieniem upośledzonych protoplastów.

Wspólność wyznania i współżycie z otaczającymi narodami, nie wykluczałoby związków małżeńskich, a co zatem idzie możliwości, acz nie konieczności, asymilacji, lecz na prawach równych z równymi, nie zaś przybłędów, ukrywających wstydliwie pochodzenie swoje.

— Więc pan poprostu domagałby się osobnego rytuału, że tak powiem judejsko-katolickiego, dla wychrzczonych Żydów — przerwał pan sędzia niemile zaskoczony.

Niezupełnie, ale coś w tym rodzaju — odparłem.

Katolickość, czyli Powszechność Kościoła, nie pozwala wbrew tradycji tworzyć jakichś nowych rytuałów, tego też nie żądam. Ale Święty Paweł-Apostoł, który był dla Żydów Żydem, dla Greków Grekiem, dla Rzymian Rzymianinem, a miał Ducha Bożego — jak czytamy w odnośnym jego liście, przekazał właśnie Kościołowi naszemu, mimo Powszechności, pewną w tym kierunku wskazówkę, że jeśli chodzi o zbawienie Żydów, niekoniecznie muszą stać się Rzymianami, względnie jakimkolwiek innym narodem.

Pan, sędzio, jako miłośnik przeszłości swego narodu, powinienes podwójnie dobrze zrozumieć to, co mówię w tej chwili.

Ale nawiązując do rytuału: Jest, jest już taki w Kościele Katolickim, i nowego tworzyć nie wolno i nie trzeba:

Obrządek Melchicko-Chaldejski..

Wchodzi on w skład obrządków Kościoła naszego, podobnie jak Grecko-Katolicki, Ormiańsko-Katolicki i inne.

Żyje w jedności z Stolicą Piotrową i oparty jest o powagę tradycji.

Gdy kapłan tego obrządku, przybywszy z Armenji, w odwiedziny do jednego z znajomych moich proboszczów, pokazał się na ulicach małego miasteczka w długiej, czarnej szacie, z brodą, wąsem i semickimi rysami twarzy, uważano go powszechnie za Żyda w kaftanie, który co dopiero opuścił ghetto.

Aż tu zobaczono go nagle w kościele, odprawiającego Mszę świętą, w żółtym, wschodnim, powłóczystym ornacie, z książki, której litery biegły od prawej ku lewej w języku aramejskim.

A jest to ten sam język, którego za czasów Chrystusowych używali jako mowy codziennej Żydzi palestyńscy, gdy język hebrajski był tylko liturgicznym.

Widzi pan, sędzio, że nie domagam się żadnych nowych judeo-katolickich rytuałów, a mam na myśli już istniejący i katolicki..

Nieufnie kręcił głową uroczysty pan sędzia, a jego wysoki, twardy kołnierzyk stawał mu się coraz niewygodniejszym.

Od sędziwego, bo ośmdziesiątsiedm lat liczącego dziadka mego, (z ojcowskiej strony), otrzymałem znamienny list.

Starzec był niespokojny i zapytywał, czy czego nie zbroilem, bo do magistratu jego miasta, wpłynęło od władz miasteczka mego pobytu, poufne zapytanie, czy i od kiedy jestem chrześcijaninem, czy z żoną moją łączę mnie ślub kościelny i t. p.

Dziadek mój, który od czterdziestu z górą lat był radnym miejskim, asesorem i honorowym dyrektorem miejskiej kasy oszczędności — przypadkiem o tem się dowiedział.

Przyzwyczajony do ciągów moralnych, zacząłem się sam uśmiechać do swej dziwnej doli, a że jedynym człowiekiem, z którym utrzymywałem stosunki towarzyskie w małej mieścinie, był sędzia, więc komu tu było się zwierzyć z tych rzeczy, jeśli nie jemu, co też uczyniłem.

Nieufność moich współobywateli była tak wielka, że widząc mnie nader często z rodziną u stóp ołtarza swego samotnego kościółka, wątpili jeszcze w mój chrystjanizm i węzły małżeńskie, a w zaślepieniu rozbudzonej przez kogoś nienawiści rasowej — bo inaczej tego chyba nazwać nie można, nie dostrzegli, że łatwiej było o in-

formacje w powyższym kierunku w prezydjum pobliskiego okręgowego sądu, gdzie przedtem odbywałem służbę, a gdzie wszystkie dokumenta personalne były złożone.

Oдноśny magistrat, w którym tak wielki wpływ miał dziadek mój, mógł oczywiście dać tylko taką odpowiedź, która, nie odbiegając od prawdy, nie szkodziłaby mi w niczyich oczach.

Oczywista rzecz, że im bardziej począłem schodzić z drogi dostojnikom miasteczka, tem częściej za to, w szarym, posępnym kościele miejscowym, przed Utajonym szukałem pokrzepienia.

I znajdowałem je.

W miasteczku aż nadto spokojnem i cichem, zrobił się pewnego dnia, a może lepiej powie-
dziawszy, wieczora, niezwykły ruch.

Przyjechał z odczytem sekretarz „Stowarzy-
szenia walki z Żydostwem“.

W całym miasteczku było trzech starych Żydów, uprawiających żebraczy handel, a na-
wiasem mówiąc, przymierających głodem.

Nie mogłem zrozumieć, kogo chciał wywo-
dami swymi przygwoździć i zdruzgotać ów pan,
o marsowym wyglądzie i sumiastym wąsie, który
referat swój zakończył tak sutą libacją, połączoną
z nadmiernem użyciem alkoholu, że musiano go
do stacji kolejowej odstawić powózką, na którą
trzeba było wpakować go gwałtem.

Wywody zaś jego, były ujęte w stereotypową brukową broszurkę, którą umiał prelegent już prawie na pamięć, kojarzącą w jakiś dziwny sposób niechrześcijańską wprost i fanatyczną nienawiść rasową, z mdlą, papierową, nieszczerą dewocją, co razem wzięwszy posunięte było do tego stopnia cynizmu, że na dowód podłości żydowskiej rasy i jej niecnego sposobu myślenia, posługiwał się prelegent cytatami z ksiąg Starego Zakonu, świętych również i dla każdego chrześcijanina.

Nie mogłem zrozumieć, jaki cel miał mieć odczyt rzeczony w naszym miasteczku, ale już w kilka dni później dowiedziałem się: Wymierzono go przeciw mnie....

List, który „Stowarzyszenie walki z żydostwem“ nadesłało na moje ręce, brzmiał mniej więcej następująco:

Doniesiono nam, że jesteś pan żydowskiego pochodzenia: Nie dajemy temu wiary, znając dotychczasowy żywy udział pański w pracach chrześcijańsko-społecznych.

Prosimy przeto, dnia tego i tego, stać się u nas z dokumentami, stwierdzającymi bezpodstawność rozsiewanych o panu wieści — —

Trzeba było nic nie odpowiadać na pismo prywatnej instytucji, która bezprawnie wyznacza-

ła mi jakieś inkwizycyjne terminu przesłuchań, trzeba było...

Ale stało się inaczej. Zabrałem dokumenta moje, świadczące, że ojciec mój chrześcijaninem zmarł, a ja nim od lat chłopięcych byłem, i udałem się do pobliskiego miasta do lokalu towarzystwa na termin wyznaczony.

Zrobiłem źle, ale mniejsza o to.

Stanąwszy przed marsowym sekretarzem, który urząd swój pełnił nie honorowo przypadkiem, ale jako płatny funkcjonariusz, stwierdzić musiałem na wstępie nietylko fakt, że zalatywała od niego woń alkoholu, którym był podchmielony, ale że pocziwiec nie wie wogóle o co chodzi.

Zjawił się jednak sam prezes towarzystwa, nawet lekarz z zawodu.

W tej chwili, oświecony mimowiednie jakimś wnętrznym głosem, ozwałem się:

— Panie prezesie, zanim przedłożę mu papiery dotyczące mych spraw ściśle osobistych, pozwolę sobie postawić jedno małe pytanie.

— Proszę. —

— Czy szanowne towarzystwo pańskie stoi na stanowisku, że Żydom nie wolno wchodzić do Kościoła Chrystusowego, że chrztu należy im odmówić, a tych, którzy mimo to uzyskają go — szykanować?

Nastąpiła chwila przykrego milczenia, przerywana czkawką płatnego sekretarza.

— Jeśli bowiem tak jest — ciągnąłem dalej — nie wolno mi, jako katolikowi, wogóle z panami

się zadawać, gdyż głosilibyście naukę sprzeczną z Nauką mego Kościoła, poprostu mówiąc: herezję...

Pan prezes usprawiedliwiał się, zapewniał, że jego stowarzyszenie nie chce odsądzać Żydów od prawa chrystjanizacji, że jednak śledzi neofitów, czy nawrócenie ich było szczere, czy nie pozostali w duchu wierni zasadom Talmudu.

— Jakież wążpliwości zatem nastęrcza panom moja osoba? — zapytałem.

Pan prezes przyznał, że żadnego co do mnie ujemnego materiału towarzystwo jego nie posiada, że poprostu chciało tylko zaprzeczyć pogłoskom o mojem rzekomem żydowskiem pochodzeniu, i uspokoić co do tego opinię publiczną miasteczka mego zamieszkania...

— Panie prezesie, przerwałem, czując, że ton mego głosu brzmi powagą świadomości chwały i bolesnej spuścizny mego pochodzenia, nie przyszedłem po to, aby pana i towarzystwo pańskie w błąd wprowadzić, by taić i zacierać to, co jest dumą moją i zarazem krzepiącą pociechą wśród przeciwności mego bytowania — — Panie prezesie — kończyłem z naciskiem, gdy przed oczyma mej duszy kołysały się niewidzialnie zielone, poszumne gałęzie dębu potężnego w parku mego przyjaciela, — masz pan przed sobą najczystszej krwi Żyda, wywodzącego się po ojcu z książąt, po matce z kapłanów ludu swego, którego ojciec chrześcijaninem umarł, a który sam od lat dziecinnych był wiernym sługą Chrystusowym.

Świadczą o tem dokumenta, które z grzeczności przedkładam panu, i ludzie, którzy mnie i rodzinę moją znają od lat, a są wśród nich najgorliwsi duszpasterze, a nawet Biskupi.

Gdy tedy ja nie chcę i nie myślę zaciemniać pochodzenia mego, którego nie zamienilibym na żadne inne na świecie, rozumiem, że sprawa dla pana wyjaśniona, i opinii miasteczka mego — idąc po linii pańskiego rozumowania — uspokoić nie zdołasz, na czem zresztą mało mi zależy...

Pan prezes nazwał wywody moje oryginalnem, lecz niesłychanem pomieszaniem pojęć, przyczem mrugał znacząco w stronę sekretarza, który pokręcił sumiastego wąsa, uderzył szeroką dłonią w stół, i patrząc we mnie mętными oczyma alkoholika, wykrztusił:

— Nie rozumiem doprawdy, mecenasie, co właściwie jest na rzeczy; jestżeś pan u licha Żydem, czy chrześcijaninem?

Ależ to rzecz jasna — odparłem — i jednym i drugim...

Pan prezes „Towarzystwa walki z Żydstwem“ spoglądał na zegarek, jego płatny sekretarz doznał przykrego ataku czkawki, a ja pakowałem moje dokumenta osobiste z takim słońcem w duszy, jak ktoś, co po długim wędrowaniu, dotarł do prastarego zamku przodków swoich, gdzie otrząsnąwszy z siebie kurzawę gościńców, zasypia na szerokiem, rzeźbionem łożu, czując już przez sen na swem czole zaświatowy pocałunek protoplasty.

„... nie myślcie jako, albo co-
byście mówić mieli; bo wam
będzie dano onej godziny, co-
byście mówili. Albowiem nie
wy jesteście, którzy mówicie,
ale Duch Ojca waszego, który
mówi w was.“

(Ewang. św. Mateusza X, 19, 20).

Gdy ja wobec sędziego byłem zawsze ten sam, otwarty, szczery, nie tający nawet zajścia w lokalu „Towarzystwa walki z Żydostwem“, zauważyłem, że on zaczyna w stosunku do mnie zachowywać się z pewną rezerwą, która powoli przemieniała się wręcz w wrogie stanowisko.

Na marginesie kontrowersji mej w „Towarzystwie walki z Żydostwem“, zauważył złośliwie, że ludzie muszą się bronić przed tymi, którzy przeżarci w młodym wieku naukami Talmudu, wchodzą następnie w szeregi społeczeństw chrześcijańskich.

Nibyto dla formy pocieszał mnie, a jednak tamtych wyraźnie usprawiedliwiał.

Kto zna warunki małomiasteczkowej praktyki adwokackiej, ten łatwo zrozumie, jakie trudności nastroczać może nieprzychylność sędziego wobec jedyne go na miejscu adwokata, zwłaszcza, gdy rzecz ta stanie się publiczną tajemnicą, odstraszącą klientelę, która słusznie obawia się, by w tej nierównej walce nie ucierpiały jej interesy.

Jakoż pan sędzia, który nie trzymał się porządku kolejno na wokandzie wymienionych spraw, wybierał je sobie dowolnie, opuszczając te, w których ja byłem czynny, co miało ten fatalny skutek, że odkładane na koniec, zmuszały mnie do wyczekiwania godzinami na korytarzu, pełnym chłopstwa okolicznego, i zabierało mi drogi czas.

Gdy, licząc na przesunięcie mych spraw na szary koniec, wydalilem się kilkakrotnie do biura, wywoływał — widocznie uwiadomiony o mej nieobecności sędzia — moje sprawy i ferował wyroki zaoczne na niekorzyść moich mandantów. Oczywiście, że odnośne koszta musiały być z mej kieszeni pokryte.

Pominąwszy jednak te okoliczności, wpadł pan sędzia na dowcipny pomysł, mianowicie zezwolił personelowi sądowemu spisywać skargi, umowy, wnioski na własny rachunek, motywując rzecz w ten sposób, że to zmniejszy zakres mej praktyki i spowoduje wyniesienie się z miasteczka.

W prześladowaniu zdawał się sędzia dochodzić do coraz większej doskonałości.

Aby publicznie zdyskredytować mnie przed mało inteligentną publicznością w czasie rozpraw, opuszczał w protokółach sądowych nietylko mój tytuł doktorski, ale i charakter adwokata, w którym stawałem na rozprawach, co było tem przykrejsze, że nieposiadającego żadnych studjów

agenta procesowego, byłego podurzędnika, tytułował na równi zemną mecenasem.

Ponieważ rok z górą trwały szykany wymienione i tym podobne, co źle odbijało się na mojem zdrowiu, spokoju i praktyce, ponieważ delikatne perswazje nie pomogły, wszedłem, zmuszony bronić egzystencji mej rodziny, na drogę zażalenia do władz przełożonych.

Niczego nie zataiłem, na wszystko podałem wiarygodnych świadków.

To była dla mego prześladowcy niemiła niespodzianka.

Znając usposobienie moje, łagodne i ustępliwe, zaczął przez osoby trzecie paktować o zgodę.

Byłem do niej zawsze gotów, za cenę zaprzestania szykan.

Sędziwy prezydent okręgowego sądu, bezpośredni przełożony sędziego, zaprosił nas obu na pojednawczą konferencję.

Zacny starzec, który wspólnie zemną zasiadał w Kongregacji Marjańskiej, nie znając całej perfidji podwładnego mu sędziego, zaczął prosić mnie, jako człowieka znanego mu dobrze z uczuć nawskróś chrześcijańskich, bym wybaczył sędziemu i sprawę polubownie zlikwidował.

Tkwiący głęboko w mem sercu siew księdza katechety, wypukiwał w każdym tętnie żądze przebaczeń i zapomnienia:

„Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom“...

Nie zawahałem się ani przez chwilę. Zgodziłem się na potraktowanie sprawy jako załatwionej.

Ponieważ dalsze szczegóły porozumienia mieliśmy umówić z sędzią w miejscu naszego urzędowania, udałem się do jego biura po powrocie z sądu okręgowego.

Na ustach starego cynika zaigrał ironiczny uśmiech.

— Tak — rzekł — ugodziłem się z panem na czas urzędowania obecnego prezesa. Niestety, starowina w najbliższych tygodniach przechodzi w zasłużony stan spoczynku.

Jeżeli jednak zależy panu na trwałej zgodzie między nami, wypisze mi pan oświadczenie, że zażalenia jego przeciw mej osobie zawierały fakta nieprawdziwe.

Inaczej zgody nie będzie. — —

Czułem, że wszystka krew nabiega mi do głowy, że przed oczyma zaczynają mi latać plamy czarno-zielone.

Tęsknie zakwiliła w mojem sercu nuta wędrowniań i wygnania, kojarząc się w atawistyczną pieśń ucieczki, exodu, gdzieś, przed czemś...

Zrobiłem wszystko, co było w mej mocy, by wrogowi wybaczyć i z nim się pojednać... Nie udało się. Sumienie miałem spokojne. Spełniłem co domnie należało.

Z bezwzględną świadomością, że nigdy już z człowiekiem tym się nie zetknę, opuściłem bez

słowa gmach sądu, by w niedługim czasie przenieść biuro do niewiększego, sąsiedniego miasteczka.

Skorzystał z tego pan sędzia, i rezygnując z swego stanowiska, osiadł jako adwokat na mojem miejscu.

Może nawet do tego dążył...

Panie sędzio, obecnie kolego mój, wybaczam ci z całego serca raz jeszcze, i życzę w praktyce adwokackiej, którą po mnie objąłeś dużo powodzenia i szczęścia.

Na prawdę...

„Przykazanie nowe daję wam, abyście się społecznie miłowali, jakom was umiłowiał, abyście się i wy spolem miłowali.

Po tem poznają wszyscy, żeście uczniami mojemu, jeśli miłość mieć będziecie jeden ku drugiemu.“

(Ewang. św. Jana XIII, 34, 35).

Pozdrowione bądź ciche miasteczko na wysokiej górze, najeżone wieżami starych kościołów, z rynkiem okolonym kamienicami białymi, tworzącemi z daleka piękny wian na skroni twojej, z pocziwą garstką mieszkańców i młodym sędzią, urzędującym z godnością w czerwonym, sądowym gmachu, z którego wspaniały widok roztacza się na okoliczne wioski. Żyjąc wśród

twoich wyniosłych murów, w zupełnem odosobnieniu, oddany sprawom mego zawodu i myślom ogółowi niedostępnym, zacząłem tu z wysoka patrzeć na sprawy, które dotąd przeżywałem, pod kątem widzenia Ewangelji i Wieczności.

Wydały mi się śmieszne, błahe, lecz pouczające i potrzebne zarazem.

A jakiś głos wewnętrzny wołał na mnie: Pisz... „Napisz, iż te słowa bardzo wierne są i prawdziwe“...

I tak to zaczęła powstawać niniejsza książka...

Prócz Kongregacji Marjańskiej, do której od lat dawnych należałem, a której współzałożycielem i pierwszym sekretarzem byłem w mieście owem, gdzie odbywałem praktykę sądową, nie należałem do żadnych stowarzyszeń.

Nie było na to czasu, a doświadczeniem bogaty, nie miałem ochoty do wciskania się, choćby w najlepszej intencji tam, gdzie można natknąć na nowe nieprzyjemności.

Było jednak mimo wszystko, jedno takie stowarzyszenie, dokąd wpisano mnie bez mojej wiedzy i woli:

Stowarzyszenie oficerów rezerwy.

Gdy zakładano je w miasteczku mego poprzedniego pobytu, telefonowano do mnie, że oczywiście nie odmówię współudziału.

Nie miałem powodu do żalu wobec armji i wyraziłem swą zgodę. Odtąd też punktualnie opłacałem przypadające składki.

Zdarzyło się raz, że Towarzystwo to urządziło zabawę, na którą i mnie z rodziną zaproszono.

Żyliśmy zawsze samotnie, pragnąłem jednak w tym wypadku zrobić żonie mojej przyjemność, i zapowiedziałem, że na zabawę tą pójdziemy.

Ucieszyła się bardzo, bo przez całych dziesięć lat naszego małżeństwa, nie korzystaliśmy z żadnych tego rodzaju zaproszeń.

W przeddzień zabawy Zrzeszenia oficerów rezerwy, siedziałem jak zwykle pochylony nad stosem akt procesowych w biurze mojem, gdy nagle zaszczycony zostałem niespodzianymi odwiedzinami:

Pan prezes rzezonego towarzystwa we własnej osobie. Starszy, elegancki pan, pełen powagi i taktu.

Po pierwszych konwencjonalnych wyrazach wzajemnego powitania i szacunku, przymrużył pan major rezerwy swe zmęczone oczy w przykrem zakłopotaniu, i zapewnił mnie, złożywszy potulnie ręce, następującemi słowy o całej posępności swej misji:

— Mecenasiu, wolałbym stokroć mówić panu o mej własnej śmierci, niż to co mam powiedzieć...

Śmiało majorze — zachęcałem. — Nasłuchałem się w życiu dużo miłych i dużo przykrych rzeczy, zatem proszę na bok odrzucić wszelkie skrupuły...

— Panie mecenasie, doktorze, — podjął na nowo mój gość.

— Wiesz pan zapewne, że w tekście naszego statutu pokutuje dotąd takie dziwne postanowienie, iż członkami towarzystwa oficerów rezerwy mogą być tylko chrześcijanie z urodzenia...

Zaczęło mi świtać. —

Domyślałem się, iż „defekt“ mego pochodzenia nastęrcza mi oto nowych trudności.

Że jednak zdołałem przywyknąć do poważniejszych jeszcze, brałem rzecz mniej tragicznie, niż sam mój szanowny rozmówca.

— Co za niemiła misja dla mnie — westchnął pan major rezerwy. — Otóż ja nie wątpię ani na chwilę, że szanowny mecenas pochodzeniem swoim czyni zadość wymogom statutu naszego, że chrześcijaninem się urodził. Ponieważ jednak w łonie towarzystwa pewna wroga panu osobistość podniosła co do tego pewne wątpliwości, więc z racji mego urzędu...

Ależ to poprostu kapitalne! — przerwałem z nietajoną radością. —

Świetne! Pan sam nie wiesz, majorze, że nie jesteś już w moich oczach żywą osobą, lecz tworzysz grupę czcionek, które lada dzień odbiją się na pięknej karcie białego papieru książki, nad którą pracuję!

Pan major szeroko otworzył oczy i uśmiechał się uprzejmie, nie mogąc zrozumieć przyczyny mego zadowolenia.

Zapewniam pana, — zawołałem — że nie mogłem zrobić mi większej przyjemności, oraz przysługi, jak przychodząc do mnie w tak — powiedzmy — delikatnej misji.

To już nie biuro, majorze, to karta papieru. Posuwasz się po niej w oczach autora i wypowiadasz rzeczy doskonałe! — —

Serdeczny, szczerzy śmiech mój, jeszcze bardziej stropił prezesa.

Po pierwsze — zacząłem poważniejąc — wpisaliście mnie sami na listę swych członków. Nie mogłem odmówić, ale nie pchałem się.

Widział-żeś mnie kiedy, majorze, na jednym choćby posiedzeniu waszem? Znając statut, nie mogłem uczęszczać na posiedzenia, a znając was, nie mogłem z Towarzystwa wystąpić. Z drugiej strony stwierdzam z całą godnością, że owa wroga mi osobistość ma tym razem zupełną rację.

Członkostwo moje w waszem Towarzystwie, obraża cytowany przez pana przepis statutu: Jestem bowiem chrześcijaninem z własnego przekonania i wyboru, nie zaś z urodzenia.

Siedzi przed tobą, majorze, najautentyczniejszy Żyd, który nawet ma przyjemność wywodzić się po ojcu z książąt, po matce z kapłanów żydowskich.

Ponieważ jako prawnik, biorę rzeczy ściśle, przyjm panie majorze, uwiadomienie o bezwłocznem mojem wystąpieniu z waszego Towarzystwa, a równocześnie zaproszenie na obiad, w dowód, że sprawiłeś mi prawdziwą satysfakcję.

Rozmowa nasza dzisiejsza będzie nadto — jak już wspomniałem — uwieczniona w specjalnej książeczce, nad którą w wolnych od zajęć chwilach, pracuję z całym zapalem.

Na miły Bóg! — przerwał mi pan major — przecież nie paszkwile złośliwe...

Nie prezesie! Książka moja będzie poważna, smutna i podająca jedynie fakty prawdziwe...

Z całą pogodą i serdecznością wyciągam ku tobie przyjacielską dłoń, kochany majorze.

Jak widzisz — dotrzymałem słowa.

Z drugiej strony, żal mi tylko było żony mej, której mimo wszystko nie podałem prawdziwej przyczyny niepójścia na zabawę Towarzystwa oficerów rezerwy.

Ale dobrze się stało. Nie złamaliśmy praktykowanej dziesięć lat zasady, siedzimy w domu i nie udzielamy się nigdzie.

A to także wiele warte.

„I rzekł do uczniów swoich:
Nie podobna jest, aby zgorszenia przyjść nie miały, lecz biada temu, przez kogo przychodzą.

Pożyteczniej mu jest, gdyby młyński kamień zawieszono na szyi jego i wrzucono go w morze, niżliby miał zgorszyć jednego z tych malutkich.“

(Ewang. św. Łukasza XVII, 1, 2).

W osmdziesiątą dziewiątą rocznicę urodzin dziadka, przesłałem mu piękne wydanie Nowego Testamentu, z gorącą prośbą, by, przeczytawszy choćby jedną Ewangelję, zechciał napisać mi, jakie nasunęła mu myśli.

Niebawem otrzymałem odpowiedź, zawierającą, obok podziękowania za książkę, następujące uwagi:

— Jakkolwiek tendencje szlachetne Chrystjanizmu nie były mi obce dotąd, czytałem z prawdziwym zadowoleniem niezrównane strofy nauk ewangelicznych i dziejów Ukrzyżowanego. Nie mogę jednak nie nadmienić, że gdyby chrześcijaństwo zastosowało te piękne nauki w praktyce codziennej, w życiu, gdyby je zastosowało także w odniesieniu do Żydów, nie byłoby już ani jednego Żyda, pozostającego poza Kościołem Chrystusowym. Niestety, chrześcijaństwo z małymi wyjątkami odbiega mocno od wzniosłych nauk swego Mistrza. — Dlatego nie wypada nic innego, jak zostać tem, czem jestem...

Odpowiedź dziadka była mi bolesnym ciosem. W głębi duszy bowiem spodziewałem się, czekałem jego nawrócenia. To też wybierałem się doń, by ustnie — z serca do serca — wystąpić przed nim z Dobrą Nowiną.

Niestety, nie zdołałem zamysłów moich wykonać.

W niespełna tydzień po napisaniu listu do mnie — pismem, świadczącym, że ręka jego nie drżała jeszcze, zmarł dziadek mój.

Podobno do ostatniej chwili mówił o mnie z największą tkliwością, i oczekiwał mego przyjazdu.

Wśród szeregu lamp ulicznych, osłoniętych kirem, w powodzi wieńców i kwiatów, posuwał się jego kondukt żałobny ku wrotom żydowskiego cmentarza.

Reprezentanci władz państwowych i miejskich, wojsko, duchowieństwo wszystkich wyznań i nieprzebite tłumy publiczności, odprowadzały uczciwego człowieka na miejsce wiecznego spoczynku.

Za duszę jego postanowiła gmina żydowska jego miasta, odprawiać wieczyste modły, który to zaszczyt nie każdemu w udziale przypada.

Zaś na ścianie rzymsko-katolickiej katedry, w tem samym mieście, widnieje po wsze czasy wspaniały relief, ufundowany niedawno, przedstawiający wjazd jednego z królów tej ziemi — przed wiekami — z orszakiem pysznym, w mury grodu. Wita króla Biskup, na czele mieszczanstwa. A kunsztem rzeźbiarskim nadano Biskupowi i mieszczanom twarze osób współczesnych, zasłużonych wobec miasta.

Tedy tuż przy Biskupie, stoi patrycjusz w sukni powłóczystej, któremu Pasterz — wyciągawszy ręce do króla — pozwolił potrzymać swój pastorał.

Patrycjusz ów, chyłący z godnością swą siwą głowę przed królem, ma postawę i lice dziadka mego...

W pewnym kraju — stanął przed sądem człowiek, oskarżony o zniewagę ojczystej ziemi, popełnioną drukiem: Napisał książkę z najczystszych pobudek i z żalu nad politycznym upadkiem ojczyzny swojej, za co przyszło mu odpowiadać sądownie. Nie znam dotąd treści tej książki. Wiem tylko, że baron H. zaatakowany został przez prokuratora w ten sposób, iż odsądzono go od prawa przemawiania publicznego, a zatem w formie książki, imieniem narodu, wśród którego żyli i umierali ojcowie jego, wśród którego on się urodził i do którego się przyznawał, dlatego, że jak twierdził zastępca oskarżenia publicznego „nie wiadomo od kiedy baron H. jest chrześcijaninem, gdyż z dawniejszych dokumentów wynika, że był religii mojżeszowej. Człowiek żydowskiego pochodzenia — kończył prokurator — niema prawa przemawiać imieniem narodu, który udzielił mu jedynie gościny“...

Baron H. tłumaczył się ze łzami w oczach, że od lat dziecinnych czuje się częścią narodu, który go oskarża, jego sługą i krzewicielem piękna jego mowy w licznych pracach literackich.

Co do wyznania swego, przyznawał się w dalszym ciągu do religii katolickiej, która jest wiarą jego i jego dzieci.

Baron H. zasądzony został na cztery lata więzienia i wielką karę pieniężną.

Zasądzony wysłuchał wyroku, wybuchając głuchem łkaniem.

Gdy wyprowadzono go z sali rozpraw, dwie piękne kobiety rzuciły mu się na szyję: żona i córka.

Baron H. przycisnął je do serca, tworząc z niemi grupę rozpacz i bólu.

Panie baronie, zapomniałeś, że pochodzisz z tragicznego ludu o troistej ojczyźnie...

Gdy pierwsza z nich, ojczyzna, w której urodziłeś się ty i ukochana córka twoja, gdzie rodzili się i marli przez długie wieki przodkowie twoi, wspominała i kwiliła w tobie tak serdecznie na obczyźnie, że ośpiewałaś niedolę jej w książce osobnej, aż spotkało cię więzienie i kara, zwróćże teraz umęczone oczy po przez ponure kraty więzienne także ku tej drugiej ojczyźnie, tęskniącej w tobie, ku onemu Wiecznemu Jeruzalem, co zstąpi kiedyś od Boga na ziemię, które brat nasz wedle krwi i wiary Jan święty, Apostoł, obaczył w widzeniu na wyspie Patmos, a którą odziedziczył „kto zwycięży“...

Tam „śmierci dalej nie będzie, ani smutku, ani krzyku, ani boleści więcej nie będzie, iż pierwsze rzeczy przeminęły“...

A kiedy napasiesz krasą tej drugiej ojczyzny i wzrok i duszę, znajdź wreszcie chwilę dla rozmyślań nad tą trzecią ojczyzną, która w tobie

płacze, nad ojczyzną relikwji i pamiątek, nad starem Jeruzalem w gruzach i upadku, nad którym płakał niegdyś i które miłował Pan nasz, Jezus Chrystus.

Może myśląc, a co ważniejsza, pisząc o tych dwu innych ojczyznach ludu Izraelskiego, doznasz lepszego zrozumienia, lepszej nagrody, niż za ośpiewanie pierwszej...

Pokój z tobą.

Młody sędzia w mem miasteczku przesłuchiwał dziś przestępcę.

Krępy, barczysty, lat dwadzieściakilka liczący mężczyzna, na którego niskiem czole zbrodnia wycisnęła swe szatańskie piętno, utkwivszy wzrok ponury w twarzy sędziego, nie zaprzeczał, że nocą, z rewolwerem w rękę wtargnął do mieszkania pewnego kupca, w odległej wiosce, żądając pieniędzy.

— Poczuwacie się zatem do winy, w kierunku zarzuconego wam rozboju? — pyta sędzia.

Opryszek potrząsnął przecząco głową, zaczem butnie zadarłszy ją w górę, odparł:

Do żadnej winy się nie poczuwam.

Sędzia w długim wywodzie, wyjaśnia bandycie kwalifikację popełnionego przezeń czynu, cytuje przepisy ustawy, nawet komentarze.

Przestępca uśmiecha się z niedowierzaniem.

— Jaktó- — niecierpliwi się sędzia. — Przyznajecie, że nocą, mając w ręku nabity rewolwer, wtargnęliście do zamkniętego mieszkania kupca, wylamawszy drzwi, gdzie żądaliście pieniędzy, a nie poczuwacie się mimo to do winy w kierunku przestępstwa, którego znamiona jasne są jak na dłoni? Nie pozbawiajcież się sami okoliczności łagodzących!

— Ależ, panie sędzio, tłumaczy się kłopotliwie opryszek, panie sędzio, proszę zajrzeć dokładniej w akta sprawy. Jakże ja mam się poczuwać do winy? Przecież to był Żyd!

Ledwie dostrzegalny grymas przebiegł po twarzy sędziego. Nareszcie zrozumiał.

W stolicy sąsiedniego powiatu ukazało się nowe czasopismo, którego pierwszy okazowy egzemplarz mi nadesłano.

Zaraz w artykule wstępnym jako wyznanie wiary umieściła redakcja oświadczenie: „Kochamy ojczyznę, a nienawidzimy Żydów. Stoimy niezłomnie pod sztandarem Kościoła Katolickiego“.

Czyż nienawiść do Żydów jest koniecznym warunkiem miłości ojczyzny? Czy nienawiść można wogóle pogodzić z Nauką Kościoła Katolickiego i Boskiego Mistrza z Nazaret?

A jednak wielu mieszkańców miasteczka mego nie zauważyło i może ujrawszy nie rozumie treści tych dwu napisów, które stary proboszcz

odnawiając odwieczny poklasztorny kościół umieścić kazał po obu stronach nawy na ścianach wewnątrz świątyni:

„Kto miłuje brata swego w światłości mieszka....“

„..... Kto nienawidzi brata swego, w ciemnościach jest i w ciemnościach chodzi.....“ (List I. św. Jana r. II. 10, 11).

Smutno mi, bo czuję, że książka moja dobiega końca. Pisanie jej było mi dużą pociechą w odosobnieniu i samotności. Nie wiem nawet co zrobię, gdy ją ukończę, a zdaje mi się, że ani ciągu dalszego, ani innych śpiewów duszy mojej już nie będzie. Czuję też, że gdyby manuskrypt zaginął, nie byłbym w stanie napisać go po raz drugi, bo jak raz tylko przeżywałem to wszystko, tak raz mogłem opisać.

Na coś przeciwnego nie pozwoliłoby serce.

Książka moja, gdy wyjdzie drukiem, będzie mi nieodstępnym towarzyszem. Żyjąc, starzejąc się, będę równocześnie ustawicznie w jej kartach doszukiwał się przeszłości minionej, jak niegdyś, gdy odjeżdżając z wojskiem z miasta śmierci ojca mego, spoglądałem w zwierciadło, bym myślał że wracam...

Książeczka moja uświęcała mnie, gdy nad nią pracowałem.

Zyla wemnie, a ja w niej. Dźwigała mnie ku górze. Pisałem ją w poczuciu spełnianej misji, przez Ojca Jana mi przepowiedzianej.

Lada dzień, drogi Ojczy Janie, otrzymasz egzemplarz. Jesteś jego duchowym współautorem.

Z uroczystem sercem przystąpiłem do pisania tej książki:

Odpuszczenia grzechów udzielił mi kapłan w konfesjonale, a potem nakarmił Ciałem i Krwią Pańską.

Przyszedłszy do domu z kościoła, usiadłem nad foljalami białego, przeznaczonego do pisania papieru, i zakreśliłem nad nim znak Krzyża świętego.

Następnie zacząłem pisać.

Było to około Wigilji Bożego Narodzenia roku Pańskiego 1927, w szary, zimowy dzień, a dziś mamy już miesiąc lipiec 1928 roku, gdy kończę dziełko moje.

Jest upalnie, słonecznie, radośnie, a wczoraj szalał nad ziemią orkan, który zrywał dachy, obalał stuletnie drzewa i ludźmi rzucał jak piłką.

Wczoraj. A dziś świeci słońce i wszystko minęło.

Nad duszą moją przeszedł orkan.

Odczytywałem czasami różnym ludziom karty książki mojej.

Ci, którzy byli mego pochodzenia, zalewali się łzami.

Ci, w których była choć kropelka krwi, identycznej z moją, — płakali.

Wszyscy inni, którzy mieli serce, byli wzruszeni.

Stenotypistka, której powierzyłem przepisywanie manuskryptu, długo nie mogła pojąć, dlaczego słowo „Żyd“ piszę wielką literą na początku...

Zdołałem jej jednak wytłumaczyć z czasem, że wyraz ten oznacza coś więcej, niż wyznanie, że nie pokrywa się z pojęciem wyrazu „mahometanin“, „buddysta“ itp., że oznacza przede wszystkim część ludzkości, tej samej kości i krwi...

Zrozumiała powoli i zaczęła patrzeć na mnie, jak na egzotycznego księcia ze Wschodu.

A może przedtem namnie i mnie podobnych, patrzyła inaczej.

Artysta malarz, który miał wykonać projekt okładki, w mig mnie zrozumiał.

Mówiłem mu tylko o motywie żydowskiej chusty modlitwnej, białej w czarne pasy, z kołnierzem srebrzystym, o krzyżu z napisem: „Jesus Nasarenus Rex Judeorum“ w języku hebrajskim, greckim i łacińskim...

Myślałem o okładce, wykonanej z ewangeliczną prostotą.

Ale pocziwy malarz zapatrzył się w dal, i niewidzialnymi rękoma duszy swej, do tego co powiedziałem, dorysował jeszcze Pana naszego, Jezusa Chrystusa, który litosne ręce wyciąga ku wędrownemu synowi Swego ludu...

Zaś ręce tego tułacza, zdają się cały ból i tęsknotę roproszenia i upadku — wraz z ofiarą krwawych łez — nieść Odkupicielowi, Mesjaszowi Izraelskiemu, gdy w dali majaczeją krzyże Golgoty.

Tak miała wyglądać okładka. Zdecydowałem się jednak następnie zaniechać wszelkich ozdób.

Nie miej mi tego za złe, artysto...

Jeden z nielicznych przyjaciół moich, proboszcz katolicki małego miasteczka, któremu nie bronilem zapoznania się z tekstem mego manuskryptu, ilekroć tylko była ku temu sposobność, zauważył raz z pewnem wahaniem, czy czasami książka moja nie wywrze wręcz przeciwnego skutku, aniżeli myślał jej autor, to jest czy zamiast przyciągać, nie będzie odpychała Żydów, od Kościoła Chrystusowego.

Zanim zdołałem odpowiedzieć, padł wzrok mój przez okno parterowej plebanji na stary cmentarzyk, okalający kościół.

Zaledwie wąski wjazd oddzielał mur cmentarny od budynku parafjalnego, a ponad ten mur niski i ochwiany, wystawały jak groźne memento trzy smukłe nagrobki kapłanów, którzy byli niegdyś poprzednikami w urzędzie mego przyjaciela.

— Księżę proboszczu — odrzekłem z oczyma utkwionemi w owe nagrobki, na które księżyc

zaczął kłaść pierwsze, srebrzyste pocałunki — czy idąc codzień do kościoła, by pełnić swój urząd kapłański, zrażony jesteś w jakikolwiek sposób do wzniesłego twego powołania, widokiem tych grobów?

Żadną miarą — wyjaśnił żywo ksiądz. — Te nagrobki są dla mnie przypomnieniem znikomości spraw tego świata, nawołują mnie potężnem milczeniem do modlitwy i pracy, ukazują życie ziemskie jako wędrówkę, jako bój dla zdobycia Królestwa Niebieskiego, w której to walce przodowali mi ci, spoczywający w mogiłach poprzednicy moi...

— Takiej odpowiedzi spodziewałem się i w niej tkwi również poniekąd wyjaśnienie wątpliwości twoich, księże, co do skutków mej książki — odrzekłem.

A gdy za oknem zielone gałęzie drzew rozpoczęły swój szum tajemniczy, (mając, niewiadomo czemu, przed oczyma duszy ów prastary dąb w parku mego przyjaciela), dodałem:

Lud Żydowski zna i rozumie pewną głęboką, tajemną naukę, którą nazwałbym Nauką Cierpienia...

Spójrz, księże, na pochyloną postać Żyda, który w długim, wytartym kaftanie, przewija się — usuwając pokornie przechodniom — po ulicach, z mrówczą wytrwałością i pilnością, by zarobić grosz codzienny dla dzieci swoich.

Czy sądzisz, że on nie czuje wzdargy, jaką darzy go otoczenie, że nie czuje krzywdy i upadku?

Serce żydowskie jest bardzo wrażliwe, czule i przeczuwające...

A jednak on się trzyma, odmawia sobie, kawałkiem chleba z cebulą oszukuje żołądek i goni, i ciuła, i stara się...

A w tej swojej niemal mniszej ascezie, w tem odmawianiu sobie, za czem on goni, po co zbiera?

On wie, że bogactwo jest marnością.

Ale on potrzebuje tego grosza, bo, gdy odpycha i gardzi nim kraj rodzinny, on przez półświadomą tęsknotę za drugą ojczyzną, za wiecznem Jeruzalem świętego Jana, wrywa się ku tej trzeciej, ku Jeruzalem relikwji i pamiątek, by tam odetchnąć szerszej i swobodniej, by tam złożyć kości...

A na to potrzeba mu pieniędzy, do ucieczki, do exodu...

Z tą wrażliwością dziedziczną, musiałby zmarnieć, gdyby nie wiekuista Pieśń o Wybranym Narodzie, co pokutuje w nim, pieszczona przezeń i umiłowana, a potem Sen o Mesjaszu, który przyjdzie i wyzwoli, zaś nakoniec — Nauka Cierpienia.

Nauka Cierpienia, powtarzam, która dozwoliła Abrahamowi podnieść nóż ofiarny na syna swego Izaaka, ciągnąca się czerwoną nicią przez życie kamienowanych Proroków, a wybuchająca płomieniem w Ewangeljach, które w Objawieniu

Bożem, odzwierciedlonem w żydowskiej duszy, znalazły swój początek. Powiedziałbym, że raczej w bólu i rozpaczycy szuka i odnajduje Żyd Boga swego, a nie w dostatku i rozkoszach.

Udowadnia to zresztą na każdej niemal stronie Stary Testament.

Księżę proboszczu, książka moja nie odstraszy, książka moja — da Bóg — przyciągnie...

„I uczynili mężowie Izraelowi złe przed oczyma Pańskimi, który je dał w rękę Madyan przez siedm lat.

I byli bardzo od nich uciśnieni: i poczynili sobie jamy i jaskinie w górach, i miejsca bardzo obronne na odpór.

.....
I poniżony jest bardzo Izrael przed oczyma Madyan.

I wołał do Pana prosząc pomocy przeciw Madyanitom.

Który posłał do nich męża proroka...”

(Księgi Sędziów VI. 1, 2, 6, 7, 8).

„A kto nie bierze krzyża swego, a nie naśladuje mnie, nie jest mnie godzien.”

(Ewang. św. Mateusza X, 38).

Przed laty tłumaczył mi niezapomniany Ojciec Jan, tajemnicę upadku i nawrócenia ludu Izraelskiego, cytując słowa świętego Pawła Apostoła.

A przed tysiącami lat, Mojżesz, wódz mego ludu, wołał doń u progu Ziemi Obiecanej:

„Oto kładę dziś przed oczy wasze błogosławieństwo i przeklęstwo.

Błogosławieństwo: jeśli posłuszni będziecie przykazaniom Pana Boga waszego, które ja wam dziś przykazuję.

Przeklęstwo: jeśli nie będziecie posłuszni mandatom Pana Boga waszego...” (Księgi V Mojż. XI. 26, 27, 28).

Lud mój, niestety, wybrał to drugie: Przekleństwo...

Zaś nieodłącznym od przekleństwa miało być — rozprószenie, pomiędzy wszystkie narody ziemi, „aby szukano krwi wszystkich proroków, którą wylał ten naród od założenia świata:

Od krwi Ablowej aż do krwi Zacharjaszowej, który zginął między ołtarzem a kościołem...” (Ewang. św. Łukasza XI. 50, 51).

Jednak przekleństwo niema być wieczne — jak przed wniknięciem do Chanaan przyrzeka Mojżesz, przewidujący możliwość nawrócenia i pokuty:

„Gdy tedy na cię przyjdą wszystkie mowy, błogosławieństwo albo przeklęstwo, którem przedłożył przed oczy twoje, a ru-

szony żalem serca twego między wszystkimi narody, do których cię rozprószy Pan, Bóg twój:

I nawrócisz się do niego i usłuchasz rozkazania jego, jako ja dziś przykazuję tobie, z synami twemi, ze wszystkiego serca twego, i ze wszystkiej duszy twojej:

Przywróci Pan, Bóg twój poimanie twoje, i zmiłuje się nad tobą, i zbierze cię znowu ze wszystkich narodów, między które cię był pierwej rozprószył. Byś był i na kraje nieba rozprószone, stamtąd cię wyciągnie Pan, Bóg twój:

I weźmie i wprowadzi do ziemi, którą posiadli ojcowie twoi, i otrzymasz ją: a błogosławiąc ci rozmnoży cię w większą liczbę niż byli ojcowie twoi.

Obrzeże Pan, Bóg twój, serce twe i serce nasienia twego, żebyś miłował Pana, Boga twego, ze wszystkiego serca twego i ze wszystkiej dusze twojej, abyś mógł żyć.

A te wszystkie przeklęstwa
obróci na nieprzyjacioły twoje,
i na te, którzy cię nienawidzą
i prześladują.

(Ks. V. Mojż. R. XXX. 1, 2, 3, 4,
5, 6, 7).

I oto nagle zrozumiałem, dlaczego właśnie
mnie tak cudownie wrywał Pan, Bój mój, z nie-
bezpieczeństw i ucisku, dlaczego tylekroć ci, któ-
rzy wrogo występowali przeciw mnie — mimo, iż
wybaczyłem im z serca całego, gięli się później
sami pod ciosami przeciwności i kary.

Z pokorą wielką podziwiam i rozpamiętywam
słowa Zakonu Starego przodków moich, który tak
cudownie łączy się i uzupełnia z Zakonem Nowym
Pana mego, Jezusa Chrystusa, któremu niechaj
będą dzięki za to, że mnie i moich już teraz, a nie
później, do Owczarni Swej powołał.

A gdy krwawiło się serce moje w rozmyśliwa-
niu nad smętnym losem ludu Izraelskiego, bo
w poszukiwaniu Królestwa Bożego odbiec mi było
danem dość wcześnie od spraw tego świata, ku
sprawom Bożym, gdy najmilszą lekturą stało mi
się Pismo święte, nawiązując myślą do słów
Pawła Apostoła o upadku i nawróceniu ludu
mego, wyczytałem w proroctwie Zacharjaszowem
zapowiedź wyraźną, pojednania jego z Ukrzyżo-
wanym:

„I wyleję na dom Dawidów i na obywatele
Jeruzalem Ducha łaski i modlitw, i patrzeć będą

namnie, którego przebodli, i płakać go będą płaczem jako nad jednorodzonym; i będą nad nim żałować, jako więc żałują przy śmierci pierworodnego.

Onego dnia wielki będzie płacz w Jeruzalem....“ (Proroctwo Zacharjasza XII, 10, 11).

Boże w Trójcy świętej Jedyny, Boże Abrahama, Izaaka, Jakóba, Boże praojców moich, przyspiesz on dzień pokutnych łez i pojednania!

A wy bracia moi, którzyście pochylili głowy ku ziemi, którzy upadliście na duchu, radujcie się — —

Książka moja się kończy, a mnie spieszo do domu.

Ja chcę wracać koniecznie tam, gdzie przeżyłem najszczęśliwsze chwile życia, do białego dworku naprzeciw klasztoru Franciszkanów, do rodzinnego miasta.

Bracie, jedziemy. Słyszysz? Jedziemy do domu...

Po tylu latach. Obejrzeć, popatrzeć, jeszcze raz.

Nie śmieć się, gdy ci mówię o naszych zabawkach dziecinnych i koronach z żółtej blachy.

To nie są rzeczy tak śmieszne, jakby się zdało.

Zabaczysz.

A Piotr schował je dobrze. Pomyśl: Nasza gwiazda betlejemska jeszcze tam leży na strychu...

Ty się uśmiechasz?

Sądziysz, że odbijanka na drzwiach pralni nie wytrzyma tyle lat?

A może jednak. — To był dobry, przedwojenny towar.

Cicho pracuje motor samochodu, wóz dobrze i miękko niesie. Matka moja, brat, ja z żoną i troje moich dzieci zmieściliśmy się dobrze.

Kilkaset kilometrów? Fraszka. Będziemy jechali z przerwami. Nie uczujemy zmęczenia.

Wyjechaliśmy nocą, by uniknąć upału dnia.

Jutro rano staniemy w mieście stu kościołów i kaplic, w mieście mego nawrócenia.

Jedziemy w milczeniu. Dzieci śpią. Nasłuchały się tyle o rodzinnym dworku tatusia, o zabawkach na strychu, o czarodziejskim ogrodzie bez końca, o starej kapliczce. Brat Gabriel, jeśli grzecznie odmówią paciorek, da im pewnie ładnego motyla.

Może im się o tem śni, może płasają we śnie po ogrodzie mego dzieciństwa?

Żona siedzi z dwoma córeczkami na środkowych siedzeniach samochodu, na tylnych usiadła matka między mną a bratem, syn mój Bernard siedzi obok szofera.

Może nawet nie śpi.

— Żeby tam tylko zastać wszystko po dawnemu, tak jak było...

Zaraz z domu do kościoła, do klasztoru, a potem, wiesz do szkoły, do naszej szkoły... przerywam milczenie.

— Do której? — pyta brat.

— Oczywiście, że do ludowej, do tej słonecznej, białej szkoły. Wyższe uczelnie są poważne, mądre, a ja chcę do tej dla dzieci, wiesz.

— Jakże tam ma być po dawnemu, gdy dom już dawno nie nasz, a ojciec w grobie — szeptem przed siebie matka.

Reflektory samochodu rozświetlają mroki nocy.

Przejeżdżamy znajome okolice, a wydają się jak nie te same. Wszystko nocą wygląda inaczej.

Jakiś olbrzymi samochód mija nas w szalonym pędzie.

Owionął nas tuman kurzu.

Jak można jechać stamtąd w kierunku przeciwnym? dziwię się półsennie. Przecież tam, gdzie jedziemy, jest wszystko...

— Za parę dni będziemy i my wracali tą samą drogą — odzywa się żona.

— A coby było, gdybyśmy zajechawszy przed dom rodzinny, zastali tam wszystko jak było... Zielone, pluszowe meble, młody stryj z cygarem w ręce na obrazie olejnym, rzeźbiona sypialnia

i weranda, weranda oszklona, bajeczny okręt dzieciństwa, słyszysz Feliksie?

A coby było, gdyby tak otwarły się drzwi i wszystko po dawnemu, Basia, Piotr, a za nimi ukazuje się poważnie uśmiechnięty ojciec; nie mówmy ojciec, ale tato, nasz tato?...

I powiada nam tato, uściskawszy nas i wnuki swoje, których nie zna i synową:

Dzieci, cieszcie się... To wszystko wam się zdawało, to był tylko sen...

Matka lka z cicha, brat ociera łzy, a ja myślę: Sen, może sen — i usypiam.

Śni mi się biedny Pan Jezus z nadbramnej wnęki klasztoru.

Koła samochodu zaczynają się otrącać o kamienie nierównego bruku starych zaułków.

Przecieram oczy: Miasto stu kościołów i kaplic...

Każę skręcić w lewo i znów na prawo. Tu powinna być stara kaplica, gdzie ochrzcił mnie Ojciec Jan. — —

Wspaniały, strzelisty, lecz zimny gotyk nowego kościoła, bije ku niebu rozgwarem porannym dzwonów...

Wstępujemy na krótką modlitwę.

Wychodząc szepczę w ucho bratu o znikomości wszystkiego, co nas otacza. Mam lat trzydzieści-

cztery, a już znikają z przed oczu moich budowle, które ja pamiętam dobrze, w których byłem, jak w tej kaplicy, co znikła, bo na miejscu jej stanął potężny gmach nowego kościoła, a syn mój nie widział jej nigdy i nie zobaczy.

On może nie uwierzy, że tu stała taka stara, zadumana kapliczka, w której ochrzczono jego ojca.

Nie uwierzy, bo nie widział. Taki dzisiaj świat...

— Czy zdajesz sobie sprawę z tego — szepcę bratu — że nadejdzie chwila, gdy nie będzie do kogo zwrócić się zapytaniem: Pamiętasz?...

Nie dojrzymy nikogo, ktoby pamiętał...

Lecz w tej chwili pada wzrok mój raz jeszcze na smukłą wieżę kościoła, ślizga się po niej ku górze, zatrzymuje na złocistości krzyża, i jakiś głos woła wemnie, kończąc urwane poprzednio wyrazy:

... jeno On, który był — jest — i będzie...

Zobaczyłem w przejściu na ulicy kilku moich dawnych rówieśników. Nie poznali mnie, gdy ja poznałem ich na pierwszy rzut oka.

Jacy oni starzy, jacy starzy — pomyślałem.

Szli zamyśleni nad codziennością swoich spraw, pogoń za złudami wieku wyrzyła im na

twarzach jakiś grymas bolesny, niektórzy nawet szpakowaci.

Czułem niezbitcie, że należymy do różnych światów, że już nie zrozumiemy się, a pocóż tracić czas na błahe powitania i zatrzymywać się wzajemnie...

Oni do swoich interesów — ja w pielgrzymce do miasta rodzinnego, oni w przyszłość, ja w przeszłość, oni starzy, ja młody, bardzo młody...

Mnie spieszo zobaczyć, czy trzyma się jeszcze odbijanka na białych drzwiach pralni w mym dworku rodzinnym, czy zabawki dziecinne, czy gwiazda betlejemaska i korony z żółtej blachy pozostają w tajemnej skrytce, a oni...

Poszedłem szybko dalej.

Dzieci zaczynają się niecierpliwić, dusze nasze zaczynają się niecierpliwić, wjeżdżamy około południa do kochanego, rodzinnego miasta.

Prawie dwadzieścia jeden lat go nie widziałem.

Proszę przystanąć! wołam do szofera.

— Widzicie dzieci — mówię, biorąc obie córeczki za rączkę i idąc pośrodku, tłómaczę: Po tych pięknych, szerokich ulicach, biegiał przed laty wasz tatuś, gdy był taki mały, jak wy.

Tu na tych ławkach siadywał z swoim tatuśkiem i z swoją mamusią, bawił się z swoim braciśkiem, śmiał się i płakał..

Pobiegajcie trochę dzieci...

A teraz chodź, Bernardzie, mówię do syna (chłopiec liczy już dziewięć lat). Będziemy przechodzili obok dawnej pracowni twego dziadka. Tu była? Widzisz?

— Czy obejrzymy najpierw tę wielką, piękną kamienicę, którą dziadzio zbudował, czy klasztor z biednym Panem Jezusem, gdzie mieszka brat Gabryel? — pyta Bernard.

Przedewszystkiem — odpowiadam — pokażę wam domek biały — już niedaleko — w którym się tatuś wasz urodził i był najszcześniejszy w życiu...

Wśród obcych ludzi przesuwamy się w milczeniu.

Patrzcie, wskazuję dzieciom, tu na prawo stary klasztor Franciszkanów. Widzicie mur i wieżę? A tam na lewo będzie...

Jakto? Czy poszliśmy za daleko? — zwracam się do matki —

Kamienice duże, eleganckie, jedna przy drugiej naprzeciw klasztoru...

A mój dom rodzinny, biały, szeroko rozsiadły, tu był, tu musi być...

Przystaję, oczom nie wierzę, spoglądam na matkę i brata...

Duża, chłodna, trzypiętrowa kamienica wznosi się naprzeciw klasztoru tam, gdzie przed laty stał mój kochany dom rodzinny.

Czuję zawrót głowy, chwytam za ramię brata, potem przecieram oczy:

Celu pielgrzymki mej, mego domu rodzinnego z oszkloną werandą i bajecznym sadem, już niema!...

Łzy nabiegają mi do ocz, żona bierze mnie pod rękę, a córeczka Ludwika woła:

Tatusiu! więc to jednak była bajka! Więc tego domku z ogrodem bez końca, z cudną werandą i ukrytymi zabawkami wogóle nie było! Tatuś nas zwiódł, to nieładnie...

— Może przynajmniej zobaczymy brata Gabryela — wtrąca syn.

Podchodzimy ku furcie klasztoru, ciągniemy za dzwonek...

Brat Gabryel od ośmiu lat w grobie...

Znikł wraz z domkiem rodzinnym i kapliczką świętego Jana Kantego...

— Ale chyba ta piękna kamienica dziadzi jeszcze jest — chodźmy — nalega syn.

W tej chwili wzrok mój pada do wnętrza otwartego kościoła, gdzie płonie czerwona, wieczna lampka, jak przed laty, przed Tym, który był — jest i będzie na wieki...

— Co nam potem — odpowiadam, gdy nie mogłem wam pokazać tego cudnego dworku, gdy nie mogłem uprosić wam błogosławieństwa z rąk brata Gabryela...

Niema już i biednego Pana Jezusa nad bramą klasztoru, bo przebudowana, więc cóż ja wam pokażę?...

Ale chodźmy, dzieci, pójdziemy na cmentarz. Tam pomodlimy się na grobie Piotra, Basi i brata Gabryela.

Groby są, groby świadczą, że byli naprawdę.

Może kiedyś i na nich staną nowe kamienice, ale dziś jeszcze nie...

I poszliśmy na groby.



INSTYTUT

BADAŃ

Tel. 28-68-83

1768
Benedictus

Handwritten signature or initials in blue ink, possibly reading "Benedictus" or similar.

F

22.057